

ZBIÓR POWIEŚCI

J. J. KRASZEWSKIEGO

Tom 40.

WYDANIE NOWE

PRZEJRZANE I POPRAWIONE PRZEZ AUTORA

J E R M O Ł A.

OBRAZKI WIEJSKIE.

L W Ó W.

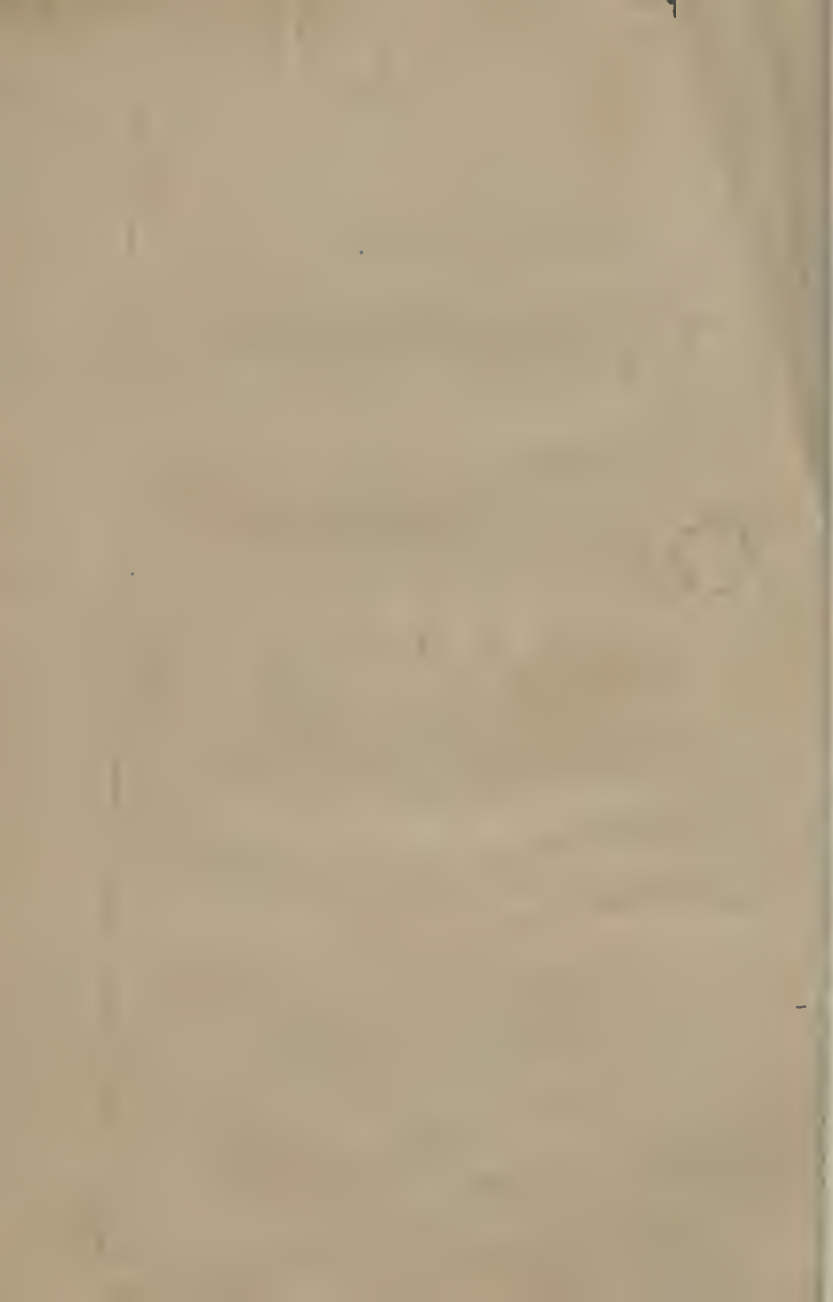
W księgarni Gabrynowicza i Schmidta,

przy placu św. Ducha 1. 10.

1873

WARSZAWA.

W księgarni Michała Glücksberga.

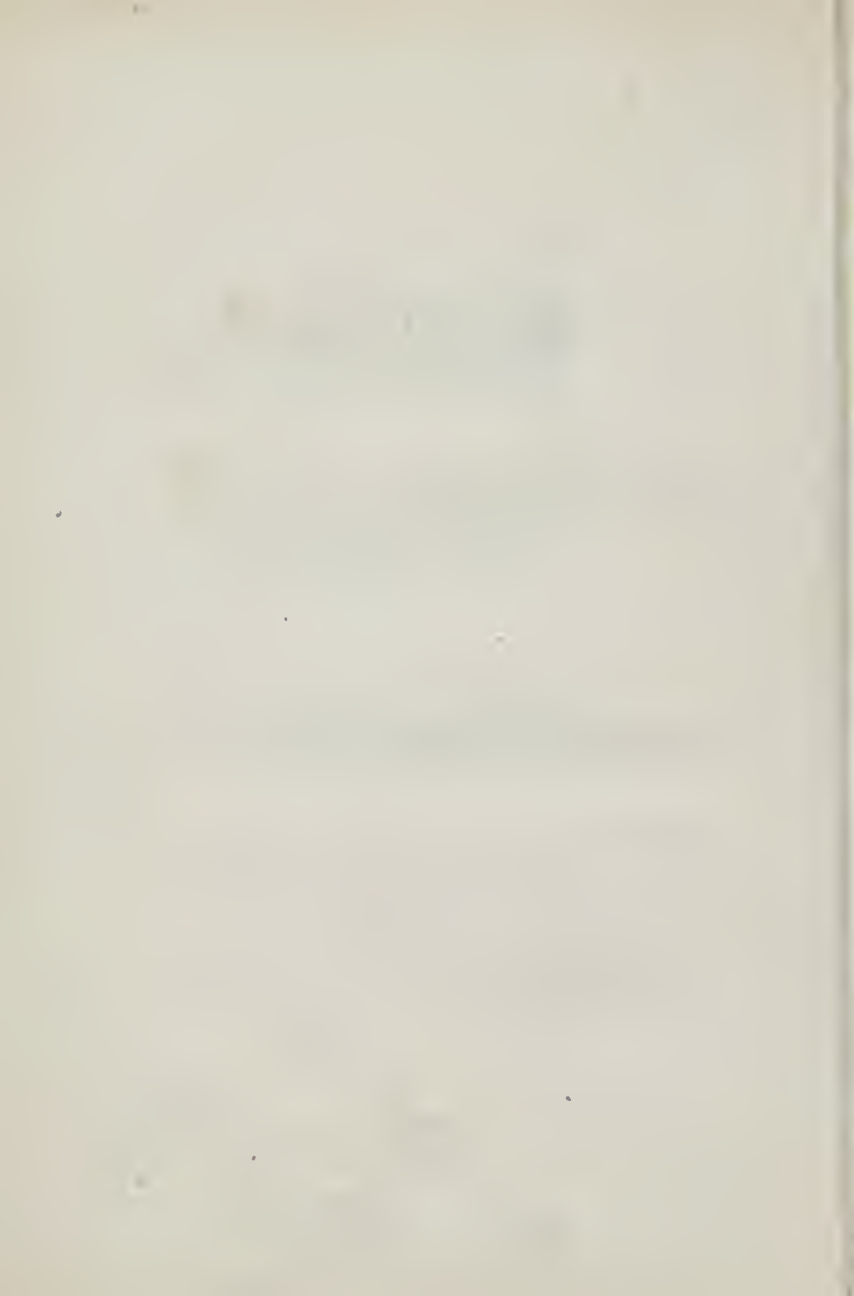


ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom czterdziesty.



J E R M O Ł A.

OBRAZKI WIEJSKIE.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzane i poprawione przez Autora.

Amor omnia vincit.

L W Ó W.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha 1. 10.

1873.

W A R S Z A W A

W księgarni Michała Glücksberga.

Kra. 17. 1923



Nakładem Bogosza, Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

4956 L 26

WŁADYSŁAWOWI SYROKOMLI

TEJ PRZYJACIELSKĄ PAMIĄTKĘ

PRZESYŁA

AUTOR.

Żytomierz, 1855.



Jermola urodził się w roku 1855 — ale ze wspomnień wyniesionych z Polesia Wołyńskiego, wśród którego autor mieszkał dosyć długo i gdzie najpierwsze rozpoczął gospodarstwo. — Cały ten obrazek, barwą przynajmniej prawdziwym jest, a maluje Polesie takim jakim ono było w latach 1838 i 1840, bo później znacznie się tu życie, stosunki, rolnictwo i obywatelstwo i lud nawet odmienił. Krajobraz i akcesoria rysowane są z tych wzorów, których pamięć dostarcza obficie, gdy się z nimi długo i poufale obcowало. Nie będąc zapalonym myśliwcem, ani zapamiętałym gospodarzem, autor miał zawsze zamiłowanie nadzwyczajne w lasach, puszczach i borach, — odbiło się ono tutaj i w innych powieściach poleskich; miał też i zachował wiernie wielką miłość dla ludu i proletariatu, której się nigdy nie zaprze. Zwano go z tego powodu rozmaitemi imionami, które wolął nosić i znosić, niż wyrzec się tego co mu się od lat dziecińczych jako prawda przedstawiało. Są ludzie, niestety, którzy utrzymują, że wieśniaka pan Bóg stworzył z innemi prawami i przeznaczeniem, z inną prawie naturą, i do różnych losów, — nam się zdawało i zdaje zawsze, iż od przyjścia Chrystusowego na ziemi wszyscyśmy równi i równouprawnieni do światła, do dobrobytu, do cnoty i do szczęścia — o ile go na ziemi się mieści.

W Jermole, Ulanie, Ostapie Bondarczuku, Jarynie i innych powieściach odmalowana jest i walka o byt najuboższej części społeczeństwa naszego, i walka jej o prawa,

o uczucia ludzkie. Choćby legalnie rozstrzygniętą została ta sprawa ludu, nie rychło społeczność sama się nią zajmie i do serca ją weźmie.

Autor starał się też we wszystkich powieściach, w których idea ta uwydatnić się mogła, wskazać jak pojmował zadanie i obowiązek tego stam, który n nas zwał się szlachtą, a do dziś dnia został przodującym mieniem, oświatą i znaczeniem. — Sądził, że na to Bóg wysadził jednych i dał im więcej, ażeby wspomagali, dźwigali, podnosili biedniejszych na siłach.

Dziś panują inne maksymy, społeczne więzy, łączące wszystkich. stargane zostały, miłość bliźniego zeszła prawie na szkodliwy ludzkości sentymentalizm, — aksjomatem wieku ma być — każdy sobie i każdy dla siebie. — Czasy przejścia i bezkrólewia.

Jedne pojęcie obowiązków i równa miłość dla ludu łączyła nas z zacnym Wł. Syrokomlą, któremu ta powieść ludowa przypisaną została — po jego bytności na wsi u mnie (w Hubinie).

Stosunków przyjaźnych z nim, do ostatniej chwili zgonu trwających — świadectwem jest wydane o nim wspomnienie, drukowane w Warszawie. Dobrze iż serdeczny poeta nie dożył dni, któreby go napoiły trucizną.

Jermola miał dosyć szczęścia: Francuzi, którzy nie wiele tłumaczą, przełożyli go i wydali w roku 1868 (*Jermola. Histoire polonaise, traduite par Etienne Marcel. Paris. Bibl. S. Germain.*) Z francuskiego przełożoną została powieść na język holenderski (*Jermola. Een poolsch Verhaal. — Arnhem. 1869.*)

Amor omnia vincit.

Było to na *Polesiu* wołyńskiem, w jednej z tych szczęśliwie zapomnianych okolic, przez które dotąd ani trakt pocztowy, ani żaden większy nie przerznął się gościniec; w zapadłym kątku, gdzie życie jest niemal średniowieczne i średniowieczna pannje prostota i poczciwość, rubaszność i nbóstwo. Proszę mnie nie posądzać, jakobym przezto chciał dać do zrozumienia, że wielkimi traktami z cywilizacją razem maszerują wszystkie występki z mantelzakami grzechów na plecach; ale, ale, jest podobno chwila między jednym a drugim życiem, przejście, w którym nim się nowe wyrobi, a stare umrze, pozostaje tylko dość nieciekawe ni to, ni owo. Ta chwila już gdzieindziej wybijająca na zegarze, nie przyszła jeszcze dla okolicy naszej; żyło się tam, zwłaszcza po małych dworkach, na wzór XVI i XVII wieku, ich obyczajami, ich wiarą i trybem. Wprawdzie żółto pomalowane bogatsze dwory pół-panków już zaczynały przodować jakiejs reformie, ale ta drobnej szlachcie wydawała się jeszcze niczem więcej, jeno monstrualnem dziwactwem. I mogłoby być inaczej w poczciwej tej dziurze, do której gazety dochodziły miesięcznemi paczkami,

pocztę stanowili żydzi jadący na szabas do miasteczek, a handlowy ruch ograniczał się targami na bydło i łapcie (wyjmując drzewo, o którym niżej). Są ludzie, którzy uwierzyć pewno nie zechcą, że kąt taki znajdować się może na świecie; ale najprawdziwsza prawda, że na Pińszczyźnie w Zarzeczu są, lub niedawno jeszcze były dwory, gdzie się dopytywano o zdrowie króla Stanisława Augusta, zostając w zupełnej niewiadomości wypadków, które od Kościuszkowskich czasów ubiegły. Nikt tam nie widział żołnierza, nikt nie znał urzędnika; a ci, co jeżdżą płacić podatki do Pińska, niebardzo pytają komu je składają, i obwijając w chustkę kwit, nie wdają się w czytanie, które nie hardzoby się im zapewne powiodło.

To tylko między nawiasami, bo w okolicy o której mowa, nie tak już było dziko. Kalendarze berdyczowskie dochodziły tu regularnie ostatnich dni grudnia, niosąc z sobą promyk cywilizacji i zasób najpotrzebniejszych wiadomości dla tutejszych obywateli; na czele ich planetę mającą panować, ciekawą nowinę o Wielkiejnocy, wschody i zachody słońca, i sposób wygubiania pluskiew wynaleziony w Anglii! Poczta była nie dalej jak o mil dziesięć, ale po nią bogatsi posyłali raz w miesiąc, lub co najdalej w sześć tygodni: niektórzy nawet tą drogą odbierali listy.

Większość jednak, powiedzmy prawdę, uważała za daleko pewniejsze w razie interesu, choćby o mil pięćdziesiąt wyprawiać umyślnego posłańca. Nie ma na świecie całym posłańców jak Poleszacy: nikt tak szybko nie chodzi, tak się nie dopyta, nie dotrze, o odpowiedź nie dokuczy i cało ze wszystkich niebezpieczeństw nie wyjdzie. Na oko, wziąłbyś owego w szarej świecie, obwie-

szonemu sakwami i prowizją lapciów odartusa, za włóczęgę lub żebraka; gdy tymczasem za okładzinami jego czapki lub cholewę buta, w świstku papieru, krociowa często sprawa i najważniejszy interes spoczywa. Pan Bóg stworzył Poleszuka na posłańca: przewącha zawsze drogę najbliższą, trafi wszędzie i prześliznie się z nieporównaną szybkością. To też w nalogach szlacheckich jest dotąd posłaniec; i poczta najlepsza nie potrafi go zastąpić. W każdej wiosce jest takich kilku kwalifikowanych pieszaków, którzy *per pedes apostolorum* o kilkadziesiąt mil chodzą, a byle im kilka złotych czystego zarobku, gotowi pójść z listem do Kalkuty. Dotąd trwa podanie o takim Poleszuku, którego jakiś pan Ogiński wyprawił do kuzyna swojego w Paryżu, a ten mu w kilka miesięcy odpowiedź z *pokłonem* dostawił.

Posłaniec Poleszuk choćby miał konia, to go nie użyje, uważając szkapę raczej za niepotrzebny ciężar, aniżeli za siłę pomocniczą.

Aleśmy się znówu rozgadali nie do rzeczy z tą charakterystyką poleskich posłańców: wróćmy się więc do przedmiotu. Okolica nasza, której położenia geograficznego bliżej oznaczać nie widzimy potrzeby, nie tak zapadła jak pińskie Zarzecze. między niem a Wołyniem usadowiona, stanowiła coś pośredniego. Był to wielki szmat kraju jeszcze po większej części zarosłego lasami sosnowymi i dębowymi, wśród których na roztrzebionych polach tu i owdzie siedziały zakopcone smolnemi dymami wioski. Horyń splawny przerzynał bory, dając im wysoką cenę handlową. i główny dochód dóbr na nich też polegał. Przy prostocie obyczajów i życia tutejszego, które wykwiutnem być ani potrzebowało ani chciało, wszyscy niemal robili majątki i tyli na starość.

Mięso najdrożej sprzedawało się funt po trzy grosze, a żydzi je od wrót do wrót rozwozili; baran ze skórą płacił się około 3 złotych, chleba nie brakło, zarobku także: i na pozór nędzny, kołtunowaty Połeszuk nie mieniałby się na swój byt z pokąźniejszym Wołyniakiem. Wieśniak tutejszy nie spuszczał się na rolę, ma różne sposoby zarobkowania, które mu nie dopuszczają obawiać się zbytnio nieurodzaju, będącego klęską ostateczną gdzieindziej, zwłaszcza gdy jakich nie siedm, ale bodaj dwa lub trzy lat po sobie głodnych wypadnie. Las i rzeka, od których go nie odpychają dziedzice, stanowią dlań nieprzebrane źródło drobnych dochodów i przemysłów. Las naprzód, mało co, lub nawet, po wycięciu towaru, nie nie robiący stosunkowo dziedzicowi, wszystkiemu jest dla chłopka; gdyż zarobkowanie z takich rzeczy jak kora dębowa, lipowe łyka, obody, płozy, wyrób naczyń gospodarskich, obręcze, kępcie, łoza do wyplatania, skałki na podpał i t. p., nie zajmuje dworu, a wieśniak wszędzie prawie dotąd jeszcze swobodnie wyrabia co zechce, psując nawet młodziź i najlepsze drzewa. Suszone grzyby, jagody, dziki owoc jabłoni i grusz, tarnina, dają także choć niewielki grosz w potrzebie. Na brzegach rzeki zarobkują rękami: najmują się na flisów, stawiają więcierze i saki, jeżdżą z poświatem i ościami: dość, że tu z głodu umrzeć nie można; a choć bieda doku- czy (bo gdzież ta dobrodziejka nie zajrzy), byle przed- nówek przekołatać, wlecz się dalej a dalej. Trafiają się i tu ciężkie, *czarne*, jak je u nas nazywają godziny; trafia się chleb pieczony z plewą, z korą, z owsem, z hreczką, ale świat nie byłby światem, żeby na nim wciąż było jak w niebie.

Po dworach to także patryarchalny żywot, do któ-

regu utrzymania handel i zamorskie kraje niewiele się przykładają, tak, że niemalby się bez nich obejść tu można, trochę ścisnąwszy. Wszystkiego dostarcza wioska, wszystko się robi na wsi, a z kupnych rzeczy to tylko cukier, kawa, buteleczyna wina frankońskiego zwanego tu francuskim, jaka ćwierć funta herbaty, trocha pieprzu — ot i po wszystkim. W bardzo też wielu razach cukier się zastępuje miodem, który tak jak nie nie kosztuje, kawa cykorją, herbata rumiankiem i daleko zdrowszym lipowym kwiatem lub melissą, wino miodem i wódką a pieprz chrzanem. Mięso bije się w domu lub żydek je przywozi *oko* po dziewięć, po siedm i po sześć groszy, w dodatku ofiarując ozory i flaki; drób hoduje się na folwarku, świece leją się u siebie, sukno tka na starożytnym warsztacie, rozczulającym prostotą, płótna snują na wsi, i niema rodzaju majsterstwa, którego byś w znaczniejszych wioskach nie znalazł. Kowal, stelmach, cieśla, bednarz, mularz, choć nie tędzy, aleć przecie są. W razie gwałtownej potrzeby, gdy przypilni a majstra nie ma, wyrwie się Poleszuk, który widział kiedyś jak coś gdzieś robiono, podejmując się spróbować, i najczęściej tym sposobem zepsuwszy kilka razy, wychodzi na profesjonalistę.

Nie powiem, żeby tu bardzo kwitły przemysł i sztuki;... ale też w Polesiu nie wiele się wymaga od artysty. Szewc kiedy ci buty uszyje, prawda, że zdaje się na pozor nie na ludzką nogę stworzony: taki czegoś okrągły, niezgrabny, twardy i jakby z żelaza wykuty. Ale poproś go chodzić, we dwa lata po wodzie i błocie ani dratwa nie puści, ani ci skóra pęknie, takie to sumienne i gruntowne, tylko, nóg do tego potrzeba także żelaznych, któreby opiekę takiego obowią znieść mogły bezkarnie.

Ale nogi się nie pytają jak im tam będzie: niech Pana Boga chwala, że je skóra pokrywa, a podszewa zastępuje żywą; naguiotki uważane są za naturalne następstwo lat i pracy, nie winę obuwia...

I tak we wszystkim co się tu robi: mocno, bezpiecznie, grubo, a choć dla oka niepokaznie, choć rozpieszczonym niewygodnie, tem gorzej okn co się popsuło, i skórze, która się wydelikacila. Dodam, że każdy rzemieślnik w tym szczęśliwym kraju, w którym z profesji ich niewielu, a najwięcej amatorowie, bo wszyscy potrosze są wszystkim, uważa się sam za artystę, istotę wyższą, poczęści niezrozumianą i nieocenioną przez współobywateli, mającą prawo dźwigać do karczny swą wyższość zapoznaną, z dumą godną szacunku, ale wartą razem śmiechu. Stosunki z dworem, wysilek ducha na odgadnienie niewynuczonych tajemnic rzemiosła, pojęcie siebie jako niezbędnego w społeczeństwie członka i jednej z osi kola towarzyskiego, budzą to uczucie, które i w innych kregach i pod innemi strefami znajdzie się tak jak na naszym Polesiu. W tym względzie nie jeden artysta paryski stoi na równi z tutejszym szewcem. Znałem szczególnie jednego latacza... Ale to znown byłby niepotrzebny epizod: idźmy dalej i nie zbaczajmy z drogi.

Rozległe lasy stanowią tu wszędzie tło i opasanie każdego widoku. Wśród nich gdzieśgdzie spotkasz polanki, blyszczą stawki i rzeczulki, kisaną odwieczno nieosuszone błota, zielenieją sianożecie na wpół łożami zarosłe, szarzeją i czernieją chaty, odwiecznym okopcone dymem. Jak blyszczący pas, srebrny Horyń majestatycznie przerzywa się środkiem drzemiącej okolicy, którą ożywia i wzbogaca: małeńkie miasteczka tutejsze pra-

wie wszystkie leżą nad jego brzegami. Gdzieindziej nie dałoby się to nazwać imieniem tak wiele obiecującym, ale w Polesin, gdzie targowica i niedzielny zjazd, cerkiew i kościół, rynek, a nadewszystko więcej niż jeden żyd, to już miasteczko.

Ilość izraelitów stanowi wartość miejsciny: im więcej ich tam jest, tem się bogatsze nazywa. W każdej takiej małej stolicy jest królujący w niej Boruch, Zelman lub Majorko, który handluje wszystkim, dostarcza czego się podoba, od kożucha do zegarka, kupuje zboże i plewy, ma dom zajezdny, arak, tytuń i cukier, a zna na wylot sąsiedztwo całe, pelen mając pugilares listów i kwitków. Kramnica w rynku po większej części zastosowuje się do potrzeb biednego wieśniaka, począwszy od garnka, pasa, czapki, do żelaza, soli, dziegieciu i t. p. Dwa lub trzy sklepiki bławatne, kilka korzennych — ot i wszystko. Na łasce żydków żyje całkiem takie miasteczko: oni są jego duszą. Zresztą mieszczenie zarazem zajmują się rolą, bo u nas mało jest takich osad, gdzieby gospodarstwo rolne nie wchodziło po słowiańsku do zajęć mieszkańców! Trochę ubogiej szlachty, jakiś tam biedny urzędnik, ksiądz proboszcz, ofiejałisci dworn: — ot i reszta ludności. W ciągu tygodnia pusto, dzieci żydowskie po ulicach grają w kregle i kamyki, kury, kozy i krowy chodzą po rynku swobodnie; za to w niedzielę ani się przecisnąć tyle drew, tyle fur, taki gwar i żwawy targ na wszelkiego rodzaju produktu, a raz w rok w dzień odpustu lub prazniku, to jarmark całą gębą. Wówczas i markietani we trzy lub cztery powózki przejeżdżają i bndy stawiają na placu, i żyd czapnik na wysokich żerdziach rozwiesza przy ścianie swe pojętne wyroby,

i cygan konował, i szejne katarynka, i towarzystwo ogromne. Zjeżdżają się wszyscy dobrodzieje z żonami z sąsiednich parafij, wszyscy ekonomowie i pisarze, szlachta czynszowa, i wieśniacy co jakiś towar niezwykajny, jak np. skóry, wełnę, sukno, płótno i t. p. mają do zbycia. Aż pociecha patrzeć, aż miło słuchać co to tam za gwar, rwetes, jakie wre życie potężno. W rynku co chwila ktoś dobija targu i idą do karczyny zapijać mohorycz; a tu baby z cebulą, czosnkiem i tytunem, z krasnemi pasami i zapaskami strach co zbierają groszaków. Nazajutrz po jarmarku, ba! nawet do pierwszego nlewnego deszczu, który te ślady splucze, poznasz jednem wejściem na placik co się na nim działo; niekiedy nawet krwawe zarzniętych kóz i baranów pobojuwiska, straszniejszych się rzeczy pozwalają domyślać, niż w istocie były.

Za ten dzień jeden szalu, okolica rok cały najczęściej spoczywa w tej błogiej odrętwiałości, w tej smutnej ciszy, która tu stanowi tło powszedniego bytu. Człowiek choćby mimowoli, ale musi zastosować się do tego, co go okraża: nie jesteśmy nigdy zupełnie wyzwoleni z pod tych wpływów, jakim ulega gąsieniczka zielona na liściu zielonym, czerwona w krasnym owocu. W krajach drzemiących jak Polesie, gdzie szum drzew odwiecznych, błoto do snu kołysze, a spokojem oddycha się w ciężkiem, wilgotnem i smolnem dymy przesyconem powietrzu, mieszkaniem zamknięty powoli uczuwa coraz tępiej płynącą krew, coraz wolniej krążące myśli: zachciwa mu się spoczynku, wzdryga się na burzliwe losy i przyrasta jak grzyb do ziemi. Wieśniacy w czterdziestu kilku leciech zapuszczają brody, a panowie w tymże wieku wkładają szlafroki, zrzekają się fraków,

dozwalają wąsom rosnać jak im się podoba, i jeśli żonaci, nie wyjeżdżają z domu, a kawalerowie poczynają się domyslać, że ożenienie do niczego nie prowadzi, prócz niepotrzebnej subiekcji.

Odwiedziny są tu bardzo rzadkie, choć stosunki przyjaźne: w lecie gorąco, w zimie mroźno, w jesieni błoto i grzęzawica, na wiosnę bywają komary. Przewycięża się lenistwo tylko na imieniny kochanego sąsiada lub w gwałtownej potrzebie. A że bez posiłku jakiegos wyżyć niepodobna, żyd arendarz pospolicie go dostarcza. Przychodzi on zawołany lub w porze zwyczajnej, staje w progu i poczyną zdawać sprawę z tego co pochwycił w ciągu tygodnia w swych wycieczkach, czy też co od przejeżdżających do młyna, dó kowala, do folusza posłyszał. Tu się zwykle nie więcej dowiadyje nad to, kto ile posiał, kto co zżął, czy gdzie nie wyjechał, czy sprzedał i po czemu, kto do kogo i po co jeździł i t. p.; ale ta odrobina karmi na jakiś czas dostatecznie, kieruje gospodarstwem, zachęca, niecierpliwi, odpycha, a niekiedy z domu dla sprawdzenia wypędza.

Nie szukajmy tu naturalnie żadnych nowostek, ani zbytniego do nich popędu: niedowiarstwo raczej i wstręt idą przed niemi. Wszystko się robi postaremu; ale za to chcieieli tradycji żywej, czynnej, pamiątek i śladów zgasłego gdzieindziej życia przeszłości: nigdzie jak tutaj. Pan dzieli z czeladzią głęboki dla nich szacunek, a jeśli go Bóg pokarał ziarnem filozofii, nawet w takim razie niby się śmieje z przesądów, w kątku im hołduje, bo z krwią i mlekiem, z powietrzem i słowem weszły weń od dzieciństwa.

Będzie tak, że we wsi od lat pięciuset zameczyska

nie ma, a takie miejsce gdzie dwór stoi, *podzamczem* się nazywa; drwa wioząc dla dziedzica, powiedzą: na zamek. Gdzie była stara cerkiew, dziś może ogród dobrodzieja i kartofle, ale zagony te mianują *monasterzy-skiem* i t. p. Na rozdrożu mogiła od wieku wpadła w ziemię bez śladu, krzyż się z niej obalił i spruchniał, tylko po gęstszym chwaście poznasz gdzie ziemię uży-źnił: a nie przejedzie ci chłop, żeby obyczajem pogańskim gałęzi lub kamyka na to miejsce nie rzucił. Żyje tu wszystko co niegdyś żyło: i powieść o założeniu osady oboranej parą czarnych byków, co ją ma bronić od zarazy i pomorku na bydło; i historia jakiegoś kniazia, który się w stawku utopił, i napad tatarski, i bajka o dwóch braciach, co się w jednej kochając dziewczynie, zabili, a ona z żalu po nich na mogile ich się obwiesiła.

Pieśń jedna powtarza się od lat tysiąca, obyczaj jeden rządzi zawsze niemi, i są im wierni jak obowiąz-kowi zaciągniętemu względem ojców.

Przenieśmy się teraz w opisaną okolicę nad brzegi Horynia.

Przyznam się, że pomimo przywiązania mego do naszej ziemi, są lata, w których wiosny u nas, pięknej owej, świeżej, zielonej, wesołej, zielirów pełnej, poety-cznej wiosny dopatrzyć się trudno; wygląda ona na bajkę wierutną i niepotrzebnie na zaoskonięcie poży-czony grecki *mythos*. Zaczyna się tu od wichru i de-szczu na wpół ze śniegiem, od błota na wpół z mro-zami, od skąpej zieleni przyprószonej szronem, i przy-krzejszego nad zimowy mróz, chłodu, przejmujących

nocy i dni w cieniu nabawiających dreszczem, zbytkiem jakiejś surowizny w powietrzu: potem nagle po syberyjsku przechodzimy do nieznośnych upałów, a zima podawszy rękę latu, wiosnie całkiem broni przystępu na ziemię. Nie wiem gdzie się wówczas podziewa zachwalona owa i opiewana wiosna sielankowa, którą tak regularnie zapowiada na 9. marca Berdyczowski kalendarz, tak jak nie wiem co się dzieje ze staremi księżycami, gdyż wielkiej podpada wątpliwości owa dawniej przyjęta teoria nianick, wedle której Pan Bóg miał nowe z nich wykrawywać gwiazdy, a okrawki zrzucił i otrząsał deszczem aerolitów. Wiosna zapewne musi wówczas biedna wędrować gdzieś sobie do innych krajów, jeżeli to prawda wedle Kämtza i innych meteorologów, że pewna summa ciepła i chłodu zawsze się w roku bez niedoimki wyszafować musi, tu, czy gdzie indziej; może więc pociesza chłodniejsze strefy, lub dodaje ciepła gdzie go aż nadto. Bądź co bądź, to pewna, że u nas często jejność swego obowiązku nie pełni; nie zawadziłoby jej więc przypomnieć, że może w końcu stracić miejsce jak urzędnik nie pełniący służby lub obywatel po kilkakroć nie stawiający na wybory, który się sam *ipso facto* od wotowania odsądza.

Nieznosnieśmy się rozgadali, nie prawdaż? A wiecie kochani czytelnicy (jeżeli kochani) czego to jest skutkiem? — Nie starości jeszcze, nie chęci powiększenia tomu, ale posłuszeństwa krytyce, która poprawiać każe i poprawiać bez końca. Ile razy przepisuje się rękopism na nowo, zawsze się coś doda; a że oto raz trzeci chwala Bogu! tę powiastkę przechodzę, narosło w niej przypisków bez końca. Już teraz powracam do wiosny, a od niej, da Bóg doczekać, jakoś się powoli dobijemy

do celu tej fantastycznej podróży.

Są tedy szczęśliwe i u nas lata, kiedy wiosna zbierze się przyjąć w porze, jeżeli nie na zawołanie kalendarza Berdyczowskiego, to na przepowiednie chłopskie, i spełnia święcie co do niej należy.

W tym roku o którym mowa (chronologia na nicby się nie przydała, a czasy niezbyt są dawne), właśnie się upamiętała bałamutka, i dawszy ziemie wytrzymać z mrozami i śniegiem do drugiej połowy marca, jakby jej na świecie nie było, niespodzianie potem wionęła od południa wiatrem ciepłym i deszczem kroplistym: spółkała paskudną i poczerniała skorupę, przejęła do gruntu steżalą ziemię, zaświeciła słoneczkiem wesołem, tak, że w chwili nastąpiła czarodziejska zmiana dekoracji.

Wszystko tylko zdawało się oczekiwać znaku, będąc w gotowości do odegrania swojej roli: bociany oddawna już przechadzały się wychudzone nad ciepłymi źródłiskami, długimi dzioby napróżno macając ich głębie, wśród których tylko kawalki lodu pływały; skowronek marzył, ale śpiewał biedak zaglądając ku słońcu: na drzewach pączki były nabrzmiałe i pełne, wilczełyko i leszczyna promyka tylko czekały, by zakwitnąć; trawy niecierpliwiły się pod kilkoniesięczną pleśnią. Jak tylko wionął wietrzyk, spadł deszcz i wiosnę posłyszano nadjeżdżającą, zapachniała ziemia i piornem ruszyło się wszystko. Dzień jeden ogromne zrobił zmiany: bocian podleciał i na oschłem zaklekotał guzieździe, skowronek puścił się śmieiej w górę, wilczełyko całe się ustroiło w różowe kwiaty, leszczyna swe purpurowe rozwinęła lilijki, trawa powyskakiwała z ziemi, anemony pootwieraly się, pijąc chciwie pierwszą

kroplę rosy i pierwszy promyk światła; powysychały kałuże niezgłębione, poweselało, rozjaśniło się, świat stał się innym i odmłodniał.

Wiosna tego rodzaju przychodząca w porze i taka jaką być powinna, wszędzie jest piękną, ale nigdzie może wdzięczniejszą jak nad brzegami rzek wielkich, gdzie ruch i życie bndzi potężne. Nad Horyniem rozlanym ogromnie, szeroko zatapiającym lugi, i gdzie-niegdzie wykradającym się aż na pola, w lasach zalegających brzegi jego, szczególnie pięknie było i wesoło. Wprawdzie bór czarny nie pozieleśniał jeszcze, ale czuć już w nim było bndzące się życie; z dala nabierał barwy jaśniejszej; powietrze miało tę woń wiosenną wilgotnej ziemi, pączków, trawy, wody, tak miłą i upajającą, która tajemniczą ma własność przypominania nam lat młodych; wody szemrały zwyczajko połamawszy nietylko lody, ale groble i zasieki, niosąc co gdzie na drodze pochwytały i rozrzucając na brzegi; las choć szumiął suchemi jeszcze gałęziami, ale już inaczej, innym językiem niż w zimie.

Nad rzeką ludzie rnszali się także po zimowym spoczynku, biorąc się do handlu i pracy: wiązano drzewo w gąski, przyrządzano pasy, gromadzono rozpierzchle bale, gotowano się do żeglugi, a świeżo zbudowana *skarbówka* oporządzała się właśnie, aby za chwilę wypłynąć z komendantem tej wyprawy. Tak zwana *skarbówka* jestto na mocno związanej tratwie, często zgrabnie i schludnie zbudowany domeczek z tarcic, w którym na czas żeglugi mieści się gospodarz i wódz, kasa, policja, rachunki, spiżarnia, wódka w kufach i piekarnia dostarczająca chleba dla czeladzi. Nie wiem jak tam *skarbówka* do Gdańska przechodzi, może okopcona,

brudna, zszarzana i niepozorna; ale na odjezduem wygląda jak cacko: chciałoby się w niej trochę pobujać po wodach, taka czegoś miła i ładna. Na nieszczęście najpospolitszym jej mieszkańcem bywa gruby, tłusty sapiący, czosukiem przejęty, cebulą faszerowany żyd, faktor kupiecki.

Właśnie w tem miejscu, gdzieśmy się u brzegu Horynia zastanowili, zółciła się nieopodal od niego mała, ale ładniechna skarbówka; dokoła niej gęsto stojące pasy tak pokrywały wodę, że po nich nie tylko do domku, ale na kilkanaście sążni dalej w rzekę przechadzać się było można. Wszystko to wstrzymane, oczekiwało znaku do wyjścia; ale ludzi brakło jeszcze: zbierano flisów, skupowano zapasy, zwlekano od dnia do dnia, i jeszcze też żadna się na Horyniu nie pokazała partja, któraby ostrogską uprzedzila.

Otoczający kraj choć nagi jeszcze, nie był bez pewnego smutnego wdzięku. Z tej strony szeroko rozlanej wody, nieco odsunięta od ługów, rozsiadła się wielka wieś poleska ze swemi chatami szaremi i mnóstwem drzew, które ją umajaly latem; z cerkwią starożytną otoczoną krągankami i oryginalną dzwonnica, z ementarzem w sosnowym borku, wśród którego gdzieś białe wytykały się brzozy. Za rzeką rozciągała się ściana borów w prawo i lewo jak zajrzeć okien, a na płaszczyźnie zajętej wodami, podtopione łozy wskazywały dopóki wody opaść miały. Wieś długa była, wielka i stara, jak z rozrosłych drzew, panujących nad nią, wnosić było można.

Oko szukając w niej dopełniającego całości dworu, domyślało się go na pagórku nad Horyniem; ale zbliżwszy się, w sadzie i drzewach porąbanych okrywa-

jących zaroślami i pniakami to miejsce, dojrzałeś tylko ruin drewnianych budowli i smutnej jakiejś pustki. Dom mieszkalny stał uapół rozwalony, z kominem jednym już obnażonym; a obok niego z zamieszkałego jeszcze, ale odrapanego dymiło się folwarku. Dziedzica znać tu oddawna nie było, krzyż nawet stojący u wrót dziedzińca wywalil się podgnily i butwiał na ziemi, a płot obłamany przepuszczał idących i jadących. gdy obok wrosłe w piasek wisznice, jakby na szyderstwo stały zamknięte, choć w nich już i jednego szczebla nie było.

Miedzy wsią i dworem zamiast dawniej szerokiej drogi, dziś bujnie trawą porosłej, wily się ścieżki powydeptywane przez bydło, które się tu zwykle paść chodziło.

Toż samo opuszczenie widać było i we wsi na tych budowlach, których utrzymanie od dziedzica zależy; ale mimo to *binduga*, drzewo, zarobek, wlewały tu trochę zamożności i życia.

W chwili gdy się nasza powieść poczyna, na tratwach przygotowanych do wypłynienia, ludzi już było niewiele: mrok powoli padał, chłód od wody zawiewał. Na kloku porzuconym siedział z fajeczką drewnianą w ustach stary już i przygarbiony człowiek, a obok niego przechadzał się coś z chłopska, coś z szlachecka i dworska odziany młody parobek. Trudno było poznać po starcu ile lat mógł liczyć sobie: są bowiem fizjonomie, które doszedłszy pewnego wieku, zmieniają się tak nagle i starzeją odrazu, że lata późniejsze już na nich nie zostawiają śladu. I tu powiedzieć było ciężko, czy pięćdziesiąt czy o dwadzieścia więcej miał mały, złamany człowieczek. Niewielkiego bardzo wzrostu, trochę zgięty w krzyżach, z głową lysą i osiwiałą, z zapuszczoną od

niedawna, bo jeszcze niezarosłą brodą i wąsami, cały pomarszczony jak zwiędłe jabłko zimowe, wyglądał dość jeszcze świeżo i czerstwo: cera jego miała krwi trochę, oko blasku, a rysy dawniej regularne, dawały się jeszcze rozpoznać z pod pofałdowanej skóry. Wyraz ich spokoju i łagodnie smutny, miał niezwykłą cechę swobody ducha, którą rzadko na twarzy biedniejszych ludzi spotykamy: rzekłbyś, że rachunek jego ze światem całkiem był skończony, i że zań czekał tylko cierpliwie obiecanej zapłaty. Po ubiorze trudno go było zaliczyć do jakiegoś określonego stanu: nie było prosty wieśniak, choć strojem niewiele się różnił od niego. Świtka jaką miał na sobie była nieco krótszą od sukman poleskich, podpasywał ją skórzany pas z klamrą, spodnie były z cieńszego ciemnego sukna, na szyi chusteczka jakaś starszka, na głowie czapka z daszkiem wychodzona i wytarta. W tej odzieży ubogiej, mimo jej zużycia, przeglądało jakieś staranie o siebie: koszula wystająca z za chustki była świeża, sukmana czysta, łapcie na nogach lipowe, parciannemi pooplatane sznurkami wyglądały schludnie.

Stojący naprzeciw starszka młody chłopek, flisak, ni to dwórak, ni wieśniak także, z długim ciemnym włosiem, opadającym na szyję obnażoną, z oczyma małemi piwnemi biegającemi żywo, rysów był właściwych ludowi poleskiemu, z którego pochodzić musiał: twarzy prawie kwadratowej, ust dość szerokich, nieco zadartego choć kształtnego nosa, czoła niskiego, ale roztropnego. Ogół jego fizjonomii oznaczał dość dowcipu, opromienionego jeszcze młodością i właściwem jej weselem, a nieogłędnością na jutro.

— Nas jest w chacie trzech, — mówił do starego — pan mi pozwolił nająć się na flisaka, a przyznam się

wam, że to życie taki lepiej mi smakuje aniżeli pańszczyzna i gnicie w chacie pod piecem....

Staruszek ruszył ramionami.

— Ja widzę, — rzekł — że ty mnie nie posłuchasz, bo ci się już na flis zachciało, a młodemu jak co w głowie zaświta, nie przekona go nikt, chyba bieda.... No, Bóg z tobą, a ja taki powiem swoje....

Rozśmiał się młody.

— A niechżeno ja powiem wam wprzód co myślę — przerwał — to potem nastawię ucha na to, co mi mówić chcecie. Naprzód bo taki młodemu świata zobaczyć nie zawadzi: — nie tyle go co w oknie; powtóre już ciż mnie tu swobodniej z żydem, który zawsze potrochu się boi, choć sam nie wie czego, niż tam z panem i ekonomem; a na ostatek i grosz się na podatek zarobi.

— Wszystko to prawda — zawołał stary — i jeszczeby się co dać znalazło, ale starym oczom inaczej się widzi: człowiek w tej wędrowce i od chaty i od regularnej roboty odwyknie, mandrowanie, *) taj włóczęga zasmakują, a nie ma gorszej rzeczy, jak swoje gniazdo sobie obrzydzić. Do domu powróciwszy wszystko się wydaje nicpotem: chleb gorzki, strawa postna, ludzie nudni, pańszczyzna ciężka. Zacznie się do żyda i karczmy zaglądać na pociechę, to się do wódki przywyknie — ot i człowiek przepała. Gdybym ja miał syna, tobym go nie puścił z domu na żydowskie ręce. Komu Bóg w chacie siedzieć przeznaczył, niech daleko od progu się nie odbija.

Młody chłopak zamyslił się słuchając.

— Albożto — rzekł po chwili — zaraz już człowiek ma zapomnieć w czem wyrósł i do czego się urodził?

*) W języku ludu, wędrowka. —

Oj! nie, ojcze, nie! Albo to co złego świata zobaczyć i mieć co na starość dzieciom opowiadać? Prędeż się zatęskni za swemi niż swojego zapomni, a potem smaczniejszy chleb domowy.

— Wszystko to prawda potrosze; aby nie do zbytku, aby z Bogiem, i flisaczki by się może przydały — odpowiedział stary. — Ale jak to łatwo się rozhulać, jak to łatwo nawyknać codzien co nowego mieć i coraz czego innego żądać, a potem rozleniwieć i ręce opuścić! Na drzewie codzien jakaś okazja do kieliszka: żyd psia wiara na każdej mieliznie, przy każdej służie wódczy-skiem zalewa, a ludzi poczeiwych djabli biorą.... Byle jego drzewo do Niemców doszło, i talary się posypały, co jeemu flisy! Muie ot, jak widziecie, wiek minął i nie zachciało się nawet zobaczyć, co tam dalej po świecie się święci; malom kiedy za wrota wyruszył, a niczego u pana Boga nie proszę, tylko żebym tu moje kości położył.

— Kiedy wam z tem dobrze?

— Dobrze? he? juściż teraz musi być dobrze, bo świat nie dla mnie, a byle kąt i łyżka strawy, więcej czleku nie potrzeba; ale bywało różnie, a wszystko na swojem śmietniku jakoś i złą dolę przeżyć łatwiej przyszło.

— A wyście tutejsi? — spytał flisak.

— Tu się urodziłem, wiek przestękałem i życia do-kończę — odparł staruszek trochę smutnie. — Grzybowi nie tańcować!

— To ciekawa być musi historia?

— Czyja?

— A wasza?

— Moja? albo to historia! Bieda się urodziła i biedą zdechła....

— Ot nie ma co robić z wieczorem, do karczmy się

boję: gdybyście ojciec powiedzieli mi o sobie. Samemu tak siedzieć na gąskach nie wesoło; godzinaby przeszła, a jabym się co od was nauczył....

Stary rozśmiał się jakoś łagodnie.

— A co ja tobie powiem? Moja dola nie ciekawa: podobnych wiele na świecie! Sam jeden jak palec zostałem się na starość, żywego ducha coby mi powiedział żeśmy swoi... Ale staremu, widzisz bratku, w to graj, żeby gadać, aby go kto słuchał: nie wyzywaj wilka z lasu bo się nie odczepisz od gaduły.

— E! mówcieco tylko, mówcie, mnie to nie dokuczy: ja słuchać lubię.

— Jak zapamiętam — zaczął stary — oto tu, nad brzegiem Horynia latałem z chłopakami wiejskimi, a choć w podartej koszulince i ze łbem golym, jak mi się ta bieda przypomni, żadnejbym w świecie rozkoszy nie pomieniał na nią.

— A rodzice wasi?

— Obojga nie pamiętam, odumarli mnie sześciolatniego z jakiejś gorączki; a że byli przybysze kędyś z Wołynia, nikogom nawet krewnego tu nie miał i nikt się do mnie nie przypytał. Jak przez mgłę widzę, że mnie nakażny do sąsiedniej chaty zapędził ze cmentarza po pogrzebie, a stara kobieta, którą nazywałem kumą, dała mi wielką misę strawy, bom od dwóch dni nie, oprócz chleba suchego schowanego zanadrę nie jadł. Nazajutrz posłali mnie paść gęsi, potem wzięli do świń, gdy zobaczyli że sobie radę dać umiem, w ostatku kazali mi iść do bydła gromadzkiego. Oj! nie było rozkoszy jak w tem życiu pastuszem. Prawda, że dodnia na rosę musieliśmy pędzać krowy, ale się za to we dnie smaczno pod krzakiem zdrzemnęło, gdy bydło było da-

leko od szkody, a w lesie albo na ługu nasza gromadka swobodnie się dobrze nahulała. Z bydlętem niewiele kłopotu: bo to stworzenie roztropne, jak się raz przyzwyczai do wygonu, to go z miejsca i kijem nie spędzisz. Raz, drugi od szkody popilnowawszy, dalej już i samo nie pójdzie; człowiek tyle tylko że popatrzy zdaleka, huknie, a przez resztę czasu może się swobodnie bawić jak mu się zechce.

— E! co mi to za rozkosz — przerwał młody chłopak — kiedy ludzi nie ma....

— Toż nas tam bywała gromada, a jak nałożymy gdzie ognia w łożach na hrudku, albo w lesie przy starym piłu spróchniałym. napieczemy kartofli, napieczem grzybów i syrojeżek, przysmażym przyniesionej słoninki, co to bywała za uczta! A jak pocniemy śpiewać, a lasy nam wtórować, aż się serce raduje, tak pieśń nasza daleko rozlega się i leci.

To też kiedy mnie raz pan nasz, dawniejszy dziedzic, świeć Panie duszy jego, napotkał w lesie idąc ze strzelbą na polowanie, zagadał do mnie, a coś mi się widać z oczu podobałem i zażądał mnie zaraz do dworu na kozaczka; samemu Panu Bogu wiadomo, jak mi się tam iść nie chciało!

— Aha! toście dworsko służyli!

— Całe życie, mój synku, całe życie!

— I cóżeście sobie na starość wysłużyli? torbę?

— Oto poczekaj: nie narzekam ja, choć mi się praca moja może nie tak poszczęściła jak drugim; ale uaco by mi się to dziś przydało, gdybym miał i więcej? Ani bym jadł smaczniej, ani spał spokojniej. Posłuchajno, a potem powiesz, czegom się dosłużył. Przeprowadzili mnie tedy nazajutrz gwałtem do dworu, odzieli,

umyli, postrzygli, i nie było rady: choć się płakać chciało, musiałem zostać gdzie kazano. Ano trzeciego, czwartego dnia jużem się był wciągnął do roboty, bo to nie było nic tak ciężkiego: otargiwano mnie w kredensie dopóki nie puszczone do pokoju. Pan nasz był wówczas jeszcze nie stary człowiek, piękny mężczyzna, a co lepiej, najpocziwszego serca. Ledwie zagadał, już się czułem, że go pokochać musisz i poszanować, bo z wejścia i postawy pan był całą gębą: choćbyś go w sukmanę przebrał, i po nocy poznał, że go Pan Bóg stworzył na panowanie. Aleć to panowanie nikomu ciężkie nie było: do człowieka srogo nie przemówił rozgniewawszy się nawet; milczał tylko i to była największa kara dla ludzi, gdy do kogo mówić nie chciał, a twarz odwracał. Jaki pan, taki kram; i stary kozak, co mnie miał w rękę, i inni dworscy nie byli źli: prędko się oswoił z nimi. Popędzali mną trochę, wyręczali się, ale najwięcej nogi cierpiały na posyłkach, a nie pamiętam nawet, żeby mnie kto trącił lub polajał. Kozak bywało mówi zawsze: to sierota, biedactwo, nie godzi się nad nim znęcać. I zapomniało się życie pastusze, a w kilka tygodni potem, spotykając na grobli starego Hryndę i moich dawnych wiejskich towarzyszków pasterstwa, tylkom się do nich zdaleka uśmiechał, pokazując szarawary z czerwoną wypustką, ale do lasu już nie miałem ochoty. Służba nie była ciężka: pan chciał mnie mieć przy pokoju i do tego tylko wprawiali. Koło niego nie bardzo się kto strudził, najwięcej sam sobie usługiwał, rzadko zapotrzebował człowieka, a obchodził się po ojcowsku. Ze starym kozakiem tak byli jak bracia, tylko kozak często gderał na niego, on na kozaka nigdy.

— Dobrze jakieś widać było panisko.

— Karaj Boże do wieku — odparł lży ocierając stary — nie ma już na świecie takich ludzi: to mi był brat i ojciec!... Mieszkał ot tam, widzicie, gdzie sterczy komin starego dworu, ale za jego czasów to inaczej wyglądało.... Ho! ho! taki był u niego ład i porządek w najmniejszym kątku, że na szerokim dziedzińcu słominkibys niepotrzebnej nie znalazł, a dziś to chlewy i rozwaliny!

Stary westchnął ciężko i tak mówił dalej:

— Z domu bardzo rzadko wyjeżdżał, do niego też nieczęsto ludzie przybywali; wszakże gość się czasem trafil, a choć jak w klasztorze, nie było u nas smutno we dworze, bośmy się zawsze i on i my koło czegoś krzątali: gospodarzył, polował, ogródek swój porządkował i czyścił, a chwili nie spróżnował. Lubił konie, psy, polowanie, drzewa, czasem nawet na ryby chadzał, i ot tak czas płynął, żeś się nie obejrzał, jak drugi koniec roku zobaczył. Nieżonały był i sam jeden jak palec. Gdzieś, mówili, zdaleka przyjechał i majątek ten kupił, a już do niego ludzie tak przystali, jakby z pradziadów żyli pod nim, i kochali go we wsi jak ojca.

Latwoż-bo się było do niego przywiązać, takięto było serdeczne i pocziwe, a względne na biedę ludzką i człowieka najmniejszego, że nikt do niego nie przyszedł darmo i nie odszedł z żalem. Ja tam się taki zaraz przywiązał, i w pół roku jużem starego kozaka, który nie zdązał, zastępował przy nim. Tamtemu się chciało wypocząć, bo miał sobie nadano grunt i dożywocie; to też mnie wyuczywszy i wpusciwszy do pokoju, sam się prędko do chaty wyprosił. Ale co to nałóg stary: zdawało mu się, że już będzie odpoczywał na swoim, a po trzech tygodniach jak począł z nudy

zaglądać do dworu, tak często chatę kolkiem podparłszy z nami lulkę kurzył, siedząc w ganku od rana do nocy. Którego tylko dnia pana nie zobaczył, to jakby nie jadł, tak um koło serca było głodno.

I mnieby też był już biczem nie wypędził od niego, bo panisko był jakich nie ma, powiadam wam.

Dość powiedzieć, choć to głupstwo, tak każdego uważał, że kiedy co smaczniejszego jadł, czy to owoc z ogrodu, czy potrawę jaką, nigdy się nie traфіło, żeby choć kaska ludziom do skosztowania nie zostawił. W kilka lat, kiedym go lepiej poznał, stał mi się ojcem, i jak każdy z nas, życiebym chętnie dał za niego. Ze wszystkich dworskich najbliżej go byłem: chodziliśmy razem na polowanie, które niezmiernie lubił, jeździliśmy na rybę, pracowali w ogrodzie. Bywało pamiętam do dnia wstajemy ochocho, a stary Bekas, wyżeł jegomości, czując co się święci, podskakuje, wykreca się i szczeka; my torby na plecy i w chrusty lub na błoto, a czasem i dzień tak cały o kieliszku wódki, chlebie i serze przechodzimy. Dziwilem się, że taki pocziwy człowiek mało żył z ludźmi; ale kiedym go bliżej poznał, dopatrzyłem się, że choć pocziwie dźwigał się i krzepił i uśmiechał, coś tam było w jego życiu takiego, o czem nikt nie wiedział, a co mu je truło. Bywało najweselszy zamysli się nagle, westchnie, łzy mu po twarzy jak groch pociekną, ale ledwie je poczuł — oho! już albo strzelba na ramię i w las, albo na ogród, albo do jakiej tam roboty, i nie poznasz, że płakał.

Takiegom-to ja miał pana, a było mi tak dobrze, że człowiek o sobie ani myślał. Dorosłem lat, on sam mi się uaprzykrzał, czybym się ożenić nie chciał i osiąść na gruncie: ale jakże się było od niego oddalić?

Przytem że u nas we dworze takeśmy byli od kobiet odwykli, jakby ich na świecie nie było; i zdawało się, że bez nich całe życie obejść się można, a kozak stary utrzymywał, że to tylko śmiecie robi.

A przecie potem sam się ożenił!

Pan nie zagadał do żadnej, nie spojrzał nigdy; my też choć się czasem poswawoliło za dworem, ale nam w głowie nie postalo, żeby się ożenić! I tak pan sobie postarzał, i my sobie: jedni pomarli, drudzy jak ja powoli starzeć poczęli; a ja rychlej niż kto, bo mi w trzydziestu latach nie wiedzieć z czego głowa poszpakowaciła. Życie się we dworze nie zmieniło, jegomość wciąż krzepko się trzymał, na polowanie chodził; wszakże coraz mniej zapalczywie, więcej około ogródka się krzątając, bo na nogi szwankować powoli zaczął. Myślę, że je chodząc po błocie zerwał, bo chodził bardzo wiele i niezmiernie szybko.

Kiedy się począł pochylać i trochę niedomagać, jeszcze jakoś smutniejszy się zrobił: pracy już mu było dobrać ciężko, do książek się wziął więcej a stękał, i w nocy wzdychał czasem, wywołując imię boże, aż mnie śpiącemu w drugiej izbie lzy się do oczu cisnęły. Cośmy go chcieli zabawić, to tem, to owem, coraz nam przychodziło ciężej. Jam mu ptastwo hodował: rozrywało go to trochę, ale z dnia na dzień zaczął gorzej zapadać i obojętnieć na wszystko.

Jak się tylko położył, zaczęli powoli zaglądać do nas zdaleka jacyś dotąd nieznajomi panowie. Przyjechała jakaś jejmość, mówiono że jego bratowa; potem mąż jej, jakoby brat pański, różnych krewniaków siła, co go dawniej ani znali, a teraz nie wiem jak i z kąd z pod ziemi powychodzili.

Ale takięto wszystko było do niego niepodobne, jakby mu zupełnie obce: grzeczni, potulni, cicho gadający; tylko od ich własnych ludzi wiedzieliśmy, że się to poprzebierało dla jegomości, bo doma byli całkiem inni. Nie wiem jakto pan hurtem wszystko poodprawiał, że za jednym zamachem pojechali z gniewem, a myśmy znówu sami chwala Bogu zostali.

I ot tak wlekło się życie coraz smutniejsze, anim się opatrzył, jak lat trzydzieści z okładem przesłnyłem przy nim, a ostatek prawie ciągle przy łóżku. Bywało tyle jego zabawy i rozkoszy, co ze mną, ze starym Bekasem i hodowanem ptastwem dzikiem, albo jak mu jaka książka do smaku przypadła, to ją dzień i noc czytał i zdawał się być spokojniejszy. Widać już było, że meta niedaleka, aleśmy go tak kochali, że żaden z nas o sobie nie pomyślał, a śmierć jego ani się nam nawinęła na pamięć, ani co tam potem będzie. Miałem około lat czterdziestu, kiedy poczeiwe panisko umarło. Spędziłem życie przy nim, przywykłem jak pies do niego, i kiedyśmy go położyli na katafalku, myślałem, że i ja się na nim wyciągnę, tak nie wiedziałem co począć z sobą.

Siadłem w nogach i płakałem. Przyjechali sądowi, popieczętowali, spisali, ktoś tam się zajął pogrzebem; ja ani wiem co się ze mną działo. Nazajutrz wróciłem do pokoju, pozamiatałem, poskładałem wszystko jakby żył jeszcze, i osłupiały czekałem nie wiedząc czego. Chwilami zdawało mi się, że to tylko sen jakiś przykry. Nierychło dopiero przypędzili pocztą krewni, owa pani bratowa, brat, bratanki i cała czereda, i nuż się tn dopiero ujadać, szukać testamentu. Zburzyli dom cały, a gdy nic się nie znalazło, podobno odepchnąwszy resztę

familii, wzięli wszystko pan brat i bratowa.

Nuż tedy robić porządek, sprzedawać, wypuszczać arendy, pieniądze ciągnąć i swój rząd stanowić. Ja tylko prosiłem, żeby mnie przy dworze zostawili; ale na co im był dwór kiedy tu mieszkać nie mieli. Kazali mi iść na wieś do chaty; nie było dokąd, a że pan nieboszczyk nie rozporządził niczem nie wiele brakło, że bym znów pastuchem nie został na miejscu starego Hryndy. Tyle mieli łaski nademną, że gdy się przekonali jak im wszystko oddałem w całości, pozwolili mi resztę życia swobodnie tu przepędzić. Chaty żadnej nie było wolnej, krownych nie miałem. Widzicie tam starą rozwaloną karczmę nad bindugą, podle dębów za mogilą? Otóżto tam dali mi kąt i ogródek za roczny czynsz trzy rublowy. Tu już lat dwadzieścia i kilka mieszkam i Pana Boga chwale: co dzień pójdę do dworu, pomysłę, popłaczę i nazad do mojej dziury.

— Tak sam jeden?

— Jak widzicie. Moja-to już dola nie mieć nikogo i umierać samemu! Od czasu jak pan umarł, anim się ja do żadnego człowieka, ani się do mnie człowiek żaden nie potrafił przywiązać. Nie skarzę się, bo mi na wsi krzywdy nikt nie robi, prędzej pomoże; aleu taki sam jeden.... a! jak palec....

— Na starość to tęskno — odparł parobczak.

— A tęskno — westchnął stary — niema co mówić, ale cóż ma to poradzić? Z siwym włosem i o kiju żenić się nie pora, a ktoby tam za mnie poszedł, chyba taka, którejbym ja nie chciał. Brata, swata, rodzonych, nie dał mi Pan Bóg; co robić! trzeba samemu zdychać jak się samemu żyło.

— I nie narzekacie? — spytał zdziwiony Hlisał.

— Albohy to co pomogło? — rzekł powoli uśmiechając się starszerek — albohym Pana Boga obraziwszy, sobie ulżył, czy Iosu odmienił? Czyto zresztą człowiek choćby i do takiego życia się nie przyzwyczai?... Aby dzień do wieczora!

To mówiąc westchnął, fajkę wytrząsł i za kij swój wzięwszy, gotował się odchodzić.

— Dobranoc wam synku!... A wy tu myślicie uocować?

Żyd prosił, żebym tu przespiał w skarbówce, bo tam worki z mąką i fasy ze słoniną, to sie boi szkody.

— U naszy to szkody być nie powinno, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże — odpowiedział stary — ta i dobranoc wam....

— Dobranoc bat'ku! dobranoc!

I rozstali się tak ci ludzie, których traf zbliżył, a godzina roznowy poprzyjaźniła, wiedząc, że się już może w życiu nigdy więcej nie zobaczą. Dziwna rzecz, im prostsze obyczaje, im pierwotniejszy stan społeczności, tem, uważaliśmy to zawsze, stosunki przyjaźne między ludźmi są łatwiejsze, bardziej braterskie i prędsze. Cywilizowani naprzykład im więcej chcą za ucywilizowanych uchodzić, tem grzeczniej i przyzwoiciej unikają zbliżenia się do siebie, omijają się. Przemówić do nieprezentowanego i nieznajomego człowieka jest prawie grzechem towarzyskim; przypytać się kogo przy pierwszym spotkaniu, niedarowaną nieprzyzwoitością. U ludu wcale inaczej, nie powiem że gorzej; godzina jedna spaja i brata, słowo pocziwe lub twarz obiecująca wywołują zaraz wywnętrzenia, przyjaźń jedna się łatwo, i bywa gorącą jak nienawiść. Ludzie tu są jeszcze ludźmi, pó-

źniej przerabiają się na jakieś lalki, pewnym pociągnięciem sznurka posłuszne.

Stary Jermola z głową przypominaniem życia swojego nabita, powracał do domu powoli, a parobek wiszącą piosenkę i myśląc o biednym działku sierocie, przygotowywał garść słomy, na której miał się położyć we drzwiach skarbówki, rad będąc odpocząć, bo po zachodzie słońca wieśniak gotów usnąć w każdej godzinie, byleby mu było wolno.

Jermola tymczasem powlókł się do domu, do którego niedaleką miał drogę. Pomiedzy wioską a brzegiem rzeki, na piaszczystym wygonie zarosłym zrzadka wyniosłemi starymi sosnami i wieknistemi dębami gdzieś niegdzie poobcinanemi przez leniwych gospodarzy, którzy po drwa do lasu jeździć nie chcieli, widać było budowę dziwną, służącą staremu za schronienie. Nie chata, nie dwór, raczej pustka i ruina, stara karczma opuszczona, niegdyś na zbyt wielką pobudowana skałę, zrzuconą jakimś przypadkiem, bez dachu, ze sterczącemi krokwiami golemi i częścią słomianego poszycia, zawieszzonego nad kawałkiem ścian jeszcze cało stojących. Jeden róg w zrąb zbudowanego karczminiska, choć wychylony i skantowany, trzymał się jeszcze; widać w nim było okno nawpół zalepione gliną z kilką szybami u góry, drzwi polatane na nowo, i ściany, które od dawnej pobiałe i nalepy, dziś szary tylko i wątpliwy kolor zachowały.

Reszta gospody cała była stosem przegniłych belek i brusów, poczerńiałego drzewa, kupą gnoju porosłego chwastem i bezkształtnem rumowiskiem. Jakim cudem trzymał się tam ten dachu szczątek nad izbą mieszkalną i sama budowa, może podpierana nawalonemi obok

gruzami? — odgadnąć trudno.

Obok niej plot z żerdeł ogradzał maleńki kilka grzędowy ogródek, opasany kilką wzniosłemi dębami i sosnami.

Nad dachem stary komin obnażony, czarny popękany, znać służył na coś jeszcze mieszkańcowi tego kąta. Ruina ta jak większa część naszych zwalisk drewnianych, nie miała wspaniałości i powagi rumowisk kamiennych, nieszlachetną była i brudną: mogłeś policzyć ile jeszcze lat żyć będzie, dopóki się nie zmieni w mogilę chwastów bujnych i zielsk nienżytecznych. Zgnilizna od drzewa na ziemi przechodziła do ścian trzymających się jeszcze, i dać ją było poczynającą dzieło zniszczenia, gdzie tylko upadły tynek i glina. Smutno było spojrzeć na te zwaliska i pomyśleć, że człowiek jakiś został zmuszony w nich zamieszkać. A jednak przywykły do swego śmietniska Jermola, bez wstępu zbliżył się do tej kletki, otworzył drzwi i wszedł do swojej izby: a że w niej już panowała ciemność, naprzód skrzesał ognia i podpalil trzaski przygotowane w piecyku.

Powoli rozjaśniały kątki alkierza i już go można było obejrzeć przy blasku suchego łączywa. Była to niewielka izdebka narożna, nad którą ścieł i dach trzymały się jeszcze: dawniej musiała być to sypialnia i skład pana arendarza. Drzwi wiodące od niej do drugiej izby szynkowej, dziś zrujnowanej i niemieszkalnej, zabite były deskami i oblepione słomą z gliną; stary piec co rok poprawiany i lepiony, straciwszy już dawny kształt prostokątny, wyglądał garbato, koszlawo, nieforemnie i guzowato, zamiast blaszki zamykał się kilką ceglami. Obok komin całkiem był zamurowany, wierz-

chui gżems jego służył za rodzaj pulki, a wewnątrz zastępowało szafę.

Sprzęt jak się domyślać łatwo, nie był wykwintny: na wpół wiejskiego pochodzenia, od siekiery obrobiony, wpół z resztek i łomu dworskiego się składał. Gdy Jermolę odprawiono z próżnemi rękami po trzydziesto-kilkoletniej służbie, za całą nagrodę steranego życia dano mu jakieś resztki potłuczone i niepotrzebne, które miano na śmietnisko wyrzucić. Z tych szczątków skrzętnie ubóstwo złożyło sobie sprzęt prawie wygodny; prze-myślny Jermola umiał skorzystać z najlichszej drobnostki, i izdebka jego ubrała się w pamiątki po dziedzicu i latach młodości. Spał na starej kanapie z powyginanemi nogami, niegdyś białe ze złotem lakierowanej, w głowach miał stolicek z szachownicą jeszcze Kolbuszowskiej roboty; para krzeseł deskami zamiast poduszek pozabijanych, widocznie pochodziła z Gdańska, ale już sznurki tylko i ćwieczki wstrzymywały je od rozsypania. Obok nich skrzynia zielono malowana, i kuta w domu, wiejskiej była fabryki; ława ledwie ociosana stała przy drzwiach, drugi stolik nie zheblowany nawet, pośledniejszą zastawiony był poternuchą garnuszków i miseczek. Ale za to na kominie, zlepiiony karnikiem, świetnie się wydawał dzbanuszek z sewerskiej porcelany bez ucha, jaśniały musztardniczka, imbryczek saski na nóżkach, z których jedną przed 50 laty odbito, filiżanka *wydzwudowa* i prosta ruska maselniczka w kształcie baranka. W ten sposób cała przedstawiała się izdebka: uboga, chędogo a smutna tem, że ją składały same resztki dawno zapomnianego dostatku, na pokrycie dzisiejszej nędzy służące. Kilimek przy ścianie był turecki, ale dziurawy i połatany, a spotykał się z prostym kraj-

czakiem u łóżka; obok garnków świeciły resztki szkła, porcelany i fajansów, przy mahoni sośnina. Na ścianie obok nieforemnego obrazka Bogarodzicy Poczaejowskiej, wisiał przepyszny, ale szkaradnie zamokły sztych Rafała Morghen'a, przedstawiający wieczerzę Leonarda, której całego rogu brakowało; dalej dwunastu apostołów pochodzących od Hoffmana z Pragi, i niemieckiej szkoły na drzewie uszkodzone malowidółko, Narodzenie Pańskie.

Całą rzeczywistą ozdobą tego kąta była jego czystość i panujący w nim porządek: nie dostrzegłeś nigdzie pyłu, nigdzie śmieci, każda rzecz stała w miejscu; a choć w tej biednej izdebce mieściły się i zapasy, i jadlo, i kuchnia ubogiego, i spiżarnia i odzież, i wszelki dostatek jego, nie znać było ani nagromadzenia, ani bezładu. W ścianach porobione były szafy i pułki, pod stolami stojące skrzynie, komórka zapieczkowa, komin zapuszczony suknem, służyły za składy. Nawet drewka i trzaski z pewną symetrią w wyznaczonem sobie miejscu nałożone były. Miał wprawdzie Jermola obok w opustoszonej szynkowni zagrodzony kąt, w którym część grubszych swych zapasów zwykł składać; ale tam bez zamku niewiele mógł rzucić, bo nędza z nędzą, nierozbierając praw własności, chętnie się dzieli.

Wszedłszy i rozpaliwszy skalki w piecyku, bo świeca była dlań rzeczą zbyt kosztowną, stary obejrzał się wprzód, czy wszystko w porządku zastał; poszedł do garnka, aby sobie przygrzać wieczerzę, którą mu przynoszono ze wsi od kozaczychy, lub ją czasem w części sam sobie przyskwarzał. a potem usiadł na zydłu przeciw ognia i rozpoczął pacierze.

Wiatr chwilami przebiegał po gałęziach sosen i dę-

bów blizkich zagrody, cisza głęboka panowała dokola. i Jermola zamyslił się modląc, gdy w pośród milczenia, zrazu niewyraźny, potem coraz głośniejszy i dobitniejszy dał mu się słyszeć płacz dzieciececia.

Było to kwilenie niemowlątka.... a tak blizkie, że niemal zdało się gdzieś z pod drzwi wychodzić.

— Cóż to być może? — rzekł w sobie stary przerywając pacierze i powstając z ławy — późna godzina. czyby która głupia baba miała się wybrać nad rzekę z dziecicieciem, albo do mnie po lekarstwo?

Nastawił ucha, ale kwilenie ani się zbliżało, ani oddalało, widocznie dziecię gdzieś leżało w miejsen. Pora nie była po temn, żeby je z przenośną kolebką postawić tam miano; chłód, wieczór, położenie wygonu nie dozwalało tego przypuszczać. A głos dzieciececia kwilił smutnie.

— E! to sowa! — rzekł sobie siadając stary — usiadła gdzieś na dębie i piszczy; ale przysiągłbyś, że dziecko:.... jakto one udawać umieją...

Posłuchał, płacz stawał się coraz wyraźniejszy i boleśniejszy.

— Nie! to nie sowa, to coś niepojętego; trzeba by pójść zobaczyć, może jakie nieszczęście. Ale co by to być mogło?

To mówiąc, chyżo się porwał, czapkę na uszy wciśnął kij wziął do ręki i nawet o ulubionej zapomniawszy fajeczce, za drzwi wyskoczył. Na progu już przekonał się, że najmniejszej wątpliwości nie było, a krzyk nie sowa pewno, ale biedne jakieś wydawało dziecię. Przeraziło to prawie starca i kierowany glosem, począł

szukać zkądby pochodził; zwrócił się zaraz ku ogródkowi i ujrzał coś bielejącego pod najbliższym dębem. Oczy go stare nie zwodziły: na garbie mchem zielonym okrytym, obwinięte w bieliznę, kwiliło niemowlę.

Dziecię! dziecię porzucone, opuszczone od rodziców! — to się w głowie staruszka pomieścić nie mogło. Struchlał z przerażenia, z podziwu, z litości i smutku, podbiegł i nie myśląc co robi, pochwycił na ręce dzieciaka, który uczuwszy może ruch około siebie, natychmiast kwilić przestał.

Jak złodziej z kradzieżą biegł, kija nawet zapomniawszy, stary Jermola do swojej izdebki, powtarzając sobie ciągle:

— Dziecię, dziecię! co to być może?

Nagle przyszło mu na myśl, że przypadkiem zapewne porzucono na chwilę niemowlętko, i że niepokojem matkę nabawić może, gdy go w miejscu nie znajdzie; począł więc wołać głośno i hukać po polesku, aż mu się lata pastusze echem przypomniały; ale nikt nie odpowiadał.

— Juściż tak biednego dziecka na chłodzie zostawić niepodobna — rzekł z wrzuceniem — pójdę do chaty, domysłą się gdzie się podziało.

Otworzył drzwi, w piecu było przygasło, ciemności okrywały izdebkę; żywo złożył swój ciężar na łóżku, a sam jął się rozpalać trzaski i wióry, których nie oszczędzał tą razą.

Gdy światło znów zabłysło, a stary przybiegł do kwilącego znowu dziecięcia, podziwienie jego i przestrah wzrosły do najwyższego stopnia. Dziecię to widocznie nie było wiejskie; samo spowicie dowodziło tego. Jermole w głowie się pomieścić nie mogło, jakim

sposobem, z jakichkolwiek bądź powodów, matka czy ojciec potrafili wyrzec się tej małej, niebezpiecznej istoty niewinnej, na którą patrząc płakał z litości i wzruszenia.

W istocie od usłyszenia pierwszego płaczu do tej chwili, nieznanne jakieś uczucie owładnęło starcem dotąd spokojnym; czuł się poruszonym, przełękłym, ale zarazem ożywionym, jakby o lat dwadzieścia odmłodniał. Z ciekawością zbliżał się do zagadkowej istoty, którą los, jakby ulitowawszy się nad jego osamotnieniem, rzucił mu na pociechę właśnie, gdy myśl szukała jakiegoś węzła, co by go jeszcze ze światem połączył.

Dziecię starannie obwinęte, było widać przysłonięte umyślnie w ten sposób, aby z pieluch nawet pochodzenie jego wydać się nie mogło. Matka wyrodna czy ojciec obojętny, z resztką jakiejś troskliwości o nie, obmotali całe szluka grubego białego perkalu, która tylko część twarzyczki rozplakanej zostawiła odkrytą.

Jermola wpatrywał się w nią z uczuciem osłupienia i załamaniem rękoma.

Nierychło mu przyszło na myśl, że tu coś radzie potrzeba, że dziecko płacze może głodne, że na niego spada ciężar niespodziany, któremu poddać będzie trudno i nad siły. Błyskawicą przesunęły mu się przed oczyma: manki, kołobka, niańczenie, macierzyńskie starania i niedostatek, który mu nie dozwalał nikogo nająć do dziecięcia.

Najemne też ręce zdały mu się niegodnymi dotknąć tego bożego daru, za jaki podrzutek uważał, już się rachując niejako za przybranego ojca, przez Opatrzność wyznaczonego sierocie. Błysło mu w oczach, że mu to dziecko odebrać mogą, i nim się zastanowił co z niem uczyni, przeląkł się tej ostateczności.

— Nie! ja go nie oddam nikomu, to moje dziecko, moje! sam Bóg mi je zesłał: nie porzucę sieroty!

Ale radzić było pilno, dziecko kwiliło i płakało znowu. Jermola wziął je na ręce... Co tu począć? do kogo pójść po radę? co najpierwej robić?

Gdy je tak nosi po izdebce niemal oszalonego swą dziwną przygodą, z powiniecia wysunął się zwitek ciężki i upadł na ziemię. Jermola zdziwił się bardziej jeszcze, podniósł i postrzegł w białym papierze zakreślonych kilkadziesiąt sztuk złota.

Omało dziecięcia nie upuścił....

— A więc to ktoś dostatni wyrzekał się swej krwi, płacąc, by mu ją ktoś odebrał!

Zamyślił się starzec usiłując odgadnąć świat, którego do tej pory tak mało rozumiał, a może intuicyjną siłą serca pojął chwilowo całą czarność, nędzę i cierpienia żywota....

— Mój Boże! — zawołał — znaleźliby się może i tacy, co by ten grosz odebrali sierocie.... Nie! nikt o nim wiedzieć nie będzie, schowam go dla wychowanka gdy dorośnie, a wyżywić go i sam potrafię.

I rzucił złoto w szkatułkę starą stojącą przy łóżku, w której swój grosz, jaki miał, zwykł był chować, a sam porwawszy opończę postanowił z dzieckiem pójść na wieś, popytać rady u ludzi.

Biedny starzec otulając swój ciężar, skłopotany, przerażony i szczęśliwy zarazem, do najbliższej wbiegł chaty.

Siedziała w niej wdowa po kozaku owym Harasymie, którą też od służby mężowskiej pospolicie koczyczą zwano, z córką jedynaczką ukochaną, której od lat kilkun szukając męża, wyszukać nie mogła, choć dziewcę warte było załatów.

Chata, którą jeszcze nieboszczyk dziedzic uadał Harysmowi na końcu wsi, ku brzegowi Horynia posunięta, mogła starego dworaka upoważniać do odpowiedzi: „Moja chata z kraju, niczego nie znaju!“ bo za nią był tylko wygou i pustka, w której mieszkał Jermola. Z dawnych stosunków dworskich, między temi dwiema lepiankami pozostał węzeł przyjazny: kozaczycha opierała Jermolę, brał u niej jedzenie, a czasem w złej godzinie przychodził szukać pociechy, częściej jeszcze gawędy i dobrego słowa. Ale tam lepiej się działo niż u biedaka Jermoly; dostatek był większy, a że babka skąpa i rzadka, nigdy na przednówku nie brakło niczego, i grosz jeszcze lub miarka zboża po ludziach się znalazła.

Chata dziś postarzała i czarna, choć ją kozak budował z pomocą pana i z wielkiem staraniem, podobna była wszystkim innym, które zaraz za nią długim się ciągnęły sznurem: drzewo tylko użyte na ściany grubsze było, a wewnątrz trochę lepiej, bo piec i komin porządny, a izba nie kurna.

Do niej należał ogródek tuż wydzielony w połowie na ługu, i drugi obszerniejszy, na którym siano żyto lub jarzynę, nieco opodal z polami wiejskimi w łanie. Kozaczycha miała krów cztery, z których zbierała ser i masło i sprzedawała je okolicznym dworom lub w mieście; cały plug najczęściej wynajmowany lub wysyłany do obrabiania pola na wspólnie z uboższymi; dziesięć owiec, troje ozimków, a nawet konia do brony kupiła była, choć się jej nie powiódł i znosacił z zapuszczonej zolzy. Oprócz niej i córki był w chacie stary Chwedor parobek, już poszpakowawali na cudzym chlebie, nieco głuchy i wielki pijak; chłopak wyrostek sierotka, i dziewczka najmłodsza. Słowem gospodarstwo to wcale za-

możne, kierowane przez starą wdowę, tem dziwniejszem czyniło, że po rękę Horpyny nikt się dotąd nie zgłaszał, zwłaszcza że sama dziewczyna już dochodząca dwudziestki, była bardzo piękna i za najcelniejszą krasawicę na wsi uchodziła.

Ślusznego wzrostu, co widać wzięła po ojcu, zręcznej kibici, czarnobrewa, kiedy się na niedzielę wystroiła w krocie wstążek, w granatową bekieszę i żółte po wołyńsku buciki na wysokich obcasach, wyglądała jak przebrana pani. Chłopcy oczy nią paśli zdaleka, wzdychali, czapkami kręcili, w głowy się skrobali, ale zbliżyć się do niej żaden nie śmiał. Naprzód, że istotnie Horpyna dumna była jak wielka pani; powtórę, że pocichu powtarzano, jakoby od lat już dwóch dojeżdżał do niej szlachcic, który wprzód we wsi pisarzem służył, i ona go kochała i on do niej przylgnął zapamiętale. Od tej pory każdy parobczak unikał od kozaczanki, i dziwy prawili o tych miłostkach pokątnych.

Stara jakby nic nie widziała, swatała się z córką po wsi jak mogła i umiała, jeździła z nią na odpusty, zapraszała na wieczorynki i doświtki. Spijano, zajądano, bawiono się, ale Horpyna nie doczekała dotąd od nikogo flaszki z rącznikiem.

Trafił tak Jermola, że nie zastał żywej duszy przed chatą kozaczychy, gdy się do niej zdyszany zbliżył z kwilącym znowu dziećciem; światło tylko buchające przez okienko zwiastowało, że gospodyni domu. Wszedł więc wprost ze swoim zawinięciem do świetlicy starszerek.

Kozaczycha siedziała na ławie przy stole, podparta na rękę i zadumana, a Horpyna przy piecu, obie milczące i smutne, podniosły oczy razem, i ujrawszy Jermolę z dzieckiem, zerwały się z krzykiem podziwienia.

— Co tobie stary? co to jest? — zagadnęła matka.

— Co? co? — zawołał przybyły padając na ławę i na kolanach składając dziecko, z którego oka nie spuszczał — ot co, widzicie.... mnie.... dziecko pan Bóg dał!

— Tobie! jak!

— Dziw! cud! sam nie wiem co robić! Tylkom co powrócił z nad rzeki od drzewa, gdzie byłem na balach, zapaliłem ognia i począłem się modlić, gdy słyszę coś piszczy pod dębami: ni to sowa ni to dziecko.... Myślę sobie puhać, bo tam są dziuple w starych dębach; modłę się dalej, a tu znówu płacze. Skorciła mnie, a no wyjrzę.... Pobiegłem, przychodzę, patrzę, i ot co znajduję.... dziecko.... Co tu teraz robić?.... co tu robić?

Stara i młoda, obie niewiasty stanęły ciekawie nad Jermolą opowiadającą, kiwając głowami w milczeniu.

— Ktoś podrzucił — zawołała stara — ale kto?

— A któżby tak mógł dziecinę porzucić? — z oburzeniem podchwycił stary — czy to może być?

— Oj! oj! znamy my takich ludzi, — odezwiała się kozaczycha trzęsąc głową na wszystkie strony — nie takie to historie opowiadają o złości ludzkiej, alboście nie słyszeli o niemowlątku, co to je wyrodna matka na pastwę wieprzom wrzuciła w koryto, żeby śladu jej sromoty nie zostało?

Stary Jermola niezrozumiawszy, spojrział prawie wielkimi oczyma na kozaczychę, i ruszył ramionami; tymczasem dwie niewiasty aż poprzyklekały przy dziećciną, żeby mu się przypatrzeć.

— A w jakieżto białe poobwijane rańtuchy?

— A jakie delikatne!

— Pewnie pańskie, bo u nas ktoby co podobnego odważył się zrobić: *zawodu* na to nie ma.

— I wybrali miejsce pod waszą chatą!

— Ale radzicie, co ja z niem będę robić?

— Jak zechcecie, — odpowiedziała kozaczycza — możecie odwieźć do ekonoma, a on odstawi do *pomocnika* i zabiorą sobie gdzie do jakiego szpitalu...

— Zabiorą! — krzyknął Jermola z płaczem w głosie — a to mi ślicznie radzicie! A będąż doglądać, pilnować, gotowi umorzyć niemowlątko!

Stara ruszyła ramionami.

— A wy jak sobie z niem radę dacie?

— Radźcież na to kumo!

— A jakże myślicie?

— Czy ja wiem co myśleć — przerwał stary — mnie się w głowie zawraca co tu począć. Za nic porzuciłbym nie rad dziecka, które sam Bóg oddał mojej opiece. wychodować go nie wiem czy potrafię.... Tylko mi się zda, czemużby nie!

— Będziecie je musieli oddać na mamki, to najprędzej do Jurkowej niewiastki.

— A! za nic! — zawołał Jermola — ot to! taka zła baba, toby mi je przymęczyła, a zażądałaby ode mnie niewiedzieć czego, kiedy u mnie grosz grosza goni.... Gdybyście mu dali mleka: patrzcie, jak się maże i płacze. możeby pilo.... Jabym u was najął mleko dla niego.

Kozaczycza rozśmiała się.

— Cóż? i sami niańczyć będziecie? sami bawić, chustać, kołysać? A! to chyba nie już więcej robić nie będziecie mogli! Dziecko, to wiekniasty kłopot; pamiętam, com ja miała ze starszym, z tym nieborakiem Tymoszkim, który roku nie dożył, a i z Horpyną: ani dnia, ani nocy spokojnej.

— Alboto ja i tak bardzo śpię, czy tak bardzo co robię wiele? — rzekł uparty Jermola, który się do swojego zuajdy przywiązywał coraz bardziej — mnie aby się tylko parę godzin przespać, a dziecko to prawie ciągle spi a spi, byleby nie było głodne.... Zuajdę czas i przedrzemnąć się, i do ogródka zabiedz, i kartotli sobie upiec.

— Ale czemże je karmić będziecie?

— Ano, mlekiem.

— Kiedy ono może i pić jeszcze nie potrafi, takie male....

Jermola westchnął.

— Nie potrafi.... to się nauczysz! Ale co tu poradzić?

Kozaczicha powoli wzięła mu z rąk niemowlę i poczęła się w nie wpatrywać, ono kwiliło. Córka jej pobiegła po świeżo udojone mleko, a przywabieni ciekawością i słowem rzucouem przoz Horpynę sąsiedzi, schodzić się poczęli po jednemu, po dwóch, dalej całemi gromadami, i obstąpili kolem starego.

Jak wieś wsią, za pamięci najstarszych ludzi, nigdy się tu nic podobnego nie trafiło, słyhać o tem nie było. Gadano nie mogąc się nagadać.

Radził wójt, radziła gromada i starzy i młodzi, i kobiety i parobcy, ale nic uradzić nie mogli, bo wciąż powtarzali jedno, jednakowo się zbijając i zuów powracając do pierwszego, a zawsze swatając na mankę Jurkową niewiastkę.

A co było domysłów, co przypuszczeń dziwacznych, co żartów i co narzekan na nie poczcuiwych ludzi!

Nikt jednak poszlaki nie miał o sprawcy, we wsi nikogo obcego nie widziano pod wieczór, ani w pobliżu nawet; drogi były puste, w karczmie, na przewozie,

nie pokazał się żaden podróżny. Gdy się dosyć nagadali, narozprawiali i powoli rozchodzić się już zaczynali, niosąc po wsi owę osobliwszą nowinę, stary Chwedko, znany bardzo posiadacz dereszowatej kłaczy, oparty na kiju, zebrawszy myśli, tak się odezwał do Jermoly:

— Ot co mi teraz na pamięć przyszło: słyszałem to już temu lat będzie ze dwadzieścia, w Małyckach owdowiał był gospodarz znajomy mi; żona mu w słabości zmarła i zostawiła sierotkę, tylko że na świat przyszłą. Biedaczysko jednooki, ubogi, nawet mamki znaleźć nie mógł; chodził od chaty do chaty, a nie wyprosił nigdzie, żeby mu córeczkę przyjęto, a nie miał nawet i krowy, żeby ją mlekiem karmić. Wicie co poradził sobie? — kozę słyszę kupił za ostatniego pół rubla, co mu został od pogrzebu, i ta wykarmiła córkę, taką śliczną dziewczkę, jakiej na okolicę nie ma.

Jermola aż się porwał.

— Dawajże tu kozę! — zawołał z żywością — jest gdzie koza... kupię kozę...

— Koza u arendarza.

— Nie ma rady, idę i kupuję...

I już ruszył się do drzwi, kiedy go zarazem i kozaczycha i Chwedko wstrzymali.

— Bój się Boga! — zawołał chłop — a to cię żyd zedrze ze skóry, jak się dowie że koza potrzebna.

— A! niech weźmie co chce, aby kozę dał!

— Ostatnią koszulę oddasz za nią — przerwała zapalonemu kozaczycha — czy ty nie znasz Szmula? toż to okrutnik, że i między żydami poszukać podobnego... Powoli na miłość Boga! choć już kłamcie, że dla chowu potrzebujecie, bo ci za nią drożej krowy każe zapłacić.

— Pójdęno ja z tobą — rzekł Chwedko — zobaczycie, zdurzym żyda.

— Ale cóż zrobić z dzieckiem?

— Nie turbujcie się, zostawcie u nas, nie mu się nie stanie.

— Jeno zmiluj się matko — rzekł Jermola troskliwie — ostrożnie koło niego!

— A! on mnie będzie uczył, patrzcie! Co to pierwsze u mnie czy co! Ja je ukolyszę, mlekiem napoję, choćby na palcu po kropli dawać przysło... Tylko się już nie frasnucie.

— Ja się duchem zwinę — odparł Jermola — ale proszę was, żeby się co dziecku nie zrobiło.

Stara się aż z niego rozśmiała, taki był skłopotany. Dopiero na wychodnem przypominał sobie jak dawno fajki nie palił, dobył lneczki, która go nigdy nie opuszczała z zauadrza, ułożył szparko, zapalił i razem z Chwedką puścili się pomimo ciemnej nocy ku nowej karczynie, w środku wsi położonej.

W wiosce, w której dla bindugi i brzegu napływ ludzi jest ciągły, handel drzewny żywy, flisy, kupcy i ich faktorowie kręcą się nieustannie: lada żydek ob-szarpańiec siedzieć w karczynie nie może. To też w Popiełańskiej gospodzie ów Szmul królujący nietylko włóści, ale okolicy, wcale nie był pospolitym szynkarzem, jeżdżącym z beczką po wódkę o trzy mile.

Był to żyd zbogacony udziałem, jaki miał w kupie towaru leśnego, handlem smolą, łuczyną, popiołami i dziegciem, brakiem klepki i belek, obodami i wszelkiego rodzaju poleskim produktem, aż do grzybów i suszonych jagód. Szynk także dawał mu, zwłaszcza na wiosnę, zyski nie do pogardzenia; a pan Szmul

czując już trzos nabity i ważność swego położenia, powoli chorować zaczynał na morejnę. Nowa karczma w której się mieścił, nie miała już pozoru starych gospód, których kształty zachowały dawne podaniowe formy słowiańskich gromadzkich budowli wiecowych, na narady i obrzędy publiczne przeznaczonych. Brakło jej zajazdu wspartego na słupach, bo na podróźnych nie oglądała się wcale, a dla kupca żyda miała szalasy, dla zatoczenia budy jego wystarczający: wyglądała więc raczej na dosyć porządną dworek szlachecki. Z jednej strony wielką izbę poświęcono w niej na szynkownią, otoczywszy ławami do ścian przymocowanymi i ogromnym opatrzywszy stołem, a w przepierzeniu od alkierza urządzono szynkwans zamykany na noc rodzajem podnoszonej okiennicy, na której we dnie wydawano wódkę, podpierając ją starym kołem brzoźowym. W drugiej domu połowie, nie bez pewnego wykwintu urządzonej, mieścił się Szmul Popielański z całą swą rodziną, zostawując w tyle izdebkę osobną dla kupców przejezdnych.

Pierwsza izba zakrawała na coś bawialnego, bo miała kanapę politurowaną, cycem w gwiazdy żółte pościągniętą, dwa krzesła także z czarnymi strzałami w poręczy, lusterko zamuszone na ścianie, portrety za szkłem dwóch izraelskich znakomitości: rabina hamburskiego i wileńskiego, szafę z porcelaną, rumem, filiżankami i kosztowniejszym sprzętem, i stół kiwający się z lirą, zawsze pokryty kolorową w czerwone wzory serwetą.

Gdybym miał czas i humor potemu, o jakże ważne mógłbym tu filozoficzne wyciągnąć wnioski z tych strzał i liry, dwojga symbolów starożytnego świata,

sponiewieranych do tego stopnia, że o pierwsze plecami się opierają, a drugie depczą nogami! Strzały! strzały w poręczu krzeselka; lira zoszepecona, z drewnianemi strunami, lira Amfiona, Orfeusza i Apollina, podpierająca stolik u żyda! Niestety! *sic transit gloria mundi!*... Strzały nie kaleczą, lira oniemiała — a my wracamy do żyda.

Podłoga w tej izbie była nawet zrazu malowana, ale to ją tylko dziś czyniło pstrokata; piec zamykał się drzwiczkami żelaznemi z galką mosiężną, co wszystko Szmul *proprio sumptu et cura fieri fecit*, dla dogodzenia swej fantazji, z czego zresztą tak się chlubić umiał, jak nie jeden z nas, gdy dwa kolki wbije koło domu, lub ścianę wyklei. W drugiej izbie większej nieco, żydowskie brudy rozpościerały się swobodnie, ale przy nich były ochotki wystawności i pragnienia wygodek. Łoże stało pod sufit wyslane bebeczami kolorowemi, z frankami w kwiaty; była szafa czarna z księgami i papierami, biurko kulawe, a obok kupa kartofli; nieculki, łokszyn, schuący na serwecie, kadka z ponyjami, i przyjacielsko między bachurami chodzący biały indyk, *pater familias*.

Szmul był człowiekiem nie pierwszej młodości, lat pod pięćdziesiąt mającym, żonatym powtórnie, gdyż z nieboszczki miał tylko jednego syna, który już w miasteczku handlował, a jednym potomkiem tym nie mógł się kontentować: wziął więc młodzieńtką ubogą żydóweczkę wielkiej piękności, a ta już mu troje Szmuląt w przeciągu lat niespełna trzech przyprowadziła. Siwe włosy jego ubłogosławiała ta niespodziana jej płodność. Poważny ów, szpakowaty nieco potomek Izraela, zdawał się na pierwsze wejście pięknym i

szlachetnego oblicza; chciało się patrzeć nań, w poczciwość jego wierzyć, ale kłamał jak wielu innych, twarzą, oczyma i pięknoscią swoją.

Nie było bowiem pijawki nielitościwszej nad Popiełańskiego Szmula, a zyski coraz większe nie odstręczały go od małuczkich: obok tysięcy kładł wyszarżane grosze miedziane oblane potem wieśniaczym, i dumny swem położeniem i bogactwem, lud gorzej bydlą odprawiał, obchodząc się z nim bez litości.

Doszło do tego, że wieśniacy pokryjomu z interesami woleli się nieckać do uboższych żydków w miasteczku, niż je tu z nim pod bokiem załatwiać, co Szmula do większej jeszcze przeciw nim pobudzało ządłałości, bo im przebaczyć nie mógł, że mu się obdzierać nie dawali. Uważał to za formalny bunt z ich strony, a że podanie jakieś, gdzieśniedzie dochowujące się, dawało mu niejaka władzę dopominania się o ubytki, gdy kto z ludzi pojechał do cudzego młyna, zdawało mu się, że toż prawo upoważniało go do hałasowania, gdy kto na targ krowę prowadził lub sprzedał korzec zboża bez jego wiadomości. Niesłuchanie czynny, Szmul nie nie opuszczał: wszystko mu było dobre, a czas miał na rzecz każdą. Zimna krew i spryt nie opuszczały go nigdy.

Do tego to wszechmogącego władcy biegł nieopatrzny Jermola w nadziei kupienia białej kozy. Szczęściem, daleko przebieglejszy towarzyszył mu stary Chwedko, bywalec wyuczony ludzkim oszukaństwem, ostrożny i nie żałujący ani głowy, ani nóg, ani czasu, byle grosza oszczędzić. Po drodze dawał Chwedko nanki Jermole, ale ten ich nie słuchał, cały zaprzątuniony myślą, jakimby sposobem kozy dostać. Staruszka ta na nie-

szczęście faworyta Sury i starszego jej synka, który ją czasem za brodę ciągnął, choć go kilka razy potłukła, w najszcześliwszym razie warta była około dwunastu złotych; ale Jermola już był przygotowany dać za nią dwadzieścia, czemu się Chwedko nie tak bardzo przeciwował, zważając okoliczności, bo koza była dojna i nie zbyt stara. Ale jak tu było do Szumła z propozycją przystąpić? Dość, żeby się dowiedział o potrzebie, zdarłby za nią niechybnie; chodziło więc o to, by ją jakoś żyda obejść i trochę oszukać, zapobiegając, żeby on nie oszukał nieboraka Jermole.

Już się zbliżali do karczmy, gdy Chwedko namyśliwszy się głęboko, kazał się Jermole zatrzymać.

— Posiedźcie tu przed tą chatą — rzekł wskazując im miejsce — poczekajcie, pójdę ja przodem i żyda wymacam; nie bójcie się, jakoś to będzie.... ja go nchodzę. Przyjść tak prosto z mostu i kozy zażądać, to on ci ją jak krowę zaceni, trzeba, żeby żyd sam ją zalecał.... Dajcie mi spróbować.

— A cóż zrobisz?

— No! zobaczysz — żywo rzekł Chwedko, biorąc do serca sprawę Jermoly — tylko mnie słuchaj.

Jermola nabrawszy otuchy usiadł pod chatą, potrzebując prócz tego namyslenia i spoczynku; sparł się na rękę i zadumał głęboko, pierwszy raz oddawna zagłędając w przeszłość.

Chwedko pospieszył do szynkowni naprzód, ale tu Szumła nie było: chodziła tylko koza. Uchyliwszy więc drzwi paradyjnego jego izby, dobrze otarłszy nogi, i poprosiwszy wprzód o pozwolenie wniknięcia, z czapką pod pachą wtoczył się klaniając po kilkakroć na progu. Miał i to na nzwadze, żeby stanąć na słomiance, bo

żyd gniewał się, gdy mu jego izbę zanoszono błotem, a dobrze upewniwszy się w pozycji, ręką do kolan poklonił się raz jeszcze Szmulowi.

Potrzeba było chcąc być łaskawie przyjętym, dobrze pamiętać o wszystkich warunkach, tak właśnie jak baczny Chwedko; do nich należało otarcie nóg, trzymanie się n progu, i nie nazywanie starego żyda arendarzem, tylko kupcem, morejne bowiem utrzymywał, że szynk dla niego jest małą rzeczą, i że dla przyjemności tylko na wsi mieszka.

— Nu, a co to powiesz Chwedku? — zapytał z krzesła żyd, który się kiwał nad książką nabożną, ale nabożeństwo przerywał, ilekroć była potrzeba dla interesu, wiedząc, że Pan Bóg cierpliwszy jest od ludzi.

— To, proszę pana kupca, jest tu jedna *okazja*.

Okazja nazywa się n ludzi wszelka niespodziana przygoda, każdy wypadek mogący być powodem do kieliszka.

— Okazja? no? co? chrzciny, zapowiedzi? wesele czy pogrzeb? Umarł kto, broń Boże? Pewnie wódki na kredyt chcecie?

— Ale nie, ja tu przypadkiem dowiedziałem się jednej rzeczy, i chciałem pann kupcowi powiedzieć: może być zarobek...

— Nu! jaki zarobek? — wstając, założywszy ręce za pas i zbliżając się spytał Szmul.

— Jegomość (tytuł ten wielce żydowi smakował), jegomość zna Jermolę, tego starego, co siedzi w obalanej karczmie?

— Jakże nie znam? gołysz! gołysz!

— Tato prawda, ale gdzieś kilka rubli sobie dostał.

— No, to co? chce przepić?

— At! on wódki nie pije, ale jemu do głowy przyszło koniecznie sobie krowę kupić: pół na kredyt, pół za pieniądze.

— Krowę! na co jemu krowa?

— Chciał już iść do miasteczka, ja go wstrzymałem, bo mi coś do głowy przyszło.

— Do miasteczka, zaraz u nich do miasteczka! — podchwycił żyd ruszając ramionami. — A no mów dalej Chwedko, coś tam obmyślił...?

— Ja jemu chcę perswadować, że na co jemu krowa z długiem, lepiej za czysty grosz dojną kozę kupić, i mleko i przychówek mieć będzie. Możebyście wy jemu swoje starą białą sprzedali?

Szmul bacznie popatrzył w oczy Chwedkowi, który się szczęściem nie zmieszał; zresztą trudno się było domyśleć podstępny w narajeniu do sprzedaży białej kozy. Arendarz spróbował go tylko zapytaniem rzuceniem jak sonda w głębinę.

— Jermola tu? w karczmie?

— Nie, siedzi od południa u sąsiadów, ale gdybyście chcieli, to go potrafię tu namówić i przyprowadzić, choć nie rad do karczmy zagląda. Ale może wy tej starej kozy sprzedawać nie myślicie? Ja to tak z dobrego serca dla was ponysślałem, na co pieniądze mają ze wsi wychodzić. A jak wam to nie w ład, to mu dam pokój, niech idzie do miasteczka.

— Czekajno, czekaj — rzekł żyd po namyśle do Chwedka, biorącego już za klanukę — po co jemu do miasteczka....

I zawołał Sury, która weszła z minką kwaśną „pieszczoszki Abizail; poszwargotali coś z sobą, żyd bardzo łagodnie, żona dosyć ostro. Chwedko chciał

z ruchów i głosu odgadnąć jak sprawa stała, ale nie potrafił; żydówka wreszcie odeszła, a Szmul odwrócił się do Chwedka:

— Tyś dobry człowiek — rzekł klepiąc go po ramieniu — jak tobie będzie potrzeba na kredyt, każe dać na rubla, słyszysz? Przyprowadźno Jermole do szynkowni, koza tam jest, niechaj kupuje.... To dobra koza.... on na niej wyjdzie... Bardzo dobra koza.... A wiele ma pieniędzy?

— Tego to ja nie wiem — odparł Chwedko — kilkanaście złotych swoich mieć musi, a kozacycha mu jeszcze miała dopożyczyć.

Żyd w milczeniu pokiwał głową i odprawivszy chłopka, który do towarzysza pospieszył, sam coś cieplejszego na się wzięwszy, gdyż drogie swe i szacowne zdrowie umiał pielegnować, pociągnął powoli do szynkowni, pod pozorem jakiegoś obrachunku ze starą rekrutką zwaną Marysią, która w szabas i nieszabas szynkowała Szmulowi, dzieci niańczyła, krowy doila, słowem służyła im oddawna.

Wielka owa izba ciemna, bez podłogi, obrukana, smutna, oświetlona jednym łuczywem kopącym w kącie, zajęta była w tej chwili przez ową Marysię szynkarke, kobietę tak małą a grubą, że ją chłopci pospolicie do kadłuba kwaszeniny porównywali; ową kozą białą spacerującą i szukającą posilku po kątach, i jakiegoś podróznego Poleszuka, który sakwę i łapcie podłożywszy pod głowę, sam po kieliszku wódki i cebuli, twardym snem ujęty, spał jak kamień, a chrapał jak wóz niesmarowany.

Szmul przeszedł się kilka razy, spoglądając to na kozę, to na Marysię zdziwioną jego przybyciem; zie-

wnął, westchnął, i posłyszawszy szelest w sieni, poszedł coś na okiennicy rachować, ndając niezmiernie zajętego.

Właśnie też wchodzili Chwedko ze starym Jermolą, który drżał jak liść i wstydził się komedji, którą dla kozy odegrywać musiał. Pierwsze jego wejrzenie padło na białą poważną jej postać. i byłby się nieochylnie zdradził, gdyby Szmul to spostrzegł; ale żyd także odgrywając swoją rolę, bardzo zaprzątnionego rachunkiem miał minę, i tyłem był odwrócony.

— Dobry wieczór panie kupiec — powitał Chwedko.

— Dobry wieczór.

Szmul odwrócił się i pod nosem coś mruknął.

— A co? napijemy się po kieliszku? — rzekł Chwedko.

— Ja to rzadko piję, ale dla waszej kompanji, nalejcie Marysiu....

— Macie iść, slysze, na jarmark — dodał pierwszy — trzebać się na drogę posilić.

— Nu! a to czego na jarmark? — zapytał Szmul — może chcecie co sprzedać, to i jabym kupił.

— Nie, inną mam potrzebę.

— A jak inną! — dodał żyd — to zaraz do miasteczka: u was wszystkie interesa w miasteczku... Myślicie co kupować?

— Widzicie panie kupiec — wtrącił Chwedko — kumowi zachciało się krowy, nudzi się i kłopotu szuka.

— A na co wam krowa? — zagadnął żyd.

— At.... byłaby wygodą, a może i zarobek.

— Gwałt! — machnął ręką Szmul — wy jeszcze widać nigdyście krowy nie mieli, i nie wiecie co to

krowę hodować.... Daj na pastucha, a co te pastuchy kosztują, i zawsze głodne bydło powraca; kup siana, a co to teraz siano? — jak szafran; kup plewy, i plewa po dziesięć groszy worek; kup grysu, a ja nie sprzedam od czterdziestówki, mnie wszyscy tak płacą... Potrzeba ziela, kartofli, a nie, to wychudnie; a choroby, a zająłowije.... choć i tak przez pół roku mleka nie da....

— Ale przychówek i trochę nabiału.

— A kto wam będzie koło tego chodził? — zapytał żyd ruszając ramionami.

Jermola jakby przekonany, w głowę się poskrobał.

— A co ja wam mówił? — dodał Chwedko — dla ubogiego bydło to kłopot, czysta bieda.

— Inścioby ciele i choć kapla mleka była — rzekł Jermola.

— Także gadajecie. Jeśli dla mleka, to ja wam powiem, że nie ma jak koza — dorzucił pośrednik. — Naprzód mało kosztuje, a żyje byle czem: gałązkami, ogryzkami, badyłami. Starania nie potrzebuje żadnego i jak się koziego mleka napijesz, to przynajmniej wiesz żeś pił, taki pachnie i zdrowe.

— Jużto prawdę powiedziawszy — dodał arendarz powoli — i ja mówię, że nie ma chyba koza.... Już my to najlepiej porachowali, a patrzajcie że najwięcej kóz trzymany; ale ludzie patrzą, a rozznu nie mają: koza to skarb!....

— Kto to wie, może i ja jak pomysłę, to sobie kozę kupię — rzekł powoli Jermola.

— I najlepiej zrobicie — zawolał Chwedko — mówię wam, najlepiej zrobicie. Ot, gdyby pan Szmmł swoje białą sprzedał.

— Co ty gadasz? — podchwycił żyd żywo, jakby dosłyszawszy przypadkiem — ja tej białej kozy za żadne pieniądze nie sprzedam.... Moja żona, moje dzieci, wszyscy ją lubią: to stworzenie nieopłaczone, ona więcej warta niż krowa.

— Szkoda — rzekł Jermola przypatrując się chodzącej — bo może, co się mam włożyć do miasteczka. a stare nogi bołą, namyśliłbym się na tę wasze kozę...

— To jest taka koza! taka koza! — zawołał żyd. — Widzieli wy kiedy taką kozę? Ona jest tak rozumna. że do niej gadać można, a mleko, nie poznać co to jest! Na mil dwadzieścia nie znajdziecie drugiej podobnej: to jest skarb nie koza, to jest osobliwość!

— Ale stara? — spytał Jermola.

— Stara? — jakto stara; koza jak stara, to najlepsza! Jaka ona stara? ona dopiero żyć zaczyna.... ona będzie żyć dwadzieścia lat! — zawołał Szmul coraz się ożywiając.

— A cóż ona kosztuje was? — zapytał Jermola.

— Co ona kosztuje, to nie ma co gadać: ona koźleciem mnie dwa ruble kosztuje.... Bo trzeba wiedzieć, to nie jest prosta koza, to jest wysoki gatunek! Jaby jej za sześć rubli nie oddał; ona prawie nic nie je, a zawsze tłusta, i co roku po dwoje koźląt przyprowadza.

Na chwilę zamilkli wszyscy. Jermola kręcił się nie wiedząc co począć, i przypatrywał się kozie, która wciąż chodziła po izbie stukając kopytkami, głowę kładąc gdzie tylko ją zaszedł jakiś zapach jadła. Zbięrała resztki liści, ogryzki kory, skórki chleba, i trzeba jej oddać tę sprawiedliwość, że troskliwie myślała sama o swoim utrzymaniu, nie spuszczając się na nikogo.

— Toby to było dla was w sam raz — począł po chwili fakturując Chwedko — już przywykła do wsi, toby nie uciekła; zna gdzie się paść; stara, pewna, dojna, doświadczona.

— I nie prosta koza — dodał żyd pocichu — wysoki gatunek!

— Ale gdzież tyle za nią dać pieniędzy! — przerwał Jermola.

— Nu! wiesz co — podchwycił nagle żyd zbliżając się — wy jesteście uczciwi, ja was lubię, na jarmarku to was ludzie oszukać mogą: ja dla was to zrobię, że wam kozę za trzy ruble odstąpię.... Ot tak! jak sobie chcecie.

Chwedko, który się obawiał gorszego, znalazłszy tak łatwym Szmula, sam pospieszył:

— Przybijcie rękę i podziękujcie kupcowi.... taniej grzyba.... Płaćcie i bierzcie, ja wam życzę.

— A nu, to cóż robić? — odparł dworak — zgoda, niech i tak będzie, tylko mi sznurka dacie, żebym ją miał na czym do domu zaprowadzić....

Najniespodzianie więc targ się skończył: Jermola dobył z węzelka trzy ruble i wyliczył je Szmulowi. Żyd obejrzał, plunął na nie wedle obyczaju, i schował do kieszeni.

— Ale sznurek mi jutro oddacie bąknął powoli zawracając się ku swojej izbie.

— A mohorycz? — pocichu rzekł Chwedko.

— To do Jermoli należy! — zawołał Szmul — ale kiedy nie targował, nie płacie już za wódkę, niechaj mohorycz będzie odemnie.

Marysia rzuciła sznurek z *użewką*, którego używano do noszenia drzewek, i Chwedko zamknawszy drzwi po-

czął chodzić za kozą, która domyślając się jakiejś zdrady, wymykała się łapiącym. Żyd zniknął już za drzwiami.

— A toście się we dwóch popisali — zawolala szynkarka, widząc że gospodarz wyszedł — tfu! mieliście co kupować, starą kozę za dwadzieścia złotych.... Na jarmarku byłoby ich trzy młode za te pieniądze.

Zmilczeli starzy i uwiązawszy sznurek do rogów, wyprowadzili zdobycz swoje. Jermola aż drżał z radości, łzy mu płynęły z oczu, a kuma całował.

— Otóżes mi dogodził.. niech ci Bóg płaci — wołał z cicha.

— Ale teraz już się Szmulowi ani na oczy nie pokazywać — westchnął Chwedko, mierząc niebezpieczeństwo, na jakie się naraził. — Byleby mu o dziecięciu powiedziano, domyśli się niewiara, i nie darmo mi figła. Byłby cię dobrze pociągnął za kozę, gdyby wiedział, że tak potrzebna.

Tak gwarząc pocichu, pociągnęli nazad do chaty kozaczychy, różnemi sposoby kozę do posłuszeństwa przynaglając, a ta od karczmy odchodzić nie chciała w żaden sposób.

Tymczasem za niemi już wrzała burza, bo w chwilę potem wpadła Sura z wiadomością od Marysi szynkar-ki, o podrzuconem Jermole dziecięciu.

Szumł się zaraz domyślił, nie w ciemność go bito, na co tak nagle koza była potrzebna, i aż się za palec ukąsił.

— A nu, pilnujże się Chwedku złodzieju! — rzekł kiwając głową — chyba ja żyć nie będę, żebym ci za to nie zapłacił.

W życiu osamotnionego człowieka, który wszystką siłę serca niez użytą na starość zachował, taki wypadek, jakim było dla Jermoly znalezienie podrzuconego dziecka, spowodował nagłą i niesłychaną zmianę. Człowiek się odrodził, spoily się znów węzły, które go łączyły ze światem, miał cel życia, miał nadzieję, miał przywiązanie, znalazła się ochota do pracy, otworło uczucie, a biedna sierota przez rodziców odrzucona stała się dlań skarbem na starość. Nieznana od lat wielu gorączka zatrzęsa całym Jermolą: spieszył, marzył, obawiał się, niepokoił i roił już o jutrze. Lzy wytryskały mu z oczu, czuł się innym, czuł ubłogosławionym i szczęśliwym, ani myśląc ile trosk, ile pracy, ile sobie gotuje ciężkich chwil w przyszłości. I był jak to ptaszcę, w którego gniazdko kukulka rzuca jaja, zdziwiony, uradowany, przestraszony. Pierwszy raz przyszła mu na pamięć z tej obawy śmierć, starość, potrzeba i przywiązanie do życia. Chwedko go nie poznawał, tak się z owego milczącego i obojętnego staruszka przedzierżgnął w inną istotę, tak mówił żywo i gorączkowo, tak się spieszył i co chwila młodniał.

Nie mogąc wreszcie wytrzymać powolnej nazbyt z kozą podróży do chaty kozaczychy, bo stara towarzyszka używała wszelkich możliwych sposobów, żeby się im wyrwać i do karczmy zawrócić, powierzył kozę Chwedkowi, a sam pospieszył przodem.

Wpadł pędem i wprost przybiegł do ławy, na której leżało rozpowite nieco dziecko, uspokocone mlekiem, drzemiące, a nad nim stara kozaczycha, Horpyna, wyrostek, dziewczynka i Chwedor, wszystko to stało milczące, zagapione, ciekawe, wpatrując się w niespodzianego gościa. Jermola przebił się przez nich i

przysiadł na ziemię, żeby się dziecku lepiej przypatrzyć.

— Drzemie, zdaje się — rzekł zniżając głos do kozacychy.

— Usypia niebożátko — kiwając głową odpowiedziała baba.

— A pil mleko?

— O! pil dobrze.... i zaraz płakać przestał. A koza?

— Kupiliśmy. Chwedko ją prowadzi.

Jermola oka z dziecka nie spuszczał.

— Jakie śliczne! — zawołał po chwili — to musi być pańskie dziecko!

— Chłopiec zdrow i silny — przerwała stara kozacycha, ale wszystkie dzieci jednakie póki małe.... Dopiero potem, mój stary, znać na nich, które pod płotem rosło jak pokrzywa, a które na słońku i powietrzu.... Dzieciak jak ryba, to dobrze; mniej będzie z nim kłopotu.

Jermola śmiał się, a oczy mu płakały perłowemi łzami.

— Matko — rzekł — jak żyję tak pięknego dziecka nie widziałem.

Uśmiechnęła się kozacycha.

— Wy bo oszaleli Jermolo! — zawołała ruszając ramionami — ale czyż taki sami hodować je myślicie?....

— A cóż? — zdziwiony odparł stary — a cóż? al-bobymto ja je na cudze dał ręce....

— Ale wy sobie rady z nim nie dacie. To się wam śni; sam jeden, bez baby, na starość niańczyć niemo-wię. A toż trzeba karmić, kąpać, hustać, bawić, tulić, pilnować; nie sposób żebyście temu wydolali.

Jermola ręką machnął.

— Dajcie mi pokój, nie święci garuki lepią, to i ja to potrafię. Wy mi poradzicie zresztą, a jak Bóg Bogiem, dziecka tego nikomu nie oddam.

— Skręć się stary — zawolała baba ruszając ramionami — jemu się zdaje, że to szczenię ułożyć; a toćto parę lat będzie koło niego *zamoroki*....

— Co dłużej to lepiej! Nie gadajcie matko, nie gadajcie, nie chcę słuchać... Ja go sam wychowam, zobaczycie jak!

Wszyscy się śmieli ze starego Jermoly. Postrzegł wreszcie to szyderstwo, i jakoś na chwilę zawahał się, zwątpił o sobie.

— Moja matko — rzekł z cicha smutnie — wszakci wy mi pomożecie, nauczycie, poradzicie; ja wam to odslużę. Przyjdzie żniwo albo robota w ogrodzie; słowo wam wiele kosztować nie będzie....

— To nic — odpowiedziała kozaczycha — ja i darmo geby nie pożałuję, pomódz pomogę i wam i sierocie, ale jak to się wam śni, żebyście na starość, nie znając co to chodzić koło dzieci, mieli zostać mu matką?

Jermola już nic nie odpowiedział. Uczuciem swoim mierząc drugich serca, uląkł się, czy mu dziecinę pod tym pozorem nie chcą odebrać; powoli przysunął się do lawy, ogarnął pieluchy, wziął powoli na ręce dziecinę, i milcząc skierował się ku progowi. W tem i Chwedko z kozą pokazał się we drzwiach. Na ciemnym tle otwartych drzwi oświecona blaskiem luczyna rogata głowa białej staruchy poczęła się szamotać, a Horpyna aż krzyknęła z przestachu.

— Otóż i mamka! — zawolała kozaczycha.

— Chodźmy do domu — cichym głosem przerwał Jermola. — Dobranoc kumo, a przyjdźcie jutro jeśli łaska.

— Przez samą ciekawość — odpowiedziała gospodyni.

W obawie żeby mu dziecka nie odebrało, Jermola przeszedł co żywo próg, i lżej odetchnął, znalazłszy się w ulicy. Chwedko prowadził za nim kozę, i tak oba w milczeniu skierowali się ku obalonej karczmie.

W drodze tylko Jermola wciąż mruczał do siebie:

— Dlaczego nie mam sobie dać rady? Ja to rozumiem, starej kozaczysze zachciało się dziecka, ale ja go nie dam, oni by o niem starania nie mieli... Nie święci garnki lepią, ja je sam wyhoduję, będę miał syna, będę miał syna! — powtarzał z dumą i radością.

— Chwedku kochanie! pilnuj kozy, dam ci złotówkę, boś mi pocziwie pomagał. Bóg ci zapłaci!

Tak z ostrożnością postępując pociemku doszli nareszcie do gospody, drzwi otworzyli powoli. Dziecko drzemiące na własnem łóżku położył Jermola i ognia rozpałił, a że Chwedkowi pilno było do dereszowatej kłaczy, która cały jego składała majątek, dał mu zaraz złotówkę, uściskał i odprawił, pozostając sam jeden w swej ciupce z kozą i dziecieniem.

Spać ani myślał, ani mu się chciało, tyle miał do roboty, tyle do przygotowania. Usiadł pod piecem nie wiedząc do czego się brać naprzód; ale na dziecko patrzył jak w tęczę, a tu i stara koza go niepokoiła robiąc przegląd izby, bijąc rogami we drzwi, pładrując po kątach i chwytając co do zjedzenia napadła. Stukanie jej przebudzało dziecinę, leciał ją tulić Jermola,

aż wreszcie domyślił się, żydówkę (tak bowiem Chwedko odrazu nazwał kupioną mamkę) w kąciку uwiązać krótko. Podrzucił jej trochę słomy, i koza się uspokoiła, zgadzając się z przeznaczeniem. Dziecko spało już także snem cichym i głębokim; Jermola nie miał na czem i nie zapragnął się położyć, pozostał tak na pieńku służącym za stołeczek przed piecem. Łóżko jego było zajęte, a do jutra tyle rzeczy do obmyślenia i do roboty!

Już go ludzie przestrzegli, że o dziecku trzeba będzie dać znać do dworu ekonomowi Hudnemu, i oznajmić mu, że je na siebie przyjmuje Jermola. Oprócz tego niemiłego pochodu, od którego się był wykupił, miał jeszcze do wyciosania kołyskę i tysiąc do przygotowania lub postarania się drobnostek. Dziecię przebudzało się i kwiliło, musiał zaraz biec do niego, aby mu się nie dać rozbeczeć. Ale na wszystko starczył, taka w nim znalazła się siła, pochodząca z serca.

Krótką noc wiosenna zbiegła w tych troskach Jermole, i dzień szaro zaglądający przez okna zastał go skłopotanego, choć nie czującego jeszcze potrzeby spoczynku. Chciał odejść, żeby wyciosać bieguny do kołyski ze starych polan w drugiej izbie za ścianą, ale obawiał się odejść dziecięcia; koza go także przestrazała, skrzypnięcie drzwi mogło przebudzić, a nużby stukając nie posłyszał płaczu!

Chwilami same tylko widział trudności i niepodobieństwa; to znowu malował sobie, że łatwo da wszystkiemu radę i krzepił się nadzieją, zapominając o głodzie, bezsenności i pracy. Już dobrze biał ranek, gdy się wziął do dojenia kozy, żeby mleko na przebudzenie wychowanka miał gotowe; ale ze starą żydówką nie

tak było łatwo jak sądził. Uparta była jak koza, miała przytem nawyknienie do osób i niechętnie ulegała przemocy nowego pana. Zrazu łagodnie z nią postępował Jermola: głaskał, gadał, starał się przekonać o konieczności poddania się, aż wreszcie do środków gwałtowniejszych uciec się musiał. Koza podniosła bunt formalny, zerwała się ze sznurkiem, i poczęła bijąc rogami latać po izbie od drzwi do drzwi, dziecko się obudziło, stary schwyił się za głowę.

Szczęściem na tę scenę nadeszła kozaczycha, którą ledwie przebudzoną, ciekawość do chaty Jermoly sprawdziła. Zobaczywszy go w tem ntrapieniu, w śmiech baba; ale zaraz też do roboty się wzięła, i z kozą dała sobie naprzód radę w sposób czarodziejski. Żydówka czy to że do kobiet była przywykła, czy widząc przeciw sobie dwoje, a zwątpiwszy o dobrych skutkach podniesionego buntu, upokorzyła się dobrowolnie przed kozaczychą. Jermola lulał już dziecko na rękę.

— A co? — zapytała stara — jakżeście noc przebyli?

— Ja się nie kładłem — odparł gospodarz — ale dziecko wyśnienicie spało. Ta przekłeta koza tylko....

— E! z nią najmniej będzie kłopotu, we dwa dni się oswoi, bylebyś karmił. A chłopiec spał?

— Jak anioł! — zawołał Jermola — żadne dziecko tak nie spi! Strach jaki on roznunny; zdaje się nawet, że mnie już poznaje!

Zdziwił się mocno przybrany ojciec sieroty, gdy na te słowa kozaczycha znów mu się w oczy roześmiała, i zmieszany zamilkł.

— Ja nie wiem czemu wam Paa Bóg żony nie dał i dzieci — rzekła po chwili — albo was był powinien kobietą stworzyć.

Nie dokończyła tych słów, gdy pod drzwiami silny głos dał się słyszeć.

— Hej Jermolo, trutnin jakiś, wychodź-że; nie widzisz że stoję.

Było to wołanie Hudnego ekonoma, który jadąc w pole, już uwiadomiony o wczorajszym wypadku, sam osobiście chciał się o prawdzie przekonać, żeby żonie opowiedzieć jak to było.

Zadrżał stary przed władzcą, którego się obawiał i jak mógł unikał; ale dziecię zostawiwszy kozaczysze, co najprędzej wyszedł.

Ekonom siedział na tłustym koniku, w szaraczkowym surducie podbitym barankami, w długich butach, z harapuikiem w ręku, w czapeczce na bakier; znać było z miny, że bez kieliszka wódki z domu na chłód nie wyjechał. Był to jeden z tych młodego pokolenia rządzców włości, którzy zastąpili nam starych. wiernych, poczciwych sług zeszłego wieku. Wszystkie wady swych poprzedników przejąwszy, nowemi świeżego pomysłu zbogacony, pan Hudny zwał chamami po dawnemu chłopów, bił ich, trzymał ostro, kradł potężnie, a miał się za upośledzonego że ekonomował, rozkazując nazywać się panem rządzcą, i oznajmując wszystkim, że wkrótce wyjdzie na dzierżawę. Żona jego i on samowładnie w opuszczonym majątku zarządzili się jak szare gęsi: chwyтали szparko, i oglądali się tylko jakby wyjść z położenia, które im nie smakowało. Serca w nich obojgu nie było za grosz, duma niesłychana, zepsucie jakie tylko na dnie rozprzężonej społeczności znaleźć się może. Na twarzy sumiastemi ogromnemi wąsami pokrytej, czerwonej, okrągłej, dwoje tylko oczu piwnych, nieco skoszonych, dawały poznać charakter

człowieka w niepewnem, lęklivem a chmurnem spojrzeniu; resztę zarastały włosy, szpetne rysy przysłaniając gęstemi ciemnymi kupami kręących się faworytów i podbródka.

Jermola pokłonił mu się ręką do samej ziemi.

— Co Wielmożny pan rozkaże?

— Co tam u ciebie się święci? Słyszę jakieś dziecko podrzucone?

— A tak, proszę Jaśnie pana — dodając jasności dla bezpieczeństwa rzekł Jermola — wczoraj wieczorem posłyszałem kwilenie pod dębami, myślałem że puhacz... a to było dziecko proszę pana.

— Chłopiec?

— Śliczny chłopiec!

— Nie było tam co przy nim? — zapytał ekonom bacznie wpatrując się w Jermolę — znaku jakiego? papieru? medalika; bo to trzeba odnieść do sądn, albo i dziecko odesłać do szpitala....

Jermola pobladł i ręce zalał.

— Znaku? żadnego nie było znaku, dziecko tylko zamiast w pieluchy zawinięte było w sztukę mory grubej... proszę Jaśnie pana... Ale ja dziecka, kiedy mi je Bóg dał, nikomu bym oddać nie chciał.

Ekonom się rozśmiał.

— Ho! ho! coś to kuso wygląda. Podrzucone pod próg, a ty chcesz zatrzymać; może być śledztwo... kłopot, koszt dla skarbu! Nieś je sobie do pomocnika lub do sądn, niech postanowią, a tę sztukę perkalu odesłać mojej żonie; słyszysz, zaraz.

Ekonom zlał z konia i namyśliwszy się, dawszy go potrzymać Jermole, sam wpadł do izby. Staremu serce bilo, obawiał się wejrzenia tego człowieka, a

koniał puścić nie mógł; chciał tam być przytomny i nie mógł, uchem chwycił rozmowę kozaczychy z ekonomem, a ten wysilek i niepokój tak go zmógł, że gdy Hnduy nazad powrócił, Jermole pot kroplami ze zbłądłego ściekał czoła jakby w łaźni.

Szczeniściem kozaczycha, którą ekonom trochę szanował nie wiem z jakich powodów, bo o tem różnie mówiono, najpewniej dla pieniędzy i masła, któremi mu się okupywała dla spokoju, potrafiła wmówić mu, tak, że Jermole już nie niepokoił i nie pędził go z dzieckiem do stanowego.

— Tfu! — zawołał na koń siadając Hnduy — kłopotuś sobie stary napisał; no! no! Ja pomocnikowi sam dam znać, ale ci jednak życzę zbyć się tego znajdy, po kiego ci licha ten przybytek? Ha! chyba się do czego poczuwasz stary? — dodał śmiejąc się głośno.

Jermola z wielkiego strachu aż w łokieć go pocałował, prosząc za dziecięciem z wyrazem tak pocziwego rozczulenia, że kto inny nie ekonom, byłby nim rozczulony do głębi!

W ten sposób uwolnił się stary od chodzenia do dworu, co go zawsze podwójnie kosztowało, bo miejsce samo naprowadzało do smutnych wspomnień, a ekonomstwo oboje polityczni ze swemi, gburówaci byli z prostym ludem nieznośnie. Cały więc dzień miał przed sobą do przygotowań wszelkich dla dziecka.

Słońce wstało jasne, promieniące, wesołe, jakby niosąc nadzieję i otuchę. Na brzegu Horynia ruch się i gwar rozpoczął; a że po wsi poszła już wieść o dziecku, ktokolwiek więc przechodził mimo gospody, wstępował do Jermoly zobaczyć sierotę, i podziwiać się

a posłuchać opowiadania jak to było. Kozaczycza wyręczała z ochotą kurna, corazto ubarwiając opowiadanie swoje, z najdrobniejszymi szczegółami powtarzając je niezmęczona. Tymczasem stary wyciosywał kolyskę, na którą szczęściem znalazła się kłomla z loziny pleciona wyborna. Ta postawiona na dwóch jako-tako obrobionych biegunach, zaslana świeżem sianem i różnemi rupieciami Jermola, około południa już była gotową. Łatwiej wprowadzić daleko było, wedle zwyczaju wieśniaczego, na sznurach u banta koszyk zawiesić i hustać go nogą; ale sie Jermola sznurów, banta, kruka i wszystkiego obawiał dla dzieciны. wołąc podjąć pracę, niżeli je, jak sądził, na niebezpieczeństwo narażać.

Kozaczycza śmiała się z tych strachów, ale przekonać go nie mogła. Oprócz tej roboty około kolyski, całą izdebkę, owę tak porządną i od lat wielu nie-
tkniętą, potrzeba było teraz wcale inaczej usposobić, żeby dziecku blask nie bił w oczy, żeby na nie z drzwi nie wiało, z pieca nie piekło. Żydówce musiano w kącie zrobić z drabiny zagródkę z furtką, gdyż się jeszcze przyswoić nie dawała; jadła wprowadzić co jej rzucono, ale ani myślała słuchać; została więc na sznurku do jakiegoś czasu.

Zasiadłszy z kozaczyczą, Jermola wziął od niej dokładną nankę o sposobie, w jaki się należało z dzieckiem obchodzić; rozpytał ją z największemi szczegółami ile razy miał je kąpać, w jakiej wodzie, czem karmić, jak usypiać i tulić. Przywiązanie do malca wyrównywało w tej chwili prawie nienawiści, jaką miał ku kozie nieposłusznej i czuć niemniejającą szczęścia, które ją spotykało. Jermola groźnie spoglądał na nią, nie mo-

gąc się zarówno nagadać o przymiotach dziecka i niegodziwości żydówki, jej nierozumnie, uporze i szkaradnych nałogach, jakich w obcowaniu karczemnem nabrała.

Tak upłynął pierwszy ranek ojcostwa biednego Jermoly.



Dziwne są czasem przeznaczenia człowieka! Lata mu płyną nadaremnie w oczekiwaniu jakiejś jednej chwili, która wszystkie jego siły w czyn i działanie wprowadza, zdaje się, że przespał wiek, by się dopiero w danej przebudzić godzinie. Położenie nowe wywołuje zeń uczucia mu nieznanne, otwiera serce, rozjaśnia głowę, i z bezczynnego przetwarza na niezmordowanego w pracy.

Tak właśnie stało się z Jermolą, który ożył dziecięciem, i z podziwieniem kozaczychy, całej wioski, wszystkich co go znali wprzód, nietylko wybornie sobie rady dawał z wychowaniem niemowlęcia, ale przerobił się na innego wcale człowieka. Znano go jako jednę z najobojętniejszych na wszystko istot na świecie, cichą, pokorną, milczącą, powolną; widywano zawsze o jednej godzinie około starej karczmy, słyszano od niego niemal jedne powtarzane słowa. Z spuszczoną głową, zgarbiony, o kiju, chodził ku dworowi, ku rzece, nosił sobie chrust i drewka, uprawiał trochę tytoniu i warzywa w ogródku, czasem na progu w pięć wieczyr odmawiał pacierze, a po kilka miesięcy niekiedy na wsi nie bywał, gdy go siedzenie uparte napadło. W karczmie samej nogą nie postął; na wesela, chrzciny i pogrzeby nie uczęszczał, proszony zaś

przyszedszy, co najprędzej uciekał do swojej nory, w której życie tulił okryte jakąś tajemnicą.

Prócz chaty kozaczychy, z którą go dawne stosunki i potrzeba pomocy łączyła, bo tam po części go karmiono, opierano i oszywano, nigdzie zresztą w gościnę nie poszedł. Mawiano też o nim, że mruk i dziki, choć poznawszy go bliżej mało kto nie miał dlań przyjemnego słowa. Pod tą bowiem pokrywą niepoczesną serce było złoto, serce jakie się częściej niż sądzą nprzedzeni wyradza u prostego ludu.

Zagadnienie to namiętnie rozwiązywane zdaleka od tych, o których tu idzie, dziś wszyscy zwykli rozstrzygać najkrzywiej, więcej złego niż dobrego dopatrując w wieśniaku. Tymczasem rozrachowując wpływy jakim lud nlega, okoliczności w jakich zostaje, przykłady które ma przed oczyma, nędzę która często go gniecie, zupełny brak wychowania moralnego, zadziwić się potrzeba skarbom poczciwości, jakimi go Bóg obdarzył. Największe występki w takim położeniu byłyby wytłumaczone, bo myślimy o środkach wszczepienia w jego duszę jakichkolwiek zasad? Cóż dopiero powiedzieć o cnotach, które tu są prawdziwym cudem! Zbliżyć się potrzeba, przypatrzeć, a na karb jakichś nprzedzeń lub pobłażania urojeniom czasowym nie kłaść tego, co z przekonania o ludzie naszym się mówi. Poszumnijmy w nim cnotę tem droższą, że jest złoto samorodną. W nas ją szczepią, wpajają, uczą nas jej od młodu. Mamy łatwość być poczciwymi: interes, miłość własną, pomoce ku temu, bodźce różne, wreszcie pojęcie jasne obowiązku, a jednak nie zawsześmy i nie wszyscy jakimi być powinni. Nie dziw, że wzięwszy ściśle w rachubę co przeciw nam, a co za ludem mówi, zawsze bezstronny są-

dzia przyzna tej klasie więcej pocziwości niż innym, boć dla pięknych oczu możnych i szczęśliwych ani im darować błota, którem się walają, ani zapoznać ich nie zawadzi, co tak cudnie przykładem świeci nam od dołu.

Nie waham się, w ciągłych i żywych będąc stosunkach z wieśniakiem naszym, lepszym go uznać rodowo, instynktowo, niżeli ludzi innych klas społeczeństwa, niżeli lud w innych plemionach Enropy, szczególnie na Zachodzie. Spójrzjmy, porównajmy, policzmy występkę, a zdziwimy się moralności ludu zupełnie opuszczonego, i z powietrza, ze krwi własnej czerpiącego siły do cnoty. Maluczkie płamy, o! jakże łatwo wytłumaczyć się dają, byleśmy sprawiedliwymi być chcieli; lecz dziś przez nienchronną reakcją idąc w ślad za Zachodem, i my pluemy na wieśniaka, przenosząc wszystkie cnoty do salonn. Nie przeczę, jest ich wiele i tam; ale nas wszystkich uczą katechizmu i wiemy którądy droga, lud zaś sercem jej szuka i znajduje ją, za co winniśmy mu choć uznanie tego i wydział sprawiedliwości.

Jermoła był właśnie z tych ludzi, obdarzony cudownym instynktem cnoty, w których dwór nie zabił szlachetnym popędów wrodzonych, co się często zdarza, cząstkowa ogląda nie wyziębła serca, a wiek nie zastudził uczucia. Nie mogę też inaczej nazwać tego, tylko instynktem, i chętnieby w psychologii przypuścił obok zwierzęcego instynktu poziomego, egoistycznego, niszczącego, ten drugi szlachetniejszy, wyższy, wbrew pierwszemu przeciwny, który często najbardziej npośledzonych dźwiga na wyżyny objawienia cnoty. Obdarzeni cudownym jakimś popędem idą wbrew interesowi własnemu, posłuszni sercu, w którym nie krew i namię-

tność, ale przeczcucie udoskonalenia i potrzeba poświęceń żywie i bije. Starzec ten nigdy się nie poskarżył na sterane życie, nie rzucił przekleństw na przeszłość, nie odezwał się przeciwko ludziom, wystarczał sobie, mileżał, cierpiał i nie poddawał się, dźwigając się duchem pobożnym. Zawsze gotów z pomocą, choć niewiele mógł, nie skąpił sobie. Wiedzano o tem we wsi, i znajomi i nieznajomi niekali się do niego, gdy dwojga rąk i serca potrzebowali, tyle bowiem tylko mógł dać stary Jermola. Przy chorym posiedzieć, ubogiej wdowie zżąć pokładzone już żyto, przypilnować dzieci, gdy wszyscy na łan powychodzili, poradzić na niezdrowie i przypadkowe skaleczenie, najlepiej umiał Jermola. Używano go tem chętniej, że nigdy zapłaty nie wymagał, a wódki nie lubił i nie pijał. U ludu jest we zwyczaju zawsze w takich razach za najmniejszą przysługę wedle możności się wywdzięczać; uważają to sobie za obrazę, gdy się od nich podarku nie przyjmie. Wtykano i Jermole cośkolwiek, brał on żeby nie upokarzać, ale kilka jaj, bulka chleba, wystarczyły mu aż nadto.

Nie miał nawet za złe swoim starym znajomym i obowiązany, gdy w chorobie, w potrzebie, w smutku doświadczywszy jego pomocy, zapominali potem o nim. Nie nazywał tego niewdzięcznością, nie skarżył się na nich, wiedział bowiem, że wiesniak mało ma godzin, z którychby sercu mógł zrobić ofiarę, że nie chęci mu brakuje, ale czasu i możności, a obojętność jego pozor-na najczęściej bywa dziełem przypadku. Trzeba znać to życie, widzieć znużenie, porachować ile tam zostaje na spoczynek i myśli, by się niczemu nie dziwić. Jednem tylko sercem wyższy był Jermola od swoich współ-

braci, zresztą nie poprzestał być dziecięciem wioski, zachowując jej upodobania, nawyknięcia obyczaje i przesady.

Nazajtrrz po opisanym wypadku, w całej Popielni o niczem nie było mowy, tylko o znalezionem pod dębami dziecięciu, o Jermole i kozie kupionej u Szmula, bo się Chwedko nią chwalił, równie jak swoją historyczną dereszowatą kobyłą. Tysiączeni domysły usiłowano sobie wytłumaczyć zjawienie się podrzutka, niesłychanego w dziejach wioski zdarzenia, składając ten występek nie na wieśniaków naturalnie, którzyby go popełnić nie mogli, bo to nie jest w ich obyczajach, ale na tajemniczą jakąś istotę wyższego stanu. Podejrzenia padały na różnych dalszych i bliższych sąsiadów, na officialistów, na innych stanów ludzi, ale na niczem oprzeć się nie dawały, i jedne obalały drugie. Usiłowano sobie przypomnieć dzień i wieczór wczorajszy; na nieszczęście ślady tych, co przywieźli dziecię i porzucili je pod dębami, doskonale były zatarte. We wsi ktoś tylko widział wózek szybko pędzący pod wieczór ku Małyczkom, ale się pokazało, że to był pisarz zakochany w Horpynie kozaczance; inny przypomniawszy sobie konnego nad brzegiem Horynia z czemś białem pod pachą, ale zaręczano, że to był ekonom z ręcznikiem, którym od chłodu szyję miał obwiązaną. Marysia szynkarka przypomniawszy Poleszuka, co to spał na ławie w szynkowni i około pierwszych kogutów wyszedł niewiadomo dokąd; ale byłżeby spał tak spokojnie??

W karczmie, w polu, na drzewie, u bindugi wszyscy rozprawiali o podrzutku; nikt jednak więcej od drugich nie wiedział: dziwiono się Jermole, śmiano się ze starego i ruszano ramionami. Tymczasem w chacie

kąpiel przygotowująca kozaczycha, gdy owe perkalę rozwinęła dla odesłania ich ekonomowej, i przypatrzyła się lepiej dziecięciu, podzielać zaczęła przekonanie przybranego ojca, że podrzutek musiał być istotnie pańskiego pochodzenia: takie to było delikatne, świeżuchne i śliczne. Na pieluchach żadnego nie dopatrzonego się znaku, ale na szyi, na szmrku jedwabnym był brązowy medalik, który za złoty wzięwszy Jermola, jak najstaranniej chował. Z tego powodu spór się wszczął, czy dziecię ochrzcić czy nie, i przemogło zdanie kobiety, że na przypadek zawsze chrztem obmyć bezpieczniej. Tegoż samego więc wieczora miał już imię Irodiona, które sobie sam w dniu tym przyniósł. Imię to na wsi lud popolicie na Radiona lub Radiwona zesławiańszcza, malec więc nazwał się Radionkiem. Jermola płakał z radości nosząc go na rękach, po stokroć powtarzając że ma syna; a tak był z niego szczęśliwy!!

Pierwszy raz w życiu podchmielił sobie na tych chrzcinach staruszek, spoił Chwedka i kozaczychę. którą serdecznie uściskał, żartował, podskakiwał, a nieszczęśliwej kozie, która chmurno jakoś poglądała na całą tę historję, pięścią pogroził.

— Słuchaj bezecna żydowico — odezwał się stając naprzeciw z groźnie podniesioną ręką — plemię rogate i brodate, słuchaj i pamiętaj, jeśli mi uczciwą i posłuszną mamką dla mojego malca nie będziesz, znajdzie drugą.... Ale ciebie, jak mi Bóg miły, zarznię tępym nożem.

Koza tupnęła nogą, pokręciła głową, a przytomni szerokiim parsknęli śmiechem, bądź co bądź nauka w las nie poszła.

Takie były początki, a w kilka miesięcy później Jermola już doskonale obywszy się z położeniem swoim, tak sobie wybornie radę dawał we wszystkim, że mu się oddziwić nie mogli. Pociecha bo to była całej wioski, kiedy stary z dzieckiem na ręku wyszedł na brzeg rzeki, albo na pole, otaczano go kołem, śmiejąc się i pieszcząc niemowlę i staruszką.

I czego to cierpliwość nie dokaze, owa stara uparta koza, która tyle charakteru okazała w pierwszych dniach po rozstaniu się ze Szmulowstwem, powoli tak się obyla i przywiązała do Jermoly, że od niego i dziecka na krok nie odstępowała. Kilka razy w początku uciekla do karczmy, Szmul nawet dał był wyrok zarznięcia jej pociechu, ale Jermola, który odgadł wszystko, dziecko zostawiwszy u kozaczychy, sam przyjaciół zebrał, napadł na karcznię, kozę swoją za słomą w chlewniku odkrył, i takiego strachu Szmulowi napędził. że żyd go już więcej zacząć ani myślał, a przypłacił chciwość swoją, będąc zmuszony częstować całą gromadę, żeby się hałasu i krzyku pozbyć, jakiego narobił Jermola.

Koza żywiona dobrze zmiarkowała też, że do Szmula nie ma poco uciekać, zobojetniała na dawne z nim stosunki, i wiernie służąc nowemu panu, gdy się trafiło przechodzić koło karczmy, głowy nawet ku niej nie zwracała. Stała się też z nieprzyjaciółki ulubienicą Jermoly i pierwszą u niego po dziecięcim; a że ciągle do niej gadał, że zawsze z nim była, do małego też Radionka tak przylgnęła, że nawpół niańką jego się stała. Dziecię znało jej czarne oczy i długą brodę, z którą się małemi rączkami bawiło, żydówka szła sama na zawołanie, zaglądała do kołyski z roztropnością i zmyślnością niezwykłą, słowem wcieliła się w rodzinę. Jer-

mola oddawał jej sprawiedliwość, że się zrazu na niej nie poznał tak właśnie jak ona na nim.

Ale fraszka ta pociecha, jaką miał ze starej kozy, którejby teraz za żadne nie oddał pieniądze, gasło to przy radości, jaką mu sprawiało rosnące i codziennie roz-
tropniejące dziecko. Chłopak był duży, silny, wcale ładny i tak szybko dojrzewający, jak zwykle sieroty. Bóg tym, których pozbawił matki, wcześniej też zsyła siły do życia potrzebne. Jakkolwiek zadziwiającym był Radionek, Jermola jeszcze w nim widział daleko więcej niżeli było w istocie. Śmiała się kozaczycza, ale to go nie poprawiło, gniewało tylko, nazywał ją ślepą i uchodził ze swym skarbem nadąsany. Zresztą starucha kochała także wychowanka, który i jej wiele był winien, stary ojciec przybrany bez niej nie tak łatwo by sobie dał rady, a cała wioska pomagała mu potrosze, bo był jej ulubieńcem i dziwotą.

Przez tych kilka miesięcy mameżenia i starań około utrzymania życia, Jermola miał czas namyślać się co dalej pocnie, i rozpowiadał nieraz na głos projekta swoje dziecięcin i kozie. A było tego tyle! tyle! Naprzód nie chciał go mieć prostym wieśniakiem, lepszego żeń coś zrobić myślał. Wybór stanu zdawał mu się trudny, wszystko dla kochanego Radionka było za male. Bylby mu kupił wioskę i posadził na niej gospodarować, ale tego nie mógł nieborak, potrzeba było szukać czegoś innego. Myślał przebiegał zajęcia różno, rzemiosła wszelkie, a każdemu miał coś do zarzucenia, szewc musiał siedzieć na miejscu schylony i zgarbiony, stolarz cały dzień być na nogach, kowal palić się w ogniu, mularz dźwigać cegłę, podrabinach łazić, słońca i wiatr znosić — wszystko to nie podobало się Jermole.

Obstawał przytem, żeby wychowanka czytać i pisać nauczyć; ale że nierychło do tego przyjść miało, a djak, jedyny we wsi mędrzec, który mógł przewodniczyć jego wychowaniu, stary był bardzo, z następcą zaś jego niepewnym, niewiadomo czyby się można ułożyć; stary postanowił sam się u djaka wyczynić czytania, żeby malca w porze móżd zacząć oswajać z abecadłem bez cudzej pomocy. W tym celu kupił u żydka z kramnikiem chodzącego asbukę, i na drugi koniec wioski wyruszał staruszek z dzieckiem na ręku i kozą nieodstępną na codzienne lekcje u starego Andrzeja Prosforowicza. Trzeba go było widzieć jak ślęczał nieborak, jak się męczył, jak pracował, dziecię tuląc jedną, a skazówkę wodząc drugą ręką. Pocieszało go to, że dosyć niecierpliwy djak Andrzej, Radionka w obroty nie weźmie, bo z doświadczenia wiedział, że byłby się nad nim znęcał i męczył go po swojemu, a tak siebie był pewien, że naukę przeleje mu bez trudności.

W sześćdziesięciu leciech z górą, pierwszy raz spotkać się z abecadłem nie jest rzeczą łatwą, a wysiedzieć nad niem godzin kilka, i oczy przywykłe chodzić swobodnie zmuszać do rozpoznawania kształtów maluczkich — męka to wielka, na której cierpliwe wytrwanie serce się chyba zdobyć może. Stękał Jermola, ale raz sobie postanowiwszy dokonał nauki czytania. Szczęściem wzrok jeszcze miał dobry i gładziej to poszło, niżeli się spodziewał djak, który za tę sztukę wziął półsetek płótna, dawno w knfrze chowany (i to piętnastkę), a w dodatku rubla karbowanego.

Z niańczeniem chłopca tak się już znał stary, jakby kilkoro dzieci wychował. Kołyska stała przy łóżku jego, obok tu w kątku sypiała koza; byle się odezwiała dzie-

cina, ojciec był na nogach i zaraz poradził coś małemu niebożatku. Sypiał też niewiele, ale snu nie tak bardzo potrzebował; we dnie wzięwszy na ręce Radionka to nad rzekę chodził, to pod dęby, to w las lub na pole, albo na progę z nim zasiadał. Widok ten zrazu śmieszny dla wielu póki był niezwykły, stał się potem dla całej wioski miłym i zajmującym, uśmiechano się sierocie, dziwowano wytrwałości przybranego ojca, czasem w niedzielę jak na zabawę przychodzili ludzie do starej karczmy, napatrzyć się na podrzutka i pogawędzić z wysłużonym dworakiem. Jermola jak się miał przed kim pochlubić wychowaukiem, rad był niezmiernie i tyle prawił o nim, że cała nareszcie wioska miała przekonanie, iż to dziecię obiecywało coś niepospolitego.

Najdziwniejszem ze wszystkiego było, że Jermola wyraźnie odmłodził, rozprostował się, twarz mu się rozjaśniła, wypełniła, uśmiechnęła. Niewygody, bezsensowności, praca nietyłe go wycieńczyły, ile pokrzepiła nadzieja; życie jego wypełniło się, rzecz można rozpoczęło się na nowo.

A nie szło mu ono lekko i nie wplatało się w wieńiec przyjemności samych, jakby z tego sądzić można; dziecina przynosząc z sobą wydatki codzien znaczniejsze, zmuszała go do pracy, przemysłu i zaopatrywania w chleb powszedni nie na dzień jeden, ale i na jutro. Tego rodzaju ubodzy niezmiernie mało potrzebują na żywot codzienny. Jermola wystarczał sobie choć bardzo miał niewiele, obywatel się to tem, to owem bez wielkich wysiłków, niedoświadczając przynajmniej głodu, dopóki mu na ręce nie spadła sierota. Właściwie rzekłszy nie miał żadnego stałego funduszu, ale nie żebrał, płacił jeszcze za przytułek i ogród czynsz dwudziesto-

złotowy bardzo regularnie, i wyżywiał się jako-tako. Nam przywykłym do innego trybu życia nie łatwo po-
 jąć, jak się to ubodzy małuczkiem utrzymać mogą. Stary
 Jermoła nie prawie nie wyniósł ze swej długiej służby
 dworskiej, może zaoszczędzonych kilka tylko kawałków
 płótna, kilkanaście rubli i trochę rupieci małej ceny.
 Było czem zrazu czynsz z góry opłacić i chleb kupić
 powszedni, ale bez nowego starania zapas ten byłby się
 prędko wyczerpał. Wprawdzie Jermoła na siebie wy-
 dawał bardzo mało, bo go po wsi karmiono, a kozaczycza
 nie żałowała strawy, nie upominając się o odrobek, tro-
 cha kartofli, kawał chleba i słoniny wystarczały: odzienie
 się nie darło i nie wymagało odnawiania, ale czynsz
 zawsze potrzeba było opłacać i wyciągnąć go z tego jednego
 ogródka, który cały dochód stanowił. Półko ogrodzone
 żerdziami przy karczmie miało mniej-więcej rozległość
 zwykłego ogródka włościańskiego, mniej morga ziemi
 niezłej bliżej karczmy, a kn dębom i sosnom wycień-
 czonej przez drzewa, spijające żywotne soki dokoła. Siał
 na niem Jermoła tytoń pod budowlą, gdzie żyzniejsze
 były zagony, dalej sadził kartofle, trochę kapusty kn
 dołowi, buraków i ogrodowiny. Niekiedy ndawało się
 tak szczęśliwie, że odjąwszy co było potrzeba na własny
 użytek, odbierał jeszcze swoje 20 złotych czynszu z sa-
 mego ogródka, innych lat musiał ich szukać inaczej.
 Las i rzeka w takich razach są dla wieśniaka wielką
 pomocą, a tych nie broniono w Popielni, wszyscy z nich
 użytkowali. Jermoła póki był sam, jeździł czasem na
 rybę i ndawały mu się nocne łówki z ościami, zasta-
 wiał więcierze i saki, a rybę we dworach lub miasteczku
 sprzedawał. Oprócz tego zbierał i suszył grzyby, które
 są lepszym jeszcze towarem i od niejakiemu czasu zwła-

szeza poczęły iść w cenę. Ale oba te zajęcia z małym Radionkiem na rękach stały się niepodobieństwem; dziecko nie dozwalało ani nocy spędzać na czółnie, ani się włóczyć. Tymczasem wydatki rosły, zapaśny grosz zaraz w początku wyszedł na kupno kozy i inne drobne potrzeby. Jermola musiał sobie inaczej radzić. Dawniej rabiał w polu prawie darmo swoim znajomym i ubogim, dziś czas mu stał się droższym, namyślił się najmować. Widywano go, jak te baby z dziećmi i kołobką, chodzącego w dniu pilniejszej pracy w pole na sznury włosciańskie ze swoim malcem, kozą, ze trzema drążkami, koszykiem i namiotem. Stawiał koszyk z Radionkiem na miedzy w przenośnej budce osłonionej rańtuchem, pod opieką starej żydówki, a sam żął, kosił lub wiązał. Dawalo mu to czasem jadlo i oprócz tego około 20 groszy dziennie, gdyż w Polesiu rzadko robotnik pieszy wart jest więcej. Trzy dni potrzeba było pracować na dwa złote, które gdzieindziej za jedną kopę placą, i to pracować na prawdę, nażąć kopę rzadkiego żyta, naschyłać się, napocić i snopów nadźwigać; a snopy w Polesiu wydatne i ciężkie, choć je po kłosie zbierać muszą.

Często wróciwszy do swej pustki, niosąc z dalekiego pola koszyk i dziecko, brzemień lat i ciężar dnia, starzec czuł się osłabionym, sennym, wycieńczonym; ale spojrzenie na Radionka uśmiechającego mu się, krzepilo go na nowo, a nocny wypoczynek dodawał sił na jutro. Nigdy zaprawdę tak się stary nie krzątał jak teraz, nie był tak czynnym i niezmożonym; ludzie z mimowolnem nań patrzyli poszanowaniem, wzburzonem wytrwałością i milczeniem szlachetnem. Nieśmiejąc dotknąć złota znalezionego przy dziecięciu, choćby z głodu umierał, gdyż uważał to za własność sieroty, musiał

przysparzać sam, bo codzień szło trudniej, a wystarczyć na wszystko nie mógł jednym przy karczynie ogródkiem. Tu rankami tylko i wieczorami robił urywkowo, a na resztę dnia się najmował.

Ale serce wszędzie i zawsze dokazuje cudów, gdziekolwiek poszle promyk uczucia. Wielki to talizman, bez niego każda rzecz trudna, a z niem nie ma niebezpieczeństwa.

Jakoś ta praca około roli, po nplywie kilku miesięcy nie zaspokoila starego Jermoly: chłopak rósł a zarobek był nieskończenie mały; prócz tego djak rubla wziął za naukę, a co czasu na nią stracić było potrzeba! Smutny jakoś powlókł się jednego wieczora staruch do chaty kozacychy, z którą zwykł się być naradzać. Przyjęto go jak zwykle: Horpyna z nśmiechem i wykrzykiem, bo dziecinę lubiła bardzo i zaraz ją zabierała od Jermoly, bawiąc, karmiąc, nśmiechając się jej, póki tylko stary był w chacie; kozacycha kwaśno, gderliwie, ale serdecznie. Jermola im tam nie zawadzał, nie nprzykrzał się, a często posłnżył, bo jakkolwiek zmęczony, gdy go kozacycha czem potraktowała, lub za to że się pogrzał przy jej ognisku, czuł się w obowiązku pójść po wodę do studni, szczepać skalki, urąbać drewek, zastępując pijanego Chwedora, który wieczorami najczęściej w karczynie siedział, i ztamtąd trudno go już było wywabić i kijem.

Miała się baba ciężko z tym Chwedorem, ale parobków najmitów mało było we wsi, bo co silniejszego szło z toporem do wyrobu belek i wańczosów, do klepki i luczyna, musiała więc znosić trutnia, który gdyby nie wyrostek co mu pomagał, nawetby chndoby nie napasł i nie dopatrzył. A był takiej natury ów Chwedor,

że w nim jakby dwóch siedziało ludzi, zrana póki trzeźwy choć do rany przybóź, pokorny, cichy, zapobiegliwy, przemysłny. często coś przypominał o czemby i sama gospodyni nie pomyślała; ale powróciwszy z pola jeno woly na podwórko odprowadził, choć się zaklinał że do karczmy nie pójdzie, zuikał i zasiadał za stołem u Marysi szynkarki, pił, a pijąc niestworzone dziwolągi wyrabiał. Czapka na bakier, w boki się wzięwszy, gadał a gadał, szumiał, odgrażał się gospodyni, lajał, karczną trząsał, wrzeszczał, śpiewał, tańcował, i taka go opanowywała buta, jakby tam w nim wojewoda siedział. Powróciwszy do chaty, regularnie szedł kozaczy-sze za służbę dziękować, z piosnką jeszcze kładł się spać: legł, przedrzemał się, a im więcej krzyczał wczoraj, tem nazajutrz był pokorniejszy i pewnie zrana, naprzeklinawszy wdowie wieczorem, przyhołubiał się różnemi ślicznemi pomysłami gospodarskimi. Odprawiał się on sam i ona jego kilka razy, ale że innego dostać było trudno, a i on przyrósł już do tej kleci, zawsze po wieczornych kłótniach i awanturze, kończyło się pokorą i zgodą.

Wieczorami więc, przy takich nalogach Chwedora, przybywający Jermola wielce był dla wdowy pożądanym, pomagał jej troche i było przed kim narzekać lub przeklinać niezdare. Horpyna także dla dziecka, które się jej uśmiechało, lubiła starego dworaka.

Jednego tedy dnia, dość już późno wróciwszy z ładu, gdzie się upocił i kopy nawet rzadkiego żyta nie mógł nażąć Jermola, bardzo jakoś uciśniony na duszy, zesłably od schylania, powłókł się do kozaczychy. Zaraz w progu Horpyna odebrała mu chłopca, z którym śpiąc zaczął biegać po izbie, a stary zasiadł na ławie

przeciw ognia i zadumał się. Bolała go głowa od słońca, krzyże od nachylańia, ręce namulane od sierpa, choć starannie drewnianą rękojeść plachtą był obwiązał.

Chwilowa bezsilność przeraziła go, nie dla siebie, ale dla przyszłości dziecięcia; począł wzdychać ciężko aż się baba opatrzyła chodząc około garuków, że jej gość potrzebować musi rady i pociechy.

— A widzisz stary — odezwala się — co ja tobie mówiłam, kiedyś brał to sieroctwo, że ty temu nie podołasz. Nieprawda że ci ciężko, bo coś bardzo wzdychasz?

— Oj ciężko kummo kochana, ciężko! Jużem to ja, widzę, nie dwudziesto-letni, bo z pola wróciwszy choć prosto leż do trumny, tak się człowiek czuje biedny i zmęczony, ale cóż? pracować potrzeba, bo się z głodu zdechnie. Czynsz muszę zapłacić, Hudny i z tej nory wypędziłby, gdybym go na św. Michał nie złożył; jeść potrzeba i o dziecku jeszcze myśleć. Za cały dzień jak dziś i dwudziestu groszy się nie zarobi, a krzyże jak połamane.

— Bo ja wam zawsze powiadałam i powiadam, że inaczej powinniście myśleć o zarobku. Całe życie spędziliście na stolku w kredensie, przy lekkiej pracy, a tu wam się zachciało z sierpem i kosą chodzić w pole jak temu, co do nich przywykł od młodu, czemużście nie przydumali sobie co innego?

— Kiedy nic nie umiem....

— Wszakcito i czytać nie umieliście, a mówicie, żeście się nancyli. Możebyście tak i czego innego potrafili od ludzi nabyć.

— Myślicie?

— A cóż? — odpowiedziała baba zwykłą pytającą formułą, która zastępuje potwierdzenie.

— Naprzykład czego? — zapytał Jermola.

— Czy ja tam wiem, jakiegokolwiek rzemiosła moglibyście się wyczyć. Roztropni jesteście, widzieliście i nasłuchali się dużo po świecie, takiby to wam nie ciężiej przyszło niż młokosowi.

Jermola głową pokiwał.

— Szewiectwa, choć sobie czasem buty latam, nie lubię — rzekł powoli stary — krawców dosyć u nas z Kolków przychodzi z łokciami na ramieniu było było co szyć, a mnieoby nikt nie dał sukna ze strachu, żebym nie popsuł; kożuszników u nas aż trzech...

— A tkacza i jednego pocziwego nie ma! — zawolala baba — który weźmie osnowę pewnie ukradnie, u drugiego sztuki się nie doczekasz do trzech lat, pozostawiają w karczmie, na szlichtę daj im co zażądają, poniosą do żyda. Płótna niema komu zrobić, choć się nieźle płaci, wybyście się łatwo tkactwa nauceyli.

— A warsztat? krosna? gdzie to postawić u mnie? Izba mała, kołyska sobie, koza sobie zabierają miejsce, wszystko na kupie, ani sposobu. Macie radzić, radźcie co innego.

— Mnieoby to najłepiej smakowało, żebyście wy zostali tkaczem, bo nie mam komu dać przedzy, butwieje leżąc.

Jermola rozśmiał się weselej, ale i westchnął zaraz.

— E! radźcie sobie nie mnie, poradźcie lepiej kuno.

— Wiecie co? — zawolala Horpyna — ja wam powiem co robić będziecie. Wszakżeto mawialiście sami, że we dworze bywało, jak nie ma co robić, toście sobie na skrzypcach grywali...

— Prawda, całemi wieczorami.

— A no! zostańcie muzyką!

— Tfu! — splunął Jermola — co wam Horpyno takiego? A tożby się człek rozpił, gdzież mnie z dzieckiem po karczmach i weselach się włóczyć?

— A to widzicie, ja tak radzę jak matka.... Musielibyście dziecko u nas zostawić....

Jermola rozśmiał się znowu.

W tej chwili garnki, które kozaczychy przystawiała do ognia stuknęły się, jeden z nich znać już pęknięty pokryjonn, nagle rozpadł się na części, ukrop bryznął po kominie na węgle i wylał się pod nogi uciekającej kozaczysze.

Wielka z tego powstała wrzawa, Horpyna oddała dziecko Jermole i pobięła matkę ratować, wdowa kłąc poczęła, służąca najmitka łamała ręce, kartofle na wpół ugotowane rozbiegły się po podłodze, a pies leżący w progu, przełknięty, gwałtownie szczekać zaczął.

Ledwie się to w kilka minut uspokoiło, gdy szczęściem nikt prócz garnka poszkodowany nie został, bo ukrop zbiegł wprost na ziemię, kartofle pozbierały dziewczęta, a gospodyni nałajawszy złą godzinę, siadła na ławie, żeby się wysapać.

Ale gdy przyszło znowu owe ziemniaki nastawiać, a do alkierza po garnki pobiegli, pokazało się, iż tak wielkiego drugiego nie było w zapasie, i nieboszczyka musiano zastąpić aż dwoma — zdawkową monetą.

— To był garnek jak mało! — poczęła mowę po-grzebową gospodyni. — Pamiętam, że go kupiła w Janówce na jarmarku; biały był jak mleko, a mocny, choć orzech nim tnc! Wracaliśmy po noey z pijanym

Chwedorem. Około Małyczek kołem z drogi zjechał i wywrócił; ja i co było na wozie, wszystko w rów, a było pięć garnków i rzeszoto. A! żeby cię pioruny i z twoją wódką, myślę sobie, i muź zbierać omackiem. Rzeszoto lichu wzięło, bo je koło od wozu przebiło w samym środku: już to ono służy, ale niekoniecznie, garnków dwa poszło w łupiuki, a mój grubas potoczył się tylko o staję... Ja do niego, cały! Oczom nie chciałam wierzyć. Służył mi lat dwa, teraz już takiego drugiego nie dostanę. Ot, z czem u nas bieda, z garncarzami! Trzeba czekać aż się który zlituje i zajędzie, a że to drogi złe, a towar kruchy, rzadko zajężdżają i draż bez miłosierdzia! A ten w Małyczkach Prokop, pożal się Boże, czarne robi i kruche, na nic... chyba na popiół.... Musi je daleko kędyś wywozić, bo tu je znamy i nikt ich nie kupuje...

— Ot co! — zawołała baba nagle — a gdybyście zostali garncarzem, to i pocziwie i spokojne rzemiosło, i taki robota nietrudna.

— Myślicie! — pokiwał głową Jermola — a gdzież go się nauczyć? a glina? czy to u nas jest dobra? a kto potrafi piec postawić? Wreszcie gdyby się już co i zrobiło, jeszcze wozu i konia potrzeba, żeby się z tym wyrobem po świecie prosić... A broń Boże wywrotu, nie-szczęście!...

— Cóżto tobie dziś — zawołała znów stara — wszystko złe i trudne, a ja ci mówię, nie święci garuki lepią.

Poczęli się wszyscy śmiać, Jermola się zamyślił.

Tak szedł ten wieczór u kozaczychy, nie bezowocowo jednak, bo choć nic nie postanowił jeszcze Jermola, powróciwszy do domu, jął niespokojnie rozważać

co robić i nabral otuchy.

Juściż kiedym się czytać nanczył — rzekł w sobie — a to taki najtrudniejsza rzecz na świecie, to i rzemiosła jakiego mógłbym nabyć. Stary jestem, prawda, ale czy to tylko młodzi wszystko mogą? Ot, zobaczymy.

Nazajutrz Radionka zostawił Horpynie, a sam poszedł pod jakimś pozorem do Małyczek. W głowie mu się coś snuło.



Wioskato była o miedzę niewielką, ze znacznym lasów i błot obszarem, w gruntach dosyć jałowych, sypkich, torfowinie i piaskach; ale bogata, bo przemyślna i z samych niemał rzemieślników złożona. Włościanie tutejsi prawie co roku chleb kupować zmuszeni, bo tak jak w Opoczyńskim, jeśli nie gorzej, korzec posiawszy kopę zbierali, i ze zmlóconej ledwie się dopytali korca ziarna, słomę za pracę mając w zysku, nawykli byli już inaczej sobie zarabiać na życie. Palili węgle, przedawali kore, wyginali obody, strugali niecki i naczynia gospodarskie, stelmachowali, bednarzowali, bawili się ciesielką, tkactwem, wyrobem snkien i pasów czerwonych, a jeden nawet był garncarzem. Ale mu to rzemiosło niebardzo poszło; zysk miał, wyrobu nie chwaliłi ludzie. W ogólności garncarze rzadko tam biorą się do roboty, gdzie ich z dawnych czasów nie bywało, a piece po największej części ntrzymują się od niepaamiętnych wieków z ojca przechodząc na syna. Znać w przedhistorycznej epoce, gdy zdumowie potrzebniejsi byli, dostarczając naczyń poświęcanych, znali się też lepiej na gatunku ziemi, na wypalaniu, trafniej wybie-

rali sobie miejsca, i lepszą mieli tradycję rzemiosła; dziś ledwie się kto ośmieli założyć piec nowy, a garunki terażniejsze wyrabiają się tam jeszcze, gdzie przed wieki toczyły i lepily drogie starożytnikom popielnice z tejże gliny, która dostarczała grobowego sprzętu pradiadom.

Ostatni potomek małyczkowskiego garncarstwa bardzo był zszedł nisko w swej sztuce; napijał się, rozwłóczył, o glinę nie dbał, ładajako lepił. Garunki jego nie miały dźwięku, czarne były i pękały tak łatwo, że ich we wsi już nie kupowano, chyba w ostatniej potrzebie. Ale i ta lichota przecież odbyt miała, a stary Prokop i za majątnego uchodził, i nieczego sobie nie żałował; słoninę jadł, wódkę popijał, kożuch nosił wyszywany z siwym kołnierzem, opończę z kapturem, czapkę czarną baranią wysoką jak u dobrodzieja... Syna nie miał, córkę tylko jedynaczkę, wydaną za najlepszego we wsi gospodarza, której taki dał posag, że ludzie wierzyć nie chcieli; bydło, konie, trzy hodnie odzieży i rubli całą czapkę. Wiedział o tem wszystkim Jermola, bo i dawniej i teraz dwór popielnicki z małyczkowskim, a wieś z wioską częste miewali stosunki; myśl starej kozaczychy zajechała mu furą w głowę. Nie chciał się z nią jednak wydać zrazu, żeby nie narobić śmiechu, i jak zwykle wieśniacy, udał inną potrzebę, zawróciwszy się do dworu.

We dworze tym od bardzo dawna mieszkał niegdy przyjaciel popieleńskiego pana, starzec już niemal zgrzybiały, rotmistrz jeszcze kawalerji narodowej, Felician Drużyna. Dawniej bogaty, ale w zamieszkach krajowych straciwszy tak majątność, że przy jednej malej został wiosce, wałęsał się długo po świecie na zachód i pół-

noc; potem powrócił na Polesie, i ledwie z fortuny znacznej ocaliwszy ten okruch mały, ożenił się, owdowiał, oslepl, i zaniemógłszy tak, że nie chodził, umrzeć już chciał tylko, bo się straszliwie męczył, a śmierć codzień wywoływana nie przychodziła.

Dom w Małyczkach dawniej fundum dóbr znacznych, obszerny, stary, ciemny, z ogrodem strzyżonym, sadzawkami, kaplicą, skarbcem, tak pozostał jak go byli rodzice jeszcze rotmistrza zbudowali; ale się to wszystko chyliło do upadku, na jednej wiosce nie było sposobu utrzymać tych splendorów. Życie starca było najosobliwszego rodzaju. Czy się z tem urodził, czy ludzie go tak zagryźli, czy choroba skwasila, stał się najnieczuńszym pod starość. Nie odstępował go nigdy syn już blisko trzydziestoletni, i uboga krewna wychowanka jego żony, skazani na nieustanne męczeństwo i najdespotyczniejsze kaprysy rotmistrza.

Pomimo ślepoty i niedoleżności taki się duch krzepki trzymał w tym człowieku, że dotąd nic z rąk nie chciał puścić; z synem się obchodził jak z dwunastoletnim dzieciakiem, z wychowanką jak ze sługą, czeladź trzymał w najostrzejszym rygorze. Klucze mu przynoszono codzień pod poduszkę, a jeśli komu kazał za karę wyspać, nigdy mniej nad 50, starszym po 100. Wszystko w domu ulegać i służyć musiało na skinienie, z każdej najmniejszej rzeczy zdawano przed nim rachunek.

Ślepy, znudzony ciemnościami w których był pogrążony, a co gorzej beczynnością, w zarządzie domem i gospodarstwem szukał roztargnienia, a w męczeństwie najbliższych sobie istot żywiołu i zajęcia. Jemu służyło tylko to, co go otaczało; nikt dla siebie prawa żyć nie miał. Szpiegowstwo uregulowane na wielką stopę

weszło w obyczaj, wieczną wrzawą i niepokojem napełniając dom ten nieszczęsny, w którym nikt od niego wolnym nie był, syn nawet, poddany ojcu, przybity, Jan Drnżyna siedział u łoża chorego, straciwszy nawet ochotę do życia.

Rotmistrz znowu srogi władzca dla swoich, obcym wydawał się najmiłszym w świecie człowiekiem, w istocie innym był całkiem dla świata, innym dla domowników i rodziny. Dla gości uprzejmy nad wyraz, nieczynny dla sąsiadów, wylany dla biednych; przemawiał słodko, żartował, uśmiechał się, przysługi robił, i kto go nie znał, zdaleka zaledwie mógł wierzyć, żeby stary wojak takim był tyranem. Zapewne choroba nieznośna, męczarnia ślepoty, boleści i nocy bezsenne tak zgryźliwym i przykrym uczyniły jego charakter; serce widać zostało nienadwreżone, choć się niem ze swemi nie dzielił przez jakiś dziwny system surowości. Przesadzone pojęcie karności wojskowej i potrzeby silnej ręki w rządzeniu domem i gospodarstwem, przyczyniały się do utrwalenia tego despotyzmu. U łoża starca dwie istoty, syn Jan i kuzynka nboga Marja wiedli dni, któreby żółcią samą były zaprawne, gdyby ich nie osładzało wzajemne przywiązanie. Domyślił się go starzec, wyprowadził sam nawet na wyznanie, ale otrzymawszy je podstępnie, obojgn pod przekleństwem myśleć o połączeniu zakazał. Zostawił ich tak osamotnionych, jedno z drugim nie rozłączając, a rozkazem absolutnym sercom ich pozamykać się kazal, sądząc, że słowo jego będzie wszechmocnem, że nie sprzeciwić się mu nie ma prawa. Młodzi zamilkli i we łzach spełniali dalej ciężką powinność, tając się z przywiązaniem przed starcem.

Dzień i noc potrzeba było zostawać przy rotmistrzu, który ze spuchniętymi nogami w łóżku leżąc lub z krzesłem wytaczany na kilka godzin do pokoju, zawsze przy sobie kogoś, najczęściej Marję lub Jana mieć musiał. Sen mając przerywany i krótki, zadrzemywał o dziesiątej, budził się z północy, po kawie nadeńnięm trochę zasypiał i potem do obiadu ciągle się czemś zajmował, zwołując do łóżka z kolei sług i oficjalistów; ledwie oczy przymrużywszy po jedzeniu, budził się znówu, by rozkazywać i pędzić do nocy. Z kalectwem podwójnem, przy męczarniach swych rotmistrz wcale się nie szanował, pił wódkę kilka razy, jadł za czterech, a żadna rada lekarska ani perswazja powstrzymać go od tego nie mogły.

U krzesła jego lub łóżka wytaczały się sprawy o najdrobniejsze gospodarskie i zarządu domowego szczegóły, konfrontowano ludzi, inkwirowano, sądzono; a Drużyna tak dobrze wiedział i pamiętał co raz mu powiedziano, że mimo braku oczu nie się przed nim ukryć nie mogło.

Zdrowszy jeszcze nieco i nim oczy stracił, za życia popielafńskiego pana, rotmistrz był jednym z największych jego przyjaciół i najczęstszych gości; widywał go tam Jermola, a starzec przez pamięć dla przyjaciela, czasem mu w jego osieroceniu czemś pomagał. Poszedł więc i teraz naprzód do niego do dworu poradzić się Jermola, ufając wielkiemu rozumowi i dobremu dla siebie sercu pana Drużyny.

Radzi tam byli każdemu nowemu przybyszowi we dworze, bo albo od rotmistrza odrywał na chwilę jego niewolników, dając im cokolwiek odetchnąć, lub rozweselał go potrzebą przybrania tego tonu, jaki miał

zawsze w pogotowiu dla obcych schorowany starzec.

Gdy znać dano panu Drużynie że Jermola widzieć się z nim żąda, zaraz jął wszystkich pędzić, żeby go przyprowadzili, przynieśli wódkę i przekąskę dla gościa, i z uprzejmości dla niego znalazł sposób wyłajać połowę swego dworu. Usłyszawszy kaszelek w progu, powitał go swoim najśłodszym humorem:

— Jak się masz stary? co tam słyhać w Popielni?

— A cóż? nic, Jaśnie panie, pustka tylko i bieda....

— No, a ty co tam porabiasz? Co tam nowego?

— O! i bardzo nowego — westchnął Jermola — panu nie wie?

— A zkadże u kroć sto tysięcy kaduków miałbym wiedzieć — zawołał rotmistrz. — Widzisz, że jak Łazarz leżę w ciemnościach, a ci co mnie otaczają, nie powiedzą pewnie co by mnie rozweselić lub zająć mogło; wolą milczeć lub stękać i wzdychać. Cóżto się tam stało?

— To taka przygoda, żem ja myślał, że o niej już i o sto mil wiedzą.

— No, ale cóż, cóż przecie mój bracie, gadajno?

— Panu Bóg mi dał dziecko.

— Co u diabła? czyś się oszalawszy ożenił?

— Ale nie, proszę Jaśnie pana.

— A, to coś gorszego jeszcze....

— Jaśnie panu nie rozumie.

— Mówże jaśniej mój Jermole, co u licha?

— Trafilo mi się to jeszcze w kwietniu, że ktoś mi chłopaczka podrzucił.

— Jak? co? kiedy? — niespokojnie podchwycił rotmistrz...

— W kwietniu.

— Ano, powiedzże mi jak się to stało?

Jermola ze szczegółami opowiedział przygodę swoją, pociechy, kłopoty, historję całą kozy i dziecięcia; daleką trudność zarobkowania, naukę czytania, chęć wyczerpania się jakiegoś rzemiosła. Starzec słuchał bacznie, a co dziwniejsza, pan Jan u drzwi stojący, choć miał już wyjść na świeże powietrze odetchnąć, tak się uczył pochwycony opowiadaniem Jermoly, że do końca tej historii pozostał.

— To dalipan coś ciekawego! zawołał rotmistrz wysłuchawszy. — Jakaś wyrodna natura rzuca pod drzewem sierotę, a Pan Bóg mu stręczy takiego ojca, jakiegoby krew nie dała! Tylko stary mój przyjacielu, zapóźno ci przyszło to błogosławieństwo, widzi mi się; jak świat światem nie słyszałem, żeby się kto w twoim wieku uczyć czegokolwiek począł, o rzemiosło nowem zamyślał, i tak dalekie snuł projekta. Wiele ty masz lat?

Jermola w istocie wiedział bardzo dobrze, że ich liczył sześćdziesiąt kilka, ale się obawiał przyznać, żeby go rotmistrz nie zbijał i nie straszył, odparł więc poprostu.

— Albo się to u nas liczy? Jak siwy, to i stary; jak niezdara, to grzyb, zresztą Pan Bóg tam najlepiej wie tę liczbę.

— Pan Bóg! ba! ba! wiedzą i ludzie! Ja ci sam powiem wiele ty lat mieć możesz — przerwał rotmistrz obrachowując na palcach. — Mogłeś mieć sześć, siedm gdy cię z pastuszka wzięto do dworu. Muie tu jeszcze nie było; ale lat 40 jakim powrócił, już wówczas nieboszczyk mi mówił, żeś u niego był około lat siedm-nastu: obliczywszy się szczerlnie, sześćdziesiąt z czubem mój bracie....

— Może to być, ale kiedy człek zdrów i silny.

— A! to wielkie szczęście — zawołał rotmistrz — nie tak jak ja kaleka od Boga nawiedzony i ludziom ciężarem będący, którego ziemia nawet nie chce, choć się jej dawno należe.

— Co tam Jaśnie pan mówi!

— No! no, praw swoje, człek stęknąć musi, gdy go boli.

— Ot — rzekł Jermoła powoli — malca mojego wychowuję, pracować muszę na niego i na siebie, a w polu niebardzo zdążam, chciałbym sobie inny zarobek wymyślić, rzemiosła się jakiego wyczynić.

— Toś ty trochę podszalał mój pocziwce — zaśmiał się Drużyna — a toćto ci sama nauka dużo czasu zabierze. Gdzież będziesz terminował? ani ręce, ani oczy, ani siła potęmn...

— Juściż żebrać pójść nie mogę....

— Nie zechcesz....

— I dla siebie i dla dzieciny.... wstyd jakoś z torbami się waleśać... Nie... nie...

— No! ale jakże potrafisz na starość wyczynić się rzemiosła?

— Mnieby się zdawało, że to łatwiej przyjdzie jak młodemu, człek uważniejszy i wie na co się to przyda, nic go nie odrywa, siedzieć na miejscu lubi, a ręce toć takie same.

— A! a! kochanku! jeszcześ ty bardzo młody, kiedy tak mówić możesz.... Cóż wspólnego staremu z młodym?? — nic, nic, inne serce, inna głowa, inne ciało, inny człowiek; i gorszy i biedniejszy. Szczęśliwyś, że jeszcze tak odważnie brać się możesz do dzieła.

— Bo mnie się zdaje, że kiedyś się dla tego dziecka czytać nauczył, to i rzemiosła potrafię...

Rotmistrz westchnął.

— Wybierzcie sobie co łatwego przynajmniej — rzekł kiwając głową.

— Radzili mi krosna, ale nie mam ani za co kupić, ani gdzie postawić, u mnie ciasnota....

— A ty co myślisz?

— Ja, prawdę powiedziawszy, przywłókłem się tu do Prokopa...

— A! garnki lepić! — począł śmiać się rotmistrz — jeśli takie jak on, to niedaleko zajedziesz....

— Byle mi cokolwiek pokazał, to i lepsze potrafię, ale Prokop zazdrośny podobno, uczyć mnie nie zechce.

— Na to byłaby rada — rzekł rotmistrz — kazałbym go zawołać i rzekłbym tylko słówko, nie ma tajemnicy, żeby ci jej nie wydał, jak mu nakiwam.

Jermola głową potrząsł.

— E! z mnsu, jakoś to nie idzie....

— Popróbujże dobrą wolą, a jak ci się nie uda, już ja na to poradzę.

I nakarmionego odprawivszy Jermolę, rotmistrz kazał mu jeszcze przyjść do siebie wieczorem z doniesieniem.

Zmierzając do chaty garncarza, położonej na wzgóreczku, gdzie pod wspaniałą starą gruszą widniał za sklepiony świeżemi garnkami piecyk garncarski, Jermola począł się bardzo namyślać i zdało mu się wreszcie, jakoby wpadł na niewinny a szczęśliwy podstęp, rozjaśniła mu się twarz stara i pomarszczona, zatarł ręce, raźniej i ochotniej przestępując próg Prokopa.

Po wydaniu zamaż córki, stary zdun małyczkowski mieszkał z parobczakiem i gospodynią młodą jeszcze

rekrutką, uchodzącą za jego ulubienicę, w opustoszonej chacie, wiodąc życie wiejskiego hłaki i wygodnisia. Pracował mało, wierząc już w stare ruble, rzadko się brał do toczenia i wypalania, częściej w karczmie zasiadywał, lub w domu z gospodynią wywczasu zażywał.

I teraz właśnie zastał ich we dwoje Jermola nad kwartą wódki i misą kwaśnego mleka ze śmietaną. Prokop poszpakowacialsy już starzec, krzepki był jeszcze: ogromne chłopisko, barczysty, silny jak dąb, z brodą po pas. Spojrzawszy nań znać było, że się jeszcze mógł poborykać z niedźwiedziem. W karczmie gdy sobie podpił, obawiali się go wszyscy, bo chłopami jak gruszkami rzucał, pod oś plecy podłożywszy wóz ladowy dźwigał, a koreem zboża zamiatął jak plewą.

W butach juchtowych po kolana, w szarawarach białych, skrojonych z kozacka, w szarej koszuli z guzem ogromnym i sutym czerwonym pasie; Prokop siedział z łyżką nad misą naprzeciw rekrutki, która do niego białe wyszczerzała zęby i śmiała się ręką zasłaniając. Znać jej niedorzeczności prawil, gdy Jermola pokazał się z pobożnem pozdrowieniem w progu.

— Sława Bohn!

Trochę się znali i wprzód, ale Prokop dla każdego był gościnny póki nie podpił i nie zadarł się a nie poczał być strasznym; wstał więc z ławy, rekrutka uciekla, a starzy się przywitali.

— A z czem Pan Bóg prowadzi? — zapytał gospodarz — napijemy się na dobry czas?

— Napijemy — odparł Jermola — choćó ja nie zwykły.

— E! jeden nie zaszkodzi.... i zaraz do dzieła, jeśli jakie macie.....

— A jest tam coś trochę — rzekł przybyły — ale to długo gadać.

— No, to wcześniej zaczynać trzeba...

— Poczekajcie, niech trochę odetchnę...

— Jak sobie chcecie.

Powoli i rekrutka pokazała się z alkierza. Sprzątnięto mise, zostawując wódkę: poczęli stekać na czasy, na drożynę, Prokop jął kłać rzemiosło i rozgadali się jakos serdecznie.

— Otóżto trzeba wam wiedzieć — rzekł Jermola nie bez obawy — że i ja jestem także syn garncarski, a dziadowie moi z dawien dawna byli zdunami.

— Oho! — z niejakim podziwieniem odezwał się Prokop — doprawdy?

— Tak jest w istocie, ale ojciec i matka odumarli mnie w maństwie: ledwie troszynkę mogłem się przypatrzeć rzemiosłu. Jeszcze do dziśdnia na dawnym naszym ogrodzie jest stare piecysko zielen zarosłe, ale ta ojcowizna poszła w obce ręce...

— Jak świat światem w Popielni o garncarzu słyhać nie było.

— Bo ojciec był z Wołynia, a tu krótko robił.

— A to co innego — wódkę popijając rzekł Prokop.

— Otóż widziecie, na starość zachciało mi się powrócić do rzemiosła — wybąknął Jermola.

Prokop spojrział mu w oczy i poskrobał się w głowę coś mruczając.

— To ty mi kawałek chleba chcesz odebrać? — ofuknął się groźnie.

— E! posłuchajcieżno — rzekł Jermola — jeszcze go może i wam dam, nie strachajcie się no zawczasu.

— Gadajże, gadaj.

— Syna nie macie, córkę wydaliście za gospodarza, sami dosyć nachowaliście grosza, jużby wam i czas odpocząć. Tu glina nie do rzeczy, musicie jeździć z garukami daleko, bo koło siebie ich nie sprzedacie, takieto niepotem....

— O! o! a ostrożniono bracie! co gadasz! — ofuknął się, pięścią w stół stukając gospodarz.

— Nie gniewajcie się, toć się bez was nic nie zrobi....

— Ty mnie chcesz obedrzeć!

— Nie! nie, jeszcze się wam z tego darmo kawał chleba okroi.

— A nu! to gadaj, czortby miał twoję duszę....

— Ot jak: ja sobie łatwo przypomnę rzemiosło, byle mi cokolwiek pokazać, bo ono we krwi jest.... Założycie wy ze mną piec w Popielni, dopilnujemy razem wypalenia, a za to póki waszego życia, połowę zarobku mego do was należeć będzie, choćbyście sobie do góry brzuchem leżeli....

Prokop bardzo zaczął trząść głową.

— Dobreby to było; a kto za was zaręczy?

— Wasz pan....

— Rotmister! stary rotmister! — krzyknął Prokop.

— A no, on! bo też to on widząc gorzką moją dolę na starość, tę radę mi podał.

Prokop zafrasowany aż się za brodę targnął.

— *Idę rym, hde krym!* Rotmister! on tobie to poradził? Alboto wy wiecie co nasze rzemiosło? Wam się zdaje, że garnek zlepić jak grzędę skopać, albo piec wypalić i to mała sztuka. Atoć ja całe życie robię garuki i nie zawsze mi się udaje.

— Bo wam już się nie bardzo chce tem zajmować, macie grosz, chatę, chleb, a na co wam to?

— Nu! to prawda.... ale ty mój stary także niełatwo się nauczysz, tu potrzeba młodej głowy....

— Popróbnjcie, i Rotmister wam będzie wdzięczny.

— Kroćsethy djablów zjadł ze swoim Rotmistrem, — mruczał Prokop — jemu człowieka obedrzeć to nic.

— A jeśli w Popielni lepszą się glina znajdzie na białe garnki? Wy to tylko palicie czarne, a to lichota....

Prokop aż się zerwał z guiewem; oczy mu krwią zachodziły.

— Lichota! — krzyknął — ej stary! jak cię pochwycę, to cię i twój Rotmister z moich łap nie wyrwie.

— A co wam z tego przyjdzie, jak biednego człowieka i sierotę zgubicie — rzekł potulnie Jermola.

To rozbroiło starego Prokopa. Uśmiechnął się.

— Jaką sierotę? — zapytał.

— A to nic nie wiecie?

— Nic, jeździło się po świecie; gadajże co to za sierota?

Rad z uspokojenia gospodarza, który choć gwałtowny i popędliwy, niezłe w istocie miał serce, dworak rozpoznał swoje dzieje z tą szczegółowością, z jaką zwykle wieśniacy każdą rzecz opowiadają, nie pomijając najdrobniejszej okoliczności. A potrafił je tak rozpowiedzieć, że Prokopa i zajął i poruszył; zawołał gospodarz rekrutki żeby słuchała także, i ani się opatrzyli, jak godzina upłynęła wśród gawędy z Jermola. Uczucie wywołało uczucie, zbudziła się w sercach litość; Prokop klął ale już nie gościa, tylko te gadziny, które śmiały biedne dziecko porzucić tak na drodze na los szczęścia, na sierocą dolę. Położenie Jermoly usposobiło go do przyjscia mu w pomoc, a może też i wspomnienie rotmistrza, którego się wszyscy obawiali, pomogło nieco do tego; do-

syć, że gdy wstali od stołu po kilkogodzinnej gawędzie, stary garncarz obiecał nazajutrz przyjechać do Popielni dla zobaczenia razem i dziecka i gliny.

Wziąwszy odeń słowo, które zapieć potrzeba było dla mocy kieliszkiem wódki, Jermola wstąpił jeszcze do dworu opowiedzieć się rotmistrzowi, i pospieszenie, na-prost, ścieżyną przez lasy mało komu znaną pobiegł do Popielni, co chwila już niespokojniejszy będąc o swego wychowanka, że mu Horpyna spać nie da pieszczotami lub przysmakami zakarmi.

Spocony, umęczony, z zaschłemi usty, padając ze zmęczenia, miotany niepewnością co jutro będzie z garncarzem i czy się uda lub nie próba, w obawie, żeby darmo czasu nie stracić, wrócił Jermola do chaty kozaczychy, a pochwyciwszy Radionka, którego jak po pół-rocznem niewidzeniu wyściskał, niebardzo chcąc się spowiadać z tego co zrobił, pospieszył do swojej chaty.

Nazajutrz raniutecznie był już na nogach. Dziecko znów musiał oddać Horpynie, bo nosić się z niem nie było podobna, sam począł zamiatać i biegać przyspasabiając wódkę i obiad mięsny w piecyku dla spodziewanego Prokopa, którego lada czem zbyć nie wypadalo, bo głębia miał popsutą.

Nie chybil zdumiał stary i około ósmej zajechał wózkiem jednokonnym przed karczmę. Umieszczono jakkolwiek konia pod ścianą obwaloną w zakątku; a że Prokop wódki się napiwszy naprzód zażądał widzieć sierotę, poszli po kilku kieliszkach do kozaczychy. Tu się ich widać spodziewano, a starucha sprzyjając Jermole, trochę też przez próżność chcąc się pokazać i wystąpić

przed obcym, nagotowała krupniku z miodem, przyrządziła kielbasę, największy przysmak na jaki zdobyć się mogła, a w dodatku i jajecznicę, co przyjęcie to podniosło do najwyższego stopnia przepychu, niepospolite dając Prokopowi wyobrażenie o zaможności domu.

Stary zdun wprawiony w doskonały humor, nie mógł się odchwalić sierotki; prawda, że Jermola popisać się z nim umiał. Dalej tedy gdy nasz dworak wrzał z niecierpliwości, wyszli jakoś nareszcie szukać gliny we dwóch, choć Prokopowi od misy i flaszki niebardzo się chciało, i rad był odłożyć na kiedyindziej.

Jermola gorąco Pana Boga prosił, żeby się dobra glina znalazła, ale prawdę rzekłszy, ani pojęcia nie miał gdzie jej szukać, ani nadziei znalezienia, ufał jednak że to się powiedzie więcej w Opatrzność i los, niż ludzi. Słyszac zawsze, że dęby rosną na pokładzie glinianym; wiedząc, że glinę do obmazywania chat brano zawsze nieopodal od drzew, kolo jego ogródka, w miejscu właśnie gdzie sierotkę znalazł, które się nawet glinami nazywało, instynktem poprowadził tam zduna.

Wzięli z izby rydel, czyli jak go tam zowią zastup i z milczącym Prokopem, który dla nadania sobie powagi obie ręce za pas pozakładał, poszli oba za pustkę na wzgórze.

— Ale to tu szczere piaseczysko, — rzekł stary — glina musi być bardzo głęboko, i kto wie, czy się zda na co, niżejby szukać jej potrzeba.

Postąpili kilka kroków, i jakoś niedaleko dęba, który Jermola Radionowym nazwał, dworakowi kopać się koniecznie zaczęło.

Prokop, że to był rozkosznieś i fatygi nie lubił, zaraz sobie usiadł na ziemi, a Jermola plunawszy w dłoń

zamaszysto wziął się do kopania. Zrazu co odrzucił, licha było warte, piasek szary, piasek biały, piasek żółty i żwir aż zastup coś twardszego napotkał i pokazała się glina.... Ale i ta niepotomu, prosto żółta i kamyczkowata, jeszcze w niej nadto było piasku.

Pokazał na rydlu próbkę Prokopowi, ale ten na nią wzgardliwie spojrzawszy, ruszył tylko ramionami.

— Kopcie no dalej — rzekł sapiąc po kielbasie i jajeczniczy — a dajcie mi swoją fajkę.

Oddałby był nie lulkę, ale ostatnią koszulę Jermola, byle załagodzić Prokopa, żywo więc pozbywszy się cybuzka, jął się dalszej roboty w milczeniu.

Po tej glinie, coraz zsiadlejsza i gęstsza pokazała się druga, ale i z tej Prokop jeszcze nie był rad, nie byłą prawdziwa garncarska. Nareszcie w trzeciej szycheie zazieleniało coś i pokazało się nie wiedzieć do czego podobnego, płowego, gęstego, zsiadłego jak kamień. Jermole aż w sercu zastygło, odrzucił precz dobytą ziemię, sparł się na zastupie i westchnął. Wtem oko Prokopa padło na odrobinę tej ziemi wyrzuconej pod nogi, twarz mu pojaśniała, porwał ją w palce, roztarł, posmakował.

— O! o! toście to wy wiedzieli o tej glinie na pewno! — zawołał — wiecie wy co to za glina, takiej tu nie ma nigdzie naokoło aż we Włodzimieru!... O! filut z ciebie stary! — zakrzyknął Prokop, rzucając fajkę.

Jermola zaniemiał, ale mu wypadło udać, że istotnie szedł z wiadomością rzeczy tam, gdzie w istocie Opatrzność go tylko prowadziła. Uśmiechnął się.

— A głęboko to tego, popróbujecie? — zapytał garncarz...

O! o! będą garnki! i jakie! Na dwanaście mil nie ma takich prócz Włodzimierca... śliczna glina, choć ją łyżką jeść jak masło.

Jeli już oba kopać i rozgrzebywać, a warstwa tego drogiego pokładu pokazała się obfita. Przerzynały ją wprawdzie wąskie żyły bielszej z piaskiem jeszcze i żwirem pomieszaney, ale te zaledwie okazywały się i znikaly, a zielonawa śliczna glina zdawała się niewyczerpaną... Zawiazali jej w plachtę dobrą kupę dla spróbowania, i zapiwszy tę sprawę, Prokop siadł na wóz strasznie głową kiwając, a spiesząc do Małyczek.

Takim sposobem odkryto w Popielni glinę, o której wprzód nikt nie wiedział, i pierwszy garncarz z radością w sercu niewysłowioną, pokłakł się pomodlić w swej izdebce, po odjeździe Prokopa.

— Dziecię chleba będzie miało! — wołał odchodząc od siebie z radości — dzięki ci Panie Boże, żeś mnie wysłuchał! Dziecię chleba będzie miało!

Pan Bóg radzi o swej czeladzi, powiada przysłowie, a czeladź Boża to wszyscy ludzie dobrej woli, w których żyćin tak znać widoczną rękę i pomoc Bożą, jak często w losach dzieci ciemności i zła, widome są skutki grzechu. Świat ten zbudowany tak przemądrze, kierowany tak cudownie, że na nim samo dobro spełnione owocuje naturą swoją, a zle niesie karę i zgniliznę jak chorobliwy pierwiastek. Często dla oczu ludzkich niewidoczniejsi zrazu są te działania wielkich owych czynników, ale w końcu wychodzi na jaw głośno, co się wśród ciszy fermentując przygotowywało. Często znown ostateczne skutki dobra i zła spełnionego

na świecie, poza granicami jego dopiero się rozwijają; tam już sprawiedliwość Boża każe ich się tylko domyślać. To pewna, że w żywocie ludzkim gdziekolwiek znajdziesz miłość i poświęcenie, za nimi idą w ślad spokój wewnętrzny, ubłogosławienie ducha, siły nadspodziewane, potęga sięgająca endu. Nie dzielniej nie kieruje wolą i nie nadaje jej większego znaczenia. Miłość ma jasnowidzenia nieziemskie, ma wiedzę wlaną, instynktową, niechybność zdumiewającą.

Gdziekolwiek się ona i w jakiegokolwiek objawia formie, poznasz królowę; w zwierzęciu nawet wydzielczonem, ilekroć je instynkt podnosi chwilowo do przecznia miłości wyższej, macierzyńskie przywiązanie, związek dwóch istot uszlachetnia je i niemal przybliża do człowieka. Nie ma smutniejszego bytu nad żywot anormalnie nacechowany samolubstwem, nienawiścią, wydzieleniem się z ogółu. Świat stoi tą wielką więzią miłości, która go czyni całym i jedynym, a w czym sercu jej nie ma, odpadł od wielkiej Bożej rodziny.

Miłość bezsilnego starca, jakim był Jermola, przetworzyła go endownie, nad grobem tętnęła weń życie nowe, i dała mu siły, jakich nie miał w młodości. Spytacie może: czemu tak malczuką istotę wybrał na przedstawiciela skutków tak wielkiego i wzniosłego uczucia? Ale jest-że co małym i lichym z miłością w sercu? Zresztą powtórzę zawsze: *natura maxime miranda in minimis*. Prawda ta nie do jednego mikroskopowego świata naturalistów zastosować się daje, w świecie moralnym czasby ją też przystosować.

Po znalezieniu garncarskiej gliny w Popielni, wielkim w życiu Jermoly wypadku, poszło już wszystko

staremu jak z płatka. choć nie do wiary zdawało się prawie ludziom, żeby zgrzybiały niemal starszerek, jął się skutecznie zupełnie sobie nieznanego rzemiosła. Ale wola wszystkiem jest w człowieku, a kiedy nią skieruje uczucie silne. czegoż we dwoje nie dokażą?

Na próbie w Małyczkach, gdzie się piec właśnie zasklepiał do wypalania, gdy parę garaków wytoczył Prokop z nowej gliny, i poznačywszy, umieścił je między swojemi, kiedy następnie ostudżono je i rozebrano, wyszły potem dwa białe, śliczne. dzwoniące. lekkie. a tak różne od wyrabianych z małyczkowskiej ziemi, że i Prokop i wszyscy przytomni osłupieli.

Żadea z nich nie pękł przy wypale, i kiedy je przywieziono do Łopielni. do chaty kozaczychy, zeszła się gromada podziwiać tę osobliwość, a Jermola całował je i płakał.

Z Prokopem umowa o naukę, o postawienie pieca, urządzenie garncarskiego warsztatu stała bardzo łatwo; szło już tylko o ekonoma Hudnego, od którego też pozwolenia było potrzeba na kopanie gliny i wystawienie pieca w ogródku. Szczęściem pani ekonomowa obiecywała sobie z tego wygodę; podarowano jej jeden z garnków na próbę wyrobionych, i pan Hudny nie mógł być bardzo przeciwny. Nie chcąc jednak wyjątkowo odstąpić od prawa przyjętego, dał do zrozumienia, że Jermola powinien mu się będzie opłacić. Tymczasem nowemu garncarzowi nim został rzemieślnikiem, tyle razem wypadków spadło na głowę, że nie miał im czem polecać; Prokop darmo się nie ofiarował, a warsztat, i kopanie, i cegła, i przyrządy kosztowały także. Izba okazała się zamalą, drugą więc, obok potrzeba było wylatać i oporządzić; czasu stra-

cilo się dużo, grosz zapasny wpędce się wyszastał.

Nim cokolwiek przyszło z tego korzyści, trzeba się było zadłużyć po uszy. Przychodziło wprowadzić na myśl staremu ruszyć owo złoto Radionka, schowane skrzętnie, ale miał wstręt od tego, a obawiał się nie bez przyczyny, żeby pokazanie dukata nie obndziło niepotrzebnych domysłów i nie spowodowało jakiego prześladowania.

Stara kozaczycza choć skrobiąc się i kiwając głową, ale że lubiła malca i Jermolę, potrosze rozwiązywała węzélki i podsycala go ciągle; im większy jednak był wydatek, tem więcej obawiała się, żeby całej tej garn-carki lichu nie wzięło i wyrzucała sobie, że do niej namawiała w początku.

Prokop, którego rotmistrz zawolał do dworu i su-rowe dał mu napomnienie, żeby się zajął nanką Jermolę, potrosze w tem i swego pilnując zysku, wziął się zaraz do roboty.

Hudny dostał 20 złotych za pozwolenie kopania gliny i wystawienie pieca, najęto dwóch ludzi do wy-porzędzenia izby, i w kilka tygodni stary Jermolę już miesił, gnoil, toczył, suszył, zabierając się do wypala-nia pierwszych garnków popielafskich. Sam Prokop pilnował ognia, i tak ślicznie wyszły, że ich w stratę nadzwyczaj mało odpadło; a kiedy je rozstawiono w izbie aż się oczy radowały, tak wyglądały schludnie i pięknie, tak dzwoniły, obiecując być trwałemi. Próbę gotowania i drugiego ognia wytrzymały zwycięzko; a że nowość i na wsi popłaca, w kilka dni nie było jed-nej misy i jednego garnka na składzie, tak się do-skonale sprzedady. Nie popłaciło to długów, ale koza-czycha odebrała część jakąś, grosz się staremu został,

Prokop się pożywił swoją częścią, ekonomowa uprowidowała, a nadzieje na przyszłość jak najpiękniejsze się być zdawały.

W czasie całego tego zamętu, małego Radionka Jermola nie spuścił z oka ani z rąk, o ile tylko mógł. Chłopak się też stawał coraz mniej zawadny, rósł, roztropniał i już można było przewidzieć, jak śliczne zeń będzie pachole. W najkłopotliwszych chwilach Jermola porzucał go na Horpyny, która temu gościowi zawsze była bardzo rada, ale nocy nigdy mu nie dał przebyć pod obcym dachem, bo smutno już było na dłużej pozostać bez dziecięcia. Nawet biedna koza w takich razach nie wiedziała co począć, zostawszy przy dziecku beczała za starym; pobiegłszy za Jermolą, tęskniła do Radionka.

Szcześnie najtrudniejsze do przebycia pierwsze chwile nauki i wprawy przeszły wprędce. Jermola przekonał się o prawdzie przysłowia, że nie święci garnki lepią, i uczeń pojętny pochwycił żwawo pierwsze zasady swej sztuki, ale toczenie i lepienie, przysposobienie gliny, daleko było łatwiejsze od układania garnków w piecu i wypalania ich. Tu umiarkowanie ognia, dopilnowanie go, zagaszenie w porę, poznanie dojrzałości, żeby w pół surowe lub przepalone nie wyszły, stanowiły dość trudne zadanie, potrzebujące i wprawy i doświadczenia i wiadomości pewnych.

Prokop, który chciał zawsze być staremu potrzebny, tajemnice owe półgębkiem tylko wyjawiał, mniął je odgadywać Jermola, sam niejako domacując się prawdy. Silna wola skupiająca wszystkie władze umysłowe na ten jeden przedmiot, i to mu wielce ułatwiała.

Pierwsze lody były przelamane, a gdy zima prze-

szła, a druga wiosna zalala brzegi Horynia; gdy znówu flisacy pokazali się nad rzeką, Jermola już naprawdę został garncarzem, i cały swój zapas garnków sprzedał cieślom i robotnikom przy drzewie. Rozerwano je w okamgnieniu, ekonomowa się pogniwiała, stary swoje nawet garnuszki musiał poddawać.

Mały Radionek rósł tymczasem szczęśliwie i tak się bujnie rozwijał, że w sercu było błogo nań patrzeć. Belkotął już to słodkie imię ojca, które łączy z oczu wywoływało Jermole, próbował chodzić, nie potrzebował starej kozy, bo i ze skórka chleba dał sobie rady, a żydówka pocziwa służyła mu tylko do zabawy.

Przybyło i koźlę do tego gospodarstwa, za co się Jermola nie gniewał, choć więcej niem zajęta żydówka, przeniosła często naprzykrzone dowody swojego przywiązania na rodzonego syna. Radionek też zabawiał się z tym braciszkiem jeszcze wcale niestraszonym w sposób tak śmieszny, że stary często patrząc na nich dwoje, brał się za boki, a że później miał zawsze powód do tego wyściskać dziecię, i koźlęciu był wdzięczny.

Do tej smutnej i osamotnionej przed rokiem pustki, dziś z podrzutkiem razem wstąpiły: nadzieja, wesele i życie. Trudno było poznać Jermolę, tak wynalodniał, tak się stał czynnym i żwawym. Część karczmny, którą zajmował wylatało, na nowo pokryto, wyporządzono drugą izdebkę, ogród gdzie teraz był piec miał już ploty i wrota porządne, widać było choć powolny wzrost zamożności. Do kozy i jej synka przybył służka nowy, którego do pomocy wziął Jermola, chłopak lat około dziesiątka, sierota także, zwany Huluk. Samemu trudno już było podolać na wszystko, a wyrostka miał czem zapłacić. Kobiety tylko brakowało w cha-

cie, ale stara kozaczucha zastępowała im gospodynią, u niej się chleb wypiekał, bieliznę szyla i prała, a po części warzyła strawę i przygotowywała zapasy spiżarniane.

Ile razy Jermoła chwalił się swoim garncarstwem, wdowa zawsze przypominała mu ów pęknięty garnek, który do niego pierwszą myśl podał; a jak często zdarzenie to opowiadała, wyliczyć trudno. I jej też jakoś Bóg szczęścił w tem, czego najmocniej pragnęła, bo Horpyna nareszcie wyszła za mąż bardzo świetnie. Pisarz ów, który oddawna do niej dojeżdżał, unizgał się, kręcił, rozpatrzywszy lepiej, a serca widać pohamować nie mogąc, naostatku oświadczył się staruszcze. Nie było jej to może po myśli, bo choć córka szła za jednodworca i niby los robiła, ale wdowa wołałaby gospodarza, wieśniaka, któryby przy niej został przyjakiem. Chłopcu zaś o tem ani gadać było, na gospodarstwo wiejskie przechodzić nie myślał, wybierał się ekonomicować i robił Bóg wie co, kozaczucha więc traciła córkę i sama jak palec zostawała w Popielni na dożywociu. Po szumnem weselu, kiedy żonę nazajutrz wzięwszy, pisarz odjechał z nią do domu, wdowa w swej pustej chacie wytrwać nie potrafiła, tak jej te kąty, przypominające córkę osmutniały, i poszła na cały dzień do Jermoły. Odtąd rzadko doba upłynęła, żeby go nie odwiedziła, mogąc się z nim przynajmniej wygadać o Horpynie, o swem sieroctwie, a taki i Radionek ją trochę obchodził, bawił i rozrywał, starucha przywiązała się doń powoli.

Przeskoczym teraz lat więcej dziesiątka, i spojrzym

znown na tych, których porzuciliśmy dziećmi i starcami, pracujących z nadzieją na przyszłość.

Wiele się tu odmieniło, a naprzód nikthby Radionka nie poznał, tak wyrósł i dojrzał zawezośnie.

Ludzie wiejscy, których dzieci pracą przybite powolniej odrastają od ziemi, patrzyli nań z podziwieniem i potrzásali głowami, szepcąc po cichu, że w nim krew musiała być szczęśliwa i silna, która taki wzrost, wejźnienie i raźność mu dawała. W istocie ani go było porównać do rówieśników nlicznych, ale też żaden z nich takiego jak Jermola nie miał ojca, i nie wyrósł na kolanach ukochanym jedynakiem. Wśród tłumu zaraz na siebie ściągął oko, rysy twarzy miał bardzo regularne, owal nieco przedłużony, oczy piwne pełne życia, nos prosty, usta małe i nieco wystające, co im nadawało wyraz szczególny, niby z odrobiną dumy, niby z uczuciem siły. Ten charakter fizjonomii powiększało jeszcze podgolenie głowy wysokie, będące we zwyczaju na Polesiu, istotnie twarz uszlachetniające nwydatnieniem czoła; na wierzchu tylko głowy pozostawiony włos długi, piękny, spadał na tył z fantazją w puklach złocistych. W budowie jego ciała nieznac było, że mu brakło macierzyńskiego pokarmu, tak była silną i krzepką. Barczysty w ramionach obiecywał wzrost więcej niż mierny, a wychowanie proste i nawyknienie wczesne do pracy, powietrza i niewygód, dało mu gibkość, sprężystość i zręczność niemal dzikiego zwierzątka.

W wejźzieniu Radionka malował się rozum bystry, śmiało było i pewne, jakby o walce życia i ciężarach jego nie miało pojęcia, lub całkiem się ich nie obawiało. Gorących uczuć, ciekawych, żywy młody chłopak, wychowanin starca troskliwego i pieszczotliwego wi-

nien był rozwinięcie swoje, ciepłem sercem i miłością ojcowską przyspieszone. Miłość przelewa się w otaczające istoty, uzacnia, podnosi, nadaje rozum i władzę, jakimi nie w świecie obdarzyć nie może. Otoczony opieką, czuwaniem i staraniem Jermoły, wszystko co go okalało od dzieciństwa widząc łagodnem i przyjaznem, przywykł do tych ucznów Radionek i upodobał w nich sobie, kochał wszystkich i czuł, że mu z tem było dobrze. Cała też wieś uważała go, rzec można, za swojego wychowanka; i wyjąwszy ekonoma Hudnego, zawsze jeszcze mieszkającego w Popielni, chociaż wybierającego się co roku na dzierżawę, który chłopca nie lubił, reszta go kochała i pieściła.

Wioskowa młodzież, chłopaki i dziewczęta szli na jego skinienie w każdej sprawie, a on choć trochę lepiej od nich wyglądał, choć więcej umiał, nigdy nie pomyślał nadużyć swej siły, albo się nią przechwalać. Usługiwał drugim, ale nie szkodził nikomu. Żaden też ojciec ze krwi nie wychucha tak swego dziecięcia, jak Jermola Radionka. W pierwszych latach hodował ciało; później, gdy się oczy i usta otwały, począł wypieszczać duszę i zbroić ją w siły na życie.

Instynkt przywiązania wskazał mu wybornie drogę, jaką miał postępować.

I stał się tu cud, który często niepostrzeżony przechodzi po świecie, nauczyciel wykształcił się razem z uczniem, wola wyrobiła serce, uczucie rozjaśniło rozum. Szukając dobra dla dziecka, Jermola znalazł je dla siebie, z zamaryłych nasion wyrosły owoce późne, ale piękne.

Chcąc nauczyć dziecię, musiał sam wprzód szukać nauki starzec, słęczał, zgadywał, badał, modlił się

trafiał na to sercem, na co rzadko rozumem wpaść można.

Maluczko tam było tej uanki, ale wielkiej. Dziecię umiało czytać, a innej książki nie znało nad ewangelią.... Ta je odrazu wykarmiła zdrowem słowem życia.

Oprócz tego starzec zawsze w obawie, by sieroty zawczasie nie odumarł, jak tylko rękami władać począł Radionek i siłę miał potemu, wprawiał go do rzemiosła, oswajał z potrzebniejszemi w powszedniem życiu tajemnicami, które oswobodzają człowieka, czyniąc go mniej zależnym od drugich. Wieśniacy nasi wszyscy są jeszcze na tym stopniu pół-dzikich ludów, które wyższość ich nad niecywilizowanemi stanowią, mogąc bez cudzej pomocy prawie wszystkie swe zaspokoić potrzeby. Chłopiek umie mnóstwo rzeczy; codziennie co innego robić będąc zmuszony, jest zarazem rolnikiem, cieślą, stolarzem, budowniczym, mularzem, farbiarzem, tkaczem, a w gwałtownej potrzebie wynajduje łatwo środki poradzenia sobie.

Inaczej się uwa z ludami w stanie wyższej cywilizacji żyjącymi, i spojenemi w solidarniejszą całość. Nie powiem żeby to stanowiło ich wyższość; przemienieni na osadników w krajach nowych angielscy wysłańcy, po większej części upadają pod ciężarem życia, któremu poddać nie mogą. Nietylko w wielkich miastach, ale po wsiach nawet każdą rzecz kupuje się gotową, a zatem jedno się tylko umie, i zamianą zdobywa resztę. To prawda, że to jedno fabrykuje się dobrze, tanio i zyskuje na zamianie; ale takie wyłączenie człowieka i uczynienie prostem kółkiem maszyny, które tylko na swem miejscu na coś się przydało, a wyrzucone z osi nie przyda się nigdzie, nie może być zdrowej cywilizacji

wynikłością. Nieopatrzny to i niespodziewany skutek zbytecznego podziału pracy, który ma wielkie korzyści, ale posunięty do ostateczności jest także wielkiem niebezpieczeństwem. Myśmy w tym względzie nie podpadli jeszcze przesadzie, na jaką już Zachód chorować poczyną.

Jak każdy chłopek wiejski tego wieku, Jermola umiał wiele rzeczy, które nabył w codziennych wypadkach pospolitego życia, a nie liczył ich nawet za umiejętność, przecież były to zapoznane skarby.

Z rzemiosła garncarz i garncarz wyborny, oprócz tego potrosze był rybakiem, nauczony się za zabawkę stawiania wiecierzy i nżycia ości; siekierą robił zręcznie, nie obca mu była ciesiolka, znał się z wozem, a w powszedniem gospodarstwie potrafił mnóstwu drobnych zajęć dać radę, które gdzieś indziej są rzemiosłem wyłączeniem.

Gdy dziecko to tak szczęśliwie podrashtało i stawało na nogi, Jermola przez ten lat diesiątek nie wiele na oko postarzał. Powierzchniennie zmienił się mało: trochę nagiął się tylko, skurczył, posuwał nogami czasem, ale wespół z przybrałym synem garncarzował, krztał się, i ciągła czynność utrzymywała w nim siły. W nauce życia, której niestety nie uczą nigdzie z katedry, wielkato także tajemnica czynność nieprzerywana; wielu starców zawczesnych sami się wyrzekli życia, któreby przedłużyć mogli nie dając ognisku wygasać. W pracowitej doli wieśniaka do ostatniej godziny, do choroby ostatniej, dni są zawsze zajęte, ciało nie twardnieje w gnuśnym spoczynku, ruch je podsyca, krzepi, zastala. U nas często dobrowolnie pieścizota i niemoc umysłowa zabija ciało, nieużyte organa nlegają rodzajowi atrofii, władze moralne nawet niszczejzą nie wprowa-

dzione w czynność; kładziemy się spać i już później nie wstajemy. Jermola żył w ruchu i pracy, i niestarzejąc widocznie, zawiądł tylko.

Wprawdzie robota około garnków dość lekka i krzątanie się domowe, całem były jego zajęciem, bo go w cięższych rzeczach wyręczał Radionek i Huluk; ale życie było nie próżno, a pod pozorem starości, ani godziny więcej nie dawał sobie spoczynku. Spokój umysłu i serca wpływał na utrzymanie go w tym stanie błęgiego bytu i zdrowia. Nigdy mu nawet na myśl nie przyszło, żeby kto kiedy o dziecie jego mógł się upomnieć i śmiać mu je odebrać. Jeszcze lat kilka, a spodziewał się je widzieć usadowione bezpiecznie, ożenione, niepotrzebujące pomocy, idące o własnych siłach. Garncarstwo szło im coraz a coraz pomysłniej, stary Prokop zmarł coś w lat kilka po przełaniu swojej umiejętności na Jermole, piec jego utrzymywany zrazu przez parobka, później coraz gorszych dostarczając wyrobów, upadł w ostatku całkowicie. Nie potrzebował tego Jermola dla odbytu swoich garnków, które i tak rozprzedawały się wybornie; ale nie zaszkodziło mu i to, że Małyeczki zasposabiały się teraz w Popielni. Zresztą garunki tutejsze tak były lekkie, mocne, tyle miały przymiotów, że się z niemi napraszać nie mieli potrzeby; a nawet rzadko wozić je musieli, i to nie dalej, jak na targ do miasteczka, gdzie żydzi i przyjezdni natychmiast je rozcwytawali. Sąsiedni zdumowie robili tylko czarne i kruche, ukazanie się białych na targu, zabiło całkiem odbył ostatnich.

Jermola robił wedle formi i zwyczajów tylko różnych miar garnki gospodarskie, misy i hladyse. nie myśląc o czem innem; ale gdy podrósł Radionek, chłopak prze-

biegły a żywy, zmudziło go wkrótce jedno toczyć a jedno. Najprzód owe czerwone pasy, pręgi i legotki zawsze jednostajne na wszystkich garnkach, począł coraz przemieniać i bawić się figlami, które na nich rysował; potem przyszła mu ochota dziwaczna wyrabiać niebywałych kształtów garnuszki, dzbanuszki, dwojaczki, aż do tego przyszedł, że i koniki ze świstałkami (zabytek indyjski pono, bo tam koniki takie gliniane są talizmanem strzegącym pól i ogrodów), i różne dla dzieci małe zabawki wyrabiać próbował. Wszystko źle się wypalało, nie ndawało zrazu, ale stary na te trzpiotowate próby pozwalał, boć chłopak musiał się czemś zabawić.

Kiedy to pierwszy raz na targ wywieziono i rozstawiono na rynku, zleciały się baby i spostrzegłszy różne rzeczy nowe, bardzo potrząsały głowami, garnki niezwykajnych rozmiarów przerażały je, przywykłe były już do swoich znajomych, krytykowały więc tę reformę niepotrzebną. Ale młodszym i dzieciakom te drobnostki tanie a pocieszne podobały się, bogatsze gospodynie zamiast obwarzanków powiozły dzieciom koniki i dwojaczki maciupeńkie, a koniec końcem rozkupiło się to bardzo dobrze. Jermola śmiał się i rad był, w głowę Radionka całował; chłopiec klaszcząc w ręce wieszał mu się na szyi.

Ale na tymże targu wpadły mu w oko gdzieś misy polewane, tygielki w środku zielone i różne wyroby ze szklistą powłoką, której dawać nie umieli; chłopiec począł się już tem niepokoić.

Wrócili do domu, Radionek posmutniał.

— A toż się cieszyć powinienes — rzekł mu Jermola — powiodło ci się nad moje spodziewanie; czego się znów chmurzysz moje dziecko?

Chłopak uściiskał go w milczeniu.

— Ot co, ojcze — rzekł — polewa ta spać mi nie da.

— Polewa! znówu co nowego; a nain to na co? Garunki nasze i tak się dobrze dzięki Bogu sprzedają! Na polewane roboty innej podobno gliny potrzeba, robota insza koło tego, zachód nowy, do czego sobie tem głowę suszyć?

— Ale bo to nie widziałeś ojcze, jaką cenę brał garuncarz za polewane misy.... A jakie to harne!... malowane w liście różne i taki czyściejsze i mocniejsze.... Ludzie mówią, że strawa się w to nie wjada i nie przechodzi, wymyć łatwiej. Czemubyśmy, batku, i my nie mieli się nauczyć polewy?

— Ot! co ci się zachciewa — westchnął Jermola ciężko, obawiając się zmiany, bo z dotychczasowej doli był kontent. — Nie wiesz dziecko, jak to rzecz trudna! Mnie już do nowego ciężko, tobie jeszcze zawczasu, gdy zechcesz, to się i później nauczysz.

Radionek nie już nie odpowiedział, ukrył w sobie gorące pragnienie, ale polewy nie zapomniał, tylko dla spokoju starego już o niej nie mówił.

Ale ojciec, który pragnął nad wszystko dziecku swojemu dogodzić, choć nie był pewien czy się uda, i dlatego nie ludził go nadzieją zawczasu, aby na zawodzie nie cierpiał, nie omieszkiał starania, i począł przemyślać o owej nieszczęsnej i kłopotliwej polewie. A że u niego nie się nie działo bez kozaczychy, więc poszedł wieczorem do niej na radę.

Tu także lat dziesiątek wielkie, choć powolne zrobił zmiany; wdowa podupadła na siłach, choć zawsze jeszcze trzymała się na czele swojego gospodarstwa;

Horpyna już gdzieś we wsi była ekonomową o mil parę i zacząwszy nosić szlafroczy i chustki na głowie, a nareszcie czepeczki i kapelusze, nie bardzo się do matki przyznawała, chcąc trochę za szlachciankę uchodzić. Rzadko już przyjeżdżała do Popielni i to zawsze tylko z jakąś potrzebą; ale stara Harasymicha błogosławiła chwile ciężkie, gotową będąc do datku, byle się przez dni kilka córką i wnuczetami pocieszyć. Gdy się przyszło rozstawać, a nigdy jej nawet dziecka zostawić nie chciano, kozaczycha uplakała się, siedziała potem dni kilka milcząca u pieca lzy lykając, ale i w tem dogadzając córce, wstydu jej sobą robić nie chciała i nie jeździła do niej. Ten stan ciągłego pragnienia i samotności, zrobił kozaczychę smutniejszą niż dawniej była. Jedyłą dla niej pociechą stał się Jermola, z którym o Horpynię mówić mogła, poskarżyć się i pobołec; on nawzajem naradzał się z nią o Radionku i bez niej nie wziął się do niczego ważniejszego. Teraz też, gdy się począł polewą zajmować, zaraz z nią do starej przyjaciółki pospieszył, zostawiwszy Hnuka i Radionka nprzątających coś koło warsztatu.

— No! a coście tam nowego przywieźli z jarmarku? — zapytała wdowa — nie było tam mojej Horpyny?

— A była! — rzekł Jermola. — O! ani jej poznać, taka teraz pani. przyjechali parą końmi w półszorach rzemiennych, wózkim malowanym: *kudy mene wcedesz!!* Stanęli w karczmie i kupowali coś po sklepach!

— A nie pytała się ona o mnie? — westchnęła stara.

— Owszem, owszem, jakże nie; kazala się kłaniać,

podchwycił dworak, wołała mnie umyślnie do siebie, pogladziła pod brodę mego Radionka.

— A miała z sobą które z dzieci?

— Nie, żadnego....

To rozpytywanie nie miałoby końca, gdyby smutny wyraz twarzy przyjaciela nie uderzył kozaczychy.

— A co ty, nie słaby? — zapytała — coś tobie jest?

— Oj! odgadliście matko — zawołał siadając na ławie staruszek — mam zuowu biedę....

— A no! to mi ją powiedzcie, poradziemy.

— Trudno! Mój chłopak, jakto gorączka a włode, najrzał na targu polewane naczynia, teraz mu ich z głowy nie wybić, zachciało się polewy!

— A co? nie mówiłam?

— Mówiliście?

— Jakże nie! PrzypomniJCieno sobie, jak zaczął koniki lepić, i te garnuszcзки nie do rzeczy, w które ledwie półkwaterek włazi, zarazem prorokowała, że mu się poczekawszy polewy zachce.

— Otóż się tak i stało — rzekł Jermola — ani teraz wyperswadować; ja go trochę poniekowałem. ale chciałoby się dziecku dogodzić, a nie wiem jak.

— No! to pójdiesz się polewie przypatrzeć.

— Moja matko, jabym to zrobił, ale czy potrafię? Garnek zlepić to inna rzecz, polewa trudniejsza daleko. bo to tam, slysze, do niej różne kramne rzeczy wchodzi. trzeba wiedzieć jak to smażyć... Oczy mi nie służą. pamięć nie potemu — westchnął stary... A! takby się chciało dziecku dogodzić!

— Cóż zrobicie? — spytała kozaczycha.

— Sam nie wiem jeszcze, kupić nie kupić, potargować można — rzekł Jermola — jużciżby choć spró-

bować potrzeba.

— Byłam tego pewna — odpowiedziała stara z uśmiechem — jakbyście to wy potrafili oprzeć się w czem swojemu dziecku? Znam ja to, znam; to tak właśnie jak ja z moją Horpyną, człowiek stęknie, ale musi robić co oni zechcą... Pójdiesz gdzieś nieboraku za polewą.

— Już ciż pójde — westchnął Jermola — alebym chciał, żeby dziecko o tem nie wiedziało. A nuż się tam nie nda? będzie go już korciao, za to jak się zrobi, o to będzie radość!

— Zupełnie tak jak ze mną — zawołała kozacycha — słowo w słowo. O mój Boże! ja to znam, ale dokądże pójdziecie?

— A cóż? weźnę trochę grosza i pociągnę do tych garncarzy, co na targ polewę wywożą. za pieniądze mnie nauczą. Bylebym ja cokolwiek rzecz pokosztował, byleby się zresztą zgodzili. Jak ja nie potrafię, zaprowadzę malca, on to odrazu pojmie! Boję się tylko, żeby mnie nie przegnali... A jak się tu do tego brać? przyjsć z tem do nich żeby im chleb odbierać?

— Już to prawda, że nie z każdym tak pójdzie jak z Prokopem: ale *nad syrotoju, Boh z kalitoju* — dodała — jakoś to będzie.

— Takto i ja myślę — rzekł wstając Jermola. — Ja jutro niby za inną sprawą pociągnę do miasteczka; moja knmo. miejcie oko na Radionka, żeby z Hulukiem razem nie znalazowali czego, bo gotowi popłynąć dziurawem czólnem, albo co!

— E! to chłopcy stateczne.

— Niczego, chwala Bogu, ale pałki szalone; jak im co do głowy zaświta, gotowi polecieć w las, pójsć nad rzekę.... uchowaj Boże jakiego nieszczęścia.

— Trudnoż mnie ich dopilnować.

— Ale najrzyjcie i przestrzeżcie, a choćbyście i polajali — byle nie bardzo ostro — nie bardzo.

Kozaczycha się rozśmiała, i tak się starzy rozstali, a Jermola powróciwszy do domu, zaraz chłopcu zapowiedział, że mu żydzi w miasteczku za garanki zawinili i kazali po jarmarku przyjść po pieniądze; że musi pójść długi odbierać, więc może kilka dni zabawi, przestrzegając, żeby pod jego niebytność domu pilnowali i wzięli się do roboty, a rzece i lasom dali pokój.

— A to wy pieszkim iść myślicie? — zapytał Radionek...

— A cóż? wszakci konno nie pojedę? — żartując odparł stary.

— Alebyście sobie wóz nająć mogli?

— E! pożal się Boże! Koni u nas we wsi nie ma prócz Chwedkowej kobyły, której się nie doprosić; a wolami jechać, to lepiej już iść piechotą. Przytem nogi zakłękają ustawicznie siedząc, trochę się człek rozprostuje.

Stary nie liczył lat swoich, a siedzeniu tylko przypisywał osłabienie nóg, które było skutkiem wieku. Żał mu było grosza wydać, bo od czasu jak się im cokolwiek lepiej wiodło, składał dla Radionka co mógł, żeby na czarną godzinę nie zostawić go bez zapasów. Wolalby był z Chwedkiem pojechać, ale na to trzeba było wydatku, a dla siebie Jermolę był oszczędny.

Nie mógł go chłopak namówić, żeby fure najął; ale z wieczora cichaczem posłał Huluka na zwiady, czy kto nie jedzie do miasteczka, i za swój grosz tak najął wóz, żeby Chwedko nie powiadał, że jedzie najęty, ale darmo podwozi Jermolę, mając inną sprawę do mia-

steczka. Trafili szczęśliwie do Chwedka, że nie był zamówiony. stary wzięwszy dwa złote, podjął się ndawać i klamać. Z wieczora już wszystko Radionek ułożył, a po powrocie Huluka ze wsi, przyszedł starego w rękę całując:

— Mój bat'ku — rzekł — tylko cośmy się spotkali z Chwedkiem, on jutro jedzie swoją kobyliną do miasteczka, nudno mu samemu, więc prosi się, żebyście z nim jechali, grosza nie dacie.

— Chwedko? gdzie? jak? — niedowierzająco spytał Jermola, ściskając Radionka — ej, czy tylko nie balamucisz, moje dziecko?

— Ale nie, poświadcież Huluk? — zawołał Radionek, który nad parobczakiem taką miał władzę, jaką zawsze daje wyższość umysłowa, połączona z sercem pocziwem.

— A jakże nie! — podchwycił chłopak gorąco. — Sam słyszałem jak prosił, żebyście się bez niego nie wyrwali, bo on tu jutro dodnia przed chatę zajedzie.

Jermola pokiwał głową, myśląc już tylko, jak się dalej dostanie; ale rad był, że Chwedka mu złapali, i nóg nie namęczy; ucałował Radionka raz jeszcze i położył się spać, przemyśliwając o polewie.

Radionek milczący dumiał o tem samem, a choć się nie odzywał, żeby starego nie męczyć, wciąż mu chodziło po głowie, jakieby to on dzbanki i misy robił, jakby je ślicznie malował zielono, czerwono, czarno, biało i żółto, gdyby tylko umiał. Usiłował odgadnąć jaka w tem tajemnica być mogła; ale biednemu dziecku bez żadnej skazówki niepodobieństwem było wpaść na tor jakiś, wzdychał tylko i biedził się ten wiejski Bernard Palissy.

Nazajutrz raniutchno, na dzień się zbierało gorący, i od świtu straszliwie wypogodzone było niebo, co zawsze zapowiada niepogodę; nad lasami nawet białe maluczkie obłoczki polatując, zwiastowały zebrać się na wieczór mającą burzę, słońce piekło, wiatru ani powiewu. Chwedko słownie przystawil się ze swoim wozem i szkapą, i co lepiej, umiał Radionkowi dochować tajemnicy. Wszedł do chaty oznajmić się i fajkę zapalić, powołując Jeremolę, jakby z łaski zajechał, i narzekając na tę podróż.

— No kumie, a prędko? Wybierajcie się, we dwóch nam będzie weselej. Licho mi nadało interesa do miasteczka, a tu skwar, a tu ogniem pali... Co to będzie o południu! trzeba pospieszać! Siadajcie, siadajcie nie marudźcie.

Jeremola pokryjomu tylko wziął z groszem wezełek zanadrę, zapalił lulkę i już był gotów.

— Jedziemy kumie.

Starzy przyjaciele umieścili się oba w półkoszku na wiązce siana, i deresowata odwieczna Chwedkowa kobyła zaprzężona w chomąto i dułą prostą, obejrzawszy się na swojego pana, wolno ruszyła drogą przez wioskę.

W tem życiu naszego ludu, stworzenia, które są mu pomocą, składają razem niejako towarzystwo jego; owieczka, koza, krówka, byczek, koń, nawet gęś i kura sąto wszystko przyjaciele serdeczni, druhowie; ileto po każdym z nich płaczu, choć z niemi ile kłopotu! Po przyjacielsku guiewają się na siebie, biją, klóćą, przeklinają, ale niechże bydłatko zachoruje lub broń Boże zdechnie, ile łez, jakie tam żało! Chwedkowa deresowata, o której tu uareszcie wspomnieć muszę, bo na to ze wszech miar zasługuje, należała do tych istot wybrałych, z któremi życie jest ciężkie, ale bez których

obejść się nie można. Wielkich przymiotów i wad ogromnych, stanowiła bogactwo swego pana, jego utrapienie i pociechę, a w życiu jego niezmiernie ważną odegrywała rolę. Naprzód w tej wsi poleskiej, jak inne tego rodzaju prawie całkiem obrabiającej rolę wołami, była niemal jedynaczką: znano ją, szanowano powszechnie i na niej opierały się wszystkie przyspieszone posylki, do których najmowano Chwedka nienastannie. Zarabiał nią stary w rok najmniej jakie trzysta złotych, to jest trzykroć więcej niż dereszowata warta była, jeżdżąc do miasteczka z posyłkami, zajmując się z żydkami i t. p. Woły woziły belki z lasu i odrabiały z chaty pańszczyznę, a sam Chwedko utrzymywał się całkiem z tej klaczy. Wyżywienie jej niewiele go kosztowało, w lecie bowiem nie znała nic prócz zielonej paszy podnóżnej, a zimą, zgoniny, sieczka, plewy, garść siana, rzadki garniec owsa wystarczały wstrzemięźliwej z musu chudzinie. Niezbyt rosła, stara jak świat, bezdziejna zawsze, zdrowa i niezmiernie wytrwała, do pociągu silna, dereszowata miała moc charakteru i grzbietu nadzwyczajną. Małym klusikiem, w miarę obładowana, ciągnęła byle jej nie pokazywać batoga: uderzona, stawiała, i naówczas żadna siła ludzka ruszyć jej z miejsca nie mogła. Chwedko też dla proporeji jako insignia nosił batóg, bo znów żaden wieśniak bez niego z domu nie wyjeżdżał: ale go nigdy kobyle nie pokazywał, a jeśli podpiwszy ówknął nieostrożnie, pewnie za to pół godziny w miejscu pokutować musiał. Instynkt dereszowatej długiem nabyty doświadczeniem był nieomylny, wiedziała dokąd pan jechał, wiozła go, kierowała, omijała kałuże, wybierała drogę, zatrzymywała się gdzie było potrzeba z trafnością podziwienia godną, choć leżce jak batóg,

były tylko dla oka, i całkiem się stawiały bezużyteczne. Chwedko rozmawiał z nią jak z człowiekiem, przybierając tylko pewien głos donośniejszy, który klacz zaraz brała do siebie; swarzył się z nią, chwalił, pochlebiał, zachęcał, obiecywał, a o niej tak rozprawiać lubił, dzieje jej i czyny opowiadać, że w przysłowie poszła po wsi Chwedkowa kobyła. Gdy kto co nazbyt często powtarzał, śmiano się z niego, mówiąc, *O! o! Chwedkowa kobyła!*

Wywdzięczając się mu, dereszowata nikogo też znać nie chciała prócz niego, i obcy człowiek nie miał do niej przystępu, tak była złośliwa i uparta, jeden Chwedko mógł sobie z nią dać rady. We wsi znali ją tak wszyscy, jak kozę Jermoty dawniej, póki nie zdechła; jak gniadosza Hudnego i sroką krowę Szmulowej. Typ naszego konia wiejskiego, niepozorna, mała, grubopłaska, koścista, z nogami grubawemi, ale dobrze zbudowanemi, na zębach z przywileju *wrześniaków* zawsze siódmy rok pokazująca, dereszowata, z początku każdej podróży nalegała na jedną nogę, ale ta *ułoga* ją mijała, gdy się nieco rozeszła i rozgrzała. Leb miała dosyć duży, jedno oko nieco przybolale, sierć miejscami powydrapywaną, bo się tarła w stajence o chrześcianą ścianę, grzywę i ogon potrosze straciła, trzechlby groszy za nią nie dał spojrzawszy, ale niejedyn dobrze pasiony szkap, z pozoru piękny, nie sprostaby jej w wytrwałości. Cały dzień mogła nie nie jeść i żyć tylko napojem, bo żydzi i chłopci po sześć razy konie poją, pewni, że to poczęści zastąpi owies, którego szcędzą. Głód był dla niej pospolitą rzeczą, na noc zaspakajała się trochę siana i garścią zgonin, nie przebierała w jadle, nie potrzebowała podściółu, trawę gryzła gdzie

już tak było czarno, że zdaje się, iżby i gęś nie pożywiła się, skrzywdzić się jednak nie dała.

Zwąchawszy worek z owsem pewnie go odwiązała i wyjadła, odgryźć się z oboroti potrafiła czując w tem korzyść lub wygodkę: cudzemu koniowi odebrała zawsze obrok choćby się o niego pokasać przyszło, a obrońić się czy psu, czy ludziom umiała nietylko kopytami ale i zębami. Obcy musiał bardzo do niej przystępować ostrożnie, gdyż na wszelki wypadek nieznając intencji a posądzając o niedobre zawsze nieznajomego częstowała wierzgnięciem. Nieoszacowane to stworzenie, wedle najumiarkowańszej rachuby, służyło Chwedkowi lat już ze dwadzieścia, a pewnie nie później piątego roku było do zaprzęgu wzięte; dotąd jednak, prócz trochy początkowej astmy, nie miała innego defektu.

Usiadłszy na wozie, pozapalawszy fajki, Chwedko i Jermoła niezważając już wcale na dereszowatą, która wzięła na siebie pokierowanie podróżą, poczęli gawędzić swobodnie.

— A pamiętacie, kumie, jakto ja wam kozę kupowałem? — rzekł stary śmiejąc się — he! Szmul jeszcze mi to do dziśdnia pamięta.

— Bóg ci zapłać, Chwedku, ślicznie się nam udało; choć koza zdechła, ale mi dziecko wyżywiła.

— Niech Bóg szczęści, śliczny chłopak.

— Aż pociecha patrzeć, gdyby jagoda! A! a! co to za chłopiec — dodał Jermoła — rok by o nim potrzeba gadać, żeby wypowiedzieć, jakie to pocziwe, roznymne, i śliczne, i roztropne....

— Jak moja kobyła — dorzucił Chwedko — nie porównywając, co to za skarb dereszowata! A nu! wiu! staruszek! wiu, gołąbko! wiu, het!.... A wy się na sta-

rość wyprowadzili na garniarza?....

— Ha! potrzeba było dać chleb dziecku.

— Zapewne.... Ale czyto myślicie, że się o niego rodzice nie upomną do końca?

— A któżby się miał upomnieć? — zawołał niespokojnie Jermola — a naczóży go rzucił, żeby się potem dopominać?

— Ta! to się różnie trafia — odparł Chwedko — bywa i tak, że rodzice się wyrzekną nazawsze; ale bywa, że potem przyjdą i powiedzą, oddaj nam nasze.

Jermola aż się wzdrygnął.

— A jakie ono ich? — krzyknął — a coto? przecież go rzucili nieboraka precz! A kto go hodował, harował, pracował i chuchał? Więcej on dziś mój niż ich....

— Myślicie? ja to tam nie wiem — rzekł Chwedko — ale tak sobie kmetują różnie.... A powiedzieliście małcowi jak do was przyszedł?

— Nie robiłem z tego tajemnicy — odparł Jermola — zresztą i ludzie i cała wieś wie o tem, byłiby bezemnie dziecku wyśpiewali, na co było taić? Zarazem mu całą rzecz jak była wypowiedział, skoro do rozumu przyszedł, ale chłopak mówi, że gdyby się teraz i opatrzyli rodzice, on już mnie nie porzuci.

— Dobre dziecko.

— Złoty chłopiec, sokół, mój Radionek.

— Et! powiedzcie mi, po co wy do miasteczka jedziecie? — zagadnął po chwili Chwedko.

— A prawdę wam powiedzieć? — rzekł Jermola.

— Jużciż, a cobyście mieli zmyślać?

— No, to ja nie do miasteczka jadę, a dalej....

— Ot to! a chłopiec wasz mówił, że jedziecie długi u żydów odbierać?

— Takemto ja przed nim pobałamucil.... ale to co innego.

I tu Jermola z westchnieniem opowiedział staremu historję polewy, a Chwedko splunął ruszając ramionami.

— At! zachciało się dziecku kafli z pieca! Kiedy wam dobrze, trzymalibyście się tego co jest, a nie szukali lepiej, czasem, kumie, zbyt uczna mądrość to także głupstwo. Robicie proste garnki, na to macie kupców codziennie, lada żebrak bez was sobiejadła nie uwarzy, najuboższy potrzebuje garnka. Z polewą to już inna rzecz, we wsi niewiele jej kto weźmie, musicie do miasteczka. Żydzi od was będą szachrować, na targu sprzedaż licha, to całkiem co innego.

— Ale się chłopcu zachciało....

— Zobaczycie, że to niepotem....

— A no, a cóż robić?

— Jeszczeż muiejsza o to, dla próby nie zginięcie; ale czy myślicie, że ci garncarze od polewy tak się rublem skuszają, że wam swój sekret wydadzą?

— A ja i dobrze zapłacę.

— Zawsze oni niegłupi za szeląg sprzedać złotówkę, wiedząc, że im chleb z gęby odbierzecie, boć dla zabawki tego nie będziecie robić.

Jermola posmutniał i opuścił głowę.

— Wiemci to ja — rzekł — ale kiedy pan Bóg raz pomógł, nie opuści i dokońca. Źle było z Prokopem, gliny tej anim wiedział gdzie szukać; a ot, znalazło się i pokleiło, i poszło, to i tu *jakoś będzie*.

Jakoś to będzie jest ostatecznym ludu argumentem, gdzie innych braknie, wszystko się na tem kończy, w tem *jakoś* jest wiara w Opatrzność i pośrednictwo Boże.

Wtem dereszowata. która była przywykła trochę siana przegryzać zawsze przed karczemką, na trzeciej części drogi do miasteczka, położoną w lesie u granicy dwóch posiadłości stanęła sama. Chwędko regularnie wypijał tu kieliszek wódki i fajkę sobie zapalał.

Zawstydziło go to jednak nieco, że bez jego pozwolenia zatrzymała się dereszowata; nie śmiał tak bez racji pójść na porcję. ale zsiadł z wozu i siana kobyle podrzucił.

— Ale parzy! — rzekł wytrząsając lulkę powoli.

— Jak ukropem....

— Możebyście poszli pod dach, a ja się wódki napiję. bo czegoś po żołądku kręci.

— A skwar?

— E! nie! wódka ochłodzi.

— No, to pij zdrów, ja zapłacę — rzekł Jermola złażąc z wozu.

Karczemka, o której mowa, była jedną z tych jamiek żydowskich, w których oni czatują na biedną chłopka duszę. Nie kryła się nawet z tem, że wódką żyła. zajazdu przy niej nie było, miała, odrapana z tynków. krzywa, w ziemię wsiadła, placykiem tylko obszer-nym, który przed nią był wydeptany, świadczyła jak była nieczyszczaną.

Miej-ce to u krzyżujących się trzech dróg, wśród zarośli debowych i krzaków olszyny szeroko wyjeżdżone wozami. dla oka badaczy mieściło w sobie całą historję Dubówki (tak się nazywała owa gospoda w gąszczach postawiona). Słomy, siana, łupin, ziarenek, resztek biesiady, skorup od jaj i czorępów pełno było dokoła, nie licząc śladów pobytu licznych furmanek, które się zatrzymywały przed łekiem często dłużej, niżeli chciały.

Temi resztkami siana, słomy, plewy i czasem ziarna, tuczyła się krowa i kilka kóz żydowskich, wyńczonych doskonale złodziejstwa, bo ledwie się pokazał wóz, już pewnie jedno z tych stworzeń z tyłu cichaczem przykradło się do niego wyciągać pożywienie; a próżno je odpędzano batogiem, bo na stuknięcie drzwi odbiegały, ale w chwilę powracały z uporem głodu i łakomstwa. Starzy gospodarze, dobrze znający miejscowość, nigdy wozu nie zostawiali przed karczemką, żeby na nim żony lub dziecka z biczem nie posadzili, dla odpędzenia napastników. A takie to było przebiegłe, że byleby się dzieciak zapatrzył lub baba zdrzemnęła, pewnie koza z tyłu się spiąwszy szkodę zrobiła.

Icek, miejscowy gospodarz, był żydek najlichszego rodzaju, rudy, kulawy, głupi, ale po głupiemu chytry, a zły najobrzydliwszym sposobem. Oszukiwał bezwstydnie, niekiedy aż do bójek przychodząc z chłopami, a zawsze guzy potem swoje umiając zamienić na gotowy grosz, pobity czy bijący kierował tak, że mu się fatyga musiała opłacić.

Jak on tam żył w tej ciągłej wrzawie dnia i nocy, w boju i pracy nieustannej, nigdy prawie drzwi nie mogąc zamknąć i spać się nie kładąc chyba uadudniem na ławie, to należy do niezbadanych tajemnic, których rozwikłanie zbyt szczegółowego psycho- i fizjologicznego wymagałoby rozbioru.

Icek znał cały świat i wiedział naturę nie tylko pojedynczych ludzi, a częstych swych gości, ale nawet gromad sąsiednich. Z góry gdy zajeżdżały furmanki, umiał się na ich przyjęcie przygotować nśmiechem, kulakiem, pokorą lub miną nadętą. Popielańscy — mówił — to wszystko wielkie panowie, bez cebuli lub

czosnku nie zakąsają, każdy prawie kugła kupi. Z Małycech to majstry i pijaki, z Wierzbna to cyganie, a z Jurków złodzieje....

Głowę tylko Chwedkowej kobyły zobaczywszy przez okno, poznał zaraz żyd kto jedzie; a że pusto było w karczemce, wyszedł na próg:

— Aj! gwałt — rzekł wyciągając się — Chwedko znowu do miasteczka; co ty tak bardzo je polubił! A! i stary garncarz; a to dziś nie targ, pewnie jaka *okazja*.

— Aha! okazja!

— A tymczasem dajno dobrej wódki.

— Co to jest dobrej? — ofuknął się Icek — alboto kiedy u mnie zła była? A waj! albo u waszego Morejne Szmulu jest kiedy taka, jak moja, on połowę wody leje.

— Jużto prawda, że u Ieka sprawiedliwa szumówka — rzekł Chwedko spluwając.

— Teraz taka, że na *okoliczność* nie ma podobnej! Proszęno pokosztować; tylko panowie taką piją! Starka, dwuletnia, kupiona w Bębnowie. Drogo kosztuje, ale ja lubię *recht*.... u mnie tak.

Tak rozprawiając weszli do izby, do której wpadało się z progu jak do lochu, bo budynek był osiadł znacznie, sufit wisiał nad głowami, a tok zastępujący podłogę wrył się tak głęboko, że okna leżały na przyzbie. To położenie starego karczmiska, wzgórek przed nią na którym fury stawały, brak ganku i spływ wody ku niej, sprawiała, że u wnijsia wewnątrz stała wieknista kaluża, przez którą przechodziło się po ceglach. Kaczki i gęsi żydowskie swobodnie się w niej pluśkały a znajomi goście zgiąwszy się dla niskich drzwi, z uwagą przebierali się przez to morze czarne, aby się po kostki nie zamoczyć. Żyd nigdy nie pomyślał o zaradzeniu

tej niedogodności. W czasie wielkiej posnehy trafiło się wszakże, że kałuża gęśniała i przerabiała się na zsiadłe błoto; ale świeżo po deszczu, zajmowała połowę izby. Icek nie znajdował, żeby to do życia przeszkadzało.

W izbie oprócz Ickowej samej, strasznej baby, rozmamanej i brudnej, sześciorga dzieci różnego kalibru, sługi, kilku kóz, kur i gęsi, nie było przybylców; jakiś tylko kapotowy na ławie siadłszy, głowę na stole położył i drzemał. Wchodząc Chwedko opsnał się z cęgły wśród kałuży, pośliznął, plusnął w wodę i krzyknął przekleństwem; a ów obcy się przebudził.

Zakrawał on nieco na mieszczanina, miarkując po kapocie wyszywanej z klapami, zielonym pasie, wysokiej czapce i kijn kutym, który przy nim wraz z węzelkiem leżał. Młody, najwięcej trzydziesto-letni mężczyzna, twarzy rumianej, wzrostu wysokiego, znać nie zaznał biedy, bo mu z oczu patrzyła hulanka; nawet i teraz Iekową wódką z Bębnowa podpił widać sobie, bo ledwie głowę podniósłszy, zaśpiewał.

„Oj będziesz ty moja“...

A gdy Chwedko topić się począł w kałużę, dodał:
— Gwałt! ratujcie! Popieleńcy się topią!

Rozśmiał się Icek i drudzy, a rezolutny chłopak podparłszy się w boki, wpatrywać się począł w przybyłych.

— A zkądżeto nas znacie, żeśmy Popieleńcy? — zapytał Jermoła.

— O! wa! wielka sztuka, wszyscy Popieleńcy poznaczeni!

— Czemże? krzyżami na plecach?

— A to nie wiecie — odparł parobek — że wam

krawcy wasi inaczej kaptury szyją, jak gdzieindziej na świecie?

W istocie tak było, że z dawien dawna we wsi tej inny był krój sukmany na plecach, o czym zapomnieli Jermola i Chwedko, ale i oni jak inni pilnowali w tem święcie zwyczajn, i żadenby innej siermięgi nie knpił i nie nosił, krom tak nszytej, jak dziadowie używali.

— A wyto zkąd? — spytał Chwedko parobka.

— Z za siódmego morza, z za siódmej rzeki, z siódmej ziemi! — odparł wesoly hulaka.

— No! no! to i tam widać Popieleńców znają... Bez żartu, panie bracie, zkąd Pan Bóg prowadzi?

— Z Mrozowicy.

Byłato wielka osada szlachty czynszowej, w której właśnie owi mieszkali garncarze, do których wybrał się Jermola, tego aż tknęło coś, gdy nazwisko miejsca usłyszał.

— Z Mrozowicy? a dokąd? jeśli spytać wolno?

— W świat, gdzie oczy poniosą.

— O! to daleko!

— A cóż? już mi się nudziło nogi podkuliwszy na miejscu siedzieć; idę dalej biedy szukać....

— Na co jej szukać? — rzekł Chwedko — ona i sama przychodzi.

— Albo to się jej złękne! poborykamy się! — rzekł parobek.

— Czy nie krawiec? — spytał Jermola — kiedyście się tak na naszych świtach poznali?

— A czemn nie? może i krawiec, wesolo odparł rozpierając się Mrozowiczanin — zapytajcie czem ja nie byłem, byłem gospodarzem, byłem kowalem, byłem cieślą, byłem krawcem, byłem tkaczem, muzyknem i

szewcem... Tfu! Wszystko to kiepstwo! Ot! będę sobie panem!

— Tak myślicie? to najlepiej podobno — rzekł śmiejąc się Chwedko. — A! bodaj cię kołtunie! bodaj cię! Klaniał się jaśnie panu! — i czapką do ziemi się pokłonił.

— Coś mi się widzi — przerwał Jermola — że wy, coście już wszystkim byli, to niedługo i panem pobędziecie, i to się wam naprzykrzy.

— A no! to się zostanie dziadem, i to dobry stan, mnie wszystko jedno — rzekł chłopak i począł śpiewać:

„Kij u meni bratom,
Torba meni zinka...”

— To jakiś wesóły chłopiec — mruknął Jermola — ale dobrze mi się trafia w sam czas; nim dereszowata zje siano, a Chwedko wódkę przekąsi cebulą z chlebem, dowiem się od niego cokolwiek o Mrozowicy. — E! bracie — rzekł zbliżając się do parobka — nie napijesz się wódki?

— Aby za cudze pieniądze, czemu nie! Cygan dla przyjaźni dał się powiesić!

— Dajciego Ieku, tylko tej, co z Bębnowa....

— Dawaj Ieku, niewiary, słyszysz! — wtorował Mrozowiczauin.

— Bo to ja do Mrozowicy jadę nmyślnie — rzekł zbliżając się i na ławie siadając Jermola.

— A! a! weźcież ze dwa kije, i pozaszywajcie kieszenie, bo tam rozbójnicy i złodzieje....

— A! co gadacie?

— Zapytajcie tych, co tam byli, żywej duszy poczciwej.

— A garncarze?

- A, to najgorsze paskudztwo.
- Patrzcie, a tam się dobrze wybrał.
- A po co?
- Długo by gadać, a mało słuchać.
- I nie ma po co jechać — rzekł chłopak — chcecie co kupić popekanego, to ruszajcie.
- Ale gdzie tam, mnie nie o to chodzi..
- Powiedźcież o co?
- Ale bo to... — skrobiąc się po głowie wybąknął Jermola.

Chwedko, który się wódką dobrze pokrzepił, przerwał mowę i postanowił służyć za tłumacza. Trzeźwy z podpitym ciężko się rozumieją, ale podchmielony z pijanym doskonale i łatwo.

- Bo to widzicie — szepnął na ucho parobkowi — Jermola oto... niby garncarz... widzicie! O! ale nie od polewy! O! a jemu się zachciało nauczyć polewy! o!
- Tfu! a po cóż jemu z tem do Mrozowicy...
- A gdzież jej będzie szukał?
- Ja go nauczę... Co da?

Jermola i Chwedko posłupieli i popatrzyli na siebie.

- Balamucicie! albo to wy i garncarzem byli?
- Otóżto że i syn garncarza jestem, i polewę umiem, bo kolo tego robiłem lat sześć; ale to głupie rzemiosło, mnie się go nie chciało — odparł Mrozowiczanie — smaruj się w glinie, paskudź się w tych zacierkach, piecz się w ogniu! Plułem i porzuciłem, ale choć i teraz dlatego pomagalem panu Marcinowi, i znam się dobrze na polewie, choćby jakiej, choćby jakiego kolorn... A u mnie taka wychodzi czysta, jak szkło.

- Pewnie?

— A no, to próbę wam dam.

Jermola aż się rozśmiał.

— Co chcesz?

— Co dasz?

Icko słysząc targ a nie zrozumiałwszy o co chodzi, wpadł nagle między nich, myśląc, że się co sprzedaje, wścibił nosa i stanął osłupiawszy, bojąc się, żeby mu okazja jaka zyskn nie uciekła.

— Co to wy targujecie? — szepnął.

— Kota w worku — odparł chłopak...

— Nu! co to kota gadać! co to kota gadać! — obruszył się gospodarz — co to jest? ja kupię!

— O polewę się targują — dodał Chwedko.

Żyd nie zrozumiał jeszcze, ruszył ramionami i odszedł na kilka kroków, pilnując dalej z pod pieca i targu, i mohoryczu, bardzo niespokojny, że może go zarobek minie.

Targ w targ, stanęło na pięcin rublach gotówką. Przybito ręce, zapito wódką bębnowską, i Jermola już poczał się nazad wybierać do wsi z Mrozowiczaninem.

— No! to i ja już do miasteczka dziś nie pojedę! — wybąknął namyślając się Chwedko — i tak pewnieby mnie deszcz schlustał.

Siedli tedy na wóz z Siepakiem (tak się nazywał) we trojgu i zawrócili nazad do Popielni z wielkim gniewem Icka, który całego interesu zrozumieć nie mógł, a czuł pod nim jakieś niedostępne dla siebie pieniądze.

Tak tedy i polewa przyjechała do Popielni, a Jermola znown za nią Bogu jak za cud dziękował. Dziejąc się cuda — ale rzadko.

Było już około południa, bo się i w karczmie i po drodze nie spiesząc zamarndziło, gdy nasi podróżni namówiwszy dereszowatę do zawrotu, czemu dosyć była rada, nazad do wsi ściągnęli i stanęli z Siepakiem przed drzwiami starej karczmy. W progu zastali Radionka nad kołem toczącego olbrzymią Hładysze, i Huluka, który mu pomagał, wesoło z nim rozmawiającego.

Zobaczywszy ojca, dzieciak zdziwiony i przestraszony zarazem, porwał mu się pomagać.

— A co to ojcze? czy się wam co w drodze nie zrobiło, że tak prędko powracacie?

— Nie, moje dziecko, nie, owszem zdybaliśmy tego oto poczciwego chłopaka, który był przy garncarzach w Mrozowicy, i ofiaruje się nas polewy nauczyć.

Radionek z krzykiem podskoczył.

— Czyż to być może?

— Ot tak! jak mnie żywego widzicie! — zawołał Siepak — i rad jestem, że moim kochanym Mrozowiczanom figła wypłatom, bo mi łotry kością w gardle siedli...

Ja tobi ne brat... ty meni ne swat,
Ne wertajsia wże nazad...

Począł śpiewać wzięwszy się w boki, i wyskoczywszy z wozu nuż się przyglądać z miną znawcy przyrządom garncarskim; ale znać w nim było wieskiego próżniaka, który na wszystko rad z góry patrzeć i śmiać się z każdej rzeczy. Przybór prostego zduna wydał mu się taką lichotą, tak ramionami ruszał, a brał się za boki oglądając go, że Jermola i Radionek niezmiernie posmutnieli. Siepak gorzko się odzywał o ich wyrobach, nie miał ich za śmieci; podrzuceł, tłukł

i rozparłszy się zaraz na ławie, począł z góry wychwalać co sam robił i mógł dokazać.

Nie podobało się to Jermole, który znał się na ludziach, ale ścierpiał próżniackie wychwałki Siepaka, w nadziei, że coś od niego skorzysta, choć z mowy co raz mniej miał w nim ufności.

Tymczasem Mrozowiczanie kazał sobie wódki postawić, słoninkę przypiekać, położył się spać, a na wieczór poszedł do karczmy.

Nazajutrz trzeba było do miasteczka po glejtę, po inne farby i ingredjencje do polewy potrzebne, gdy Radionek pod kierunkiem wciąż wyśpiewującego Siepaka robił według jego wskazówki potrzebne pod polewę naczynia. Gdy przyszło w ostatku do roboty, Siepak nad wszelkie spodziewanie okazał się zręczny, i tem niemniej zadziwił jak samochwalstwem swoim; ale ledwie pół godziny wytrwał w chacie, do karczmy uciekł, gdzie muzykę najął, pół wsi sprowadził i wódki wiadro postawiwszy, hulankę na dobre rozpoczął.

Wieczorem późnym pijaninteńskiego Siepaka dwóch niemniej od niego napiłych parobków przyprowadzili śpiewając i położyli podedrzwiami Jermoły. Huluk i Radionek z politowaniem poglądali na niego.

Nierychło jakoś przyszło nareszcie do próby stanowczej, ale nim się na to zebrało, pojętny wychowawiec Jermoły, z kilku wskazówek, ze słów, z roboty czeladnika tyle skorzystał a raczej domyślił się, że przygotowane czynności już mu nie były obce. Tak samo poszło i z resztą; dość dla niego było kilku wiadomostek, opowiedzenia sposobu, wprowadzenia na drogę, a młode pojęcie dopełniało, czego brakło w nauczycielu. Rad był go się pozbyć Jermola z domu, bo się lękał

wplywu szkodliwego na Radionka, który z ciekawością dziecięcą poglądał na szaleńca; ale on dlań był przez los wyznaczoną istotą, dla obrzydzenia rodzaju życia, którego całą cześć widać było przez samo nienastanie powtarzanie i nagromadzanie przyjemności. Siepak za-
prawdę ciekawy typ stanowił, typ jaki w całej naiwności często powtarza się u ludu, zdatny, pojętny, zręczny, roztropny, przerzucał pracę i zabawą, zrażając się pierwszą, a nie mogąc drugą nasycić.

Czasem znówu dnie całe złamany hulanką wrzającą, spędzał leżąc do góry brzuchem na sianie, śpiwając na całe gardło i wzdychając pierściami całemi, jakby za chwilę miał skonać. Przez godzinę jakąś gotów był pracować zajądło, i ręka, która mu z początku drżała, niesłuchając go, w krótkim czasie nabywała wprawy zdumiewającej; ale zaledwie ją uzyskał, lekceważąc zmęczoność się, rzucał wszystko, czepiał się pierwszego przechodzącego, poczynął żartobliwą rozmowę i szedł najczęściej do karczmy, gdzie połowa życia jego za stołem schodziła.

Ledwie Radionek począł pod jego kierunkiem polewaną robotę, która się dosyć ndawała, po kilku próbkach, Siepak którego już zmunduł pobyt w Popielni, Jermola, karczma i spokojność jaka tu panowała, nieznajdując sobie towarzyszków do zabawy, upomniawszy się o resztę należnej zapłaty, z nią razem przeniósł się do Szumła, gdzie trzy dni trwała pijatyka i muzyka szalona, a na czwartym wzięwszy tłumoczek z kiejem na plecy, nie pożegnawszy się z nikim i nie dawszy dobrego słowa, powłókł się dalej z wielkim żalem szynkarki i kilku towarzyszków hulanki, którzy kosztem jego codzień mile pędzili wieczory, bo miał

naturę taką, że sam nigdy nie pił.

Tyle go i widziano w Popielni.

Spokój na chwilę zmacony wrócił do starej gospody Jermoły, Radionek wziął się gorąco do roboty, i zrazu chciał już wszystko tylko polewane robić, ale go stary opamiętał.

— Pamiętaj — rzekł — że to niedosyć zrobić, trzeba jeszcze sprzedać, żebyśmy mieli co jeść; niewiadomo jak nam pójdzie targ; jeśli nie zechcą naszych mis i dzbanów, lub zmuszą nas do sprzedawania ich po lichej cenie, to choć cokolwiek kosztu powróci się z prostych garnków, które dotąd doskonale nam kupują. Kto to wie jak się nda z polewą, a porzuciwszy nasze garnki. nauczymy ludzi szukać ich gdzieindziej.

Tym sposobem namówił jakoś Jermoła gorącego chłopca, że na wpół rozdzielił robotę. Dotąd szło im bardzo dobrze, obawiał się więc, by ta zmiana nie pogorszyła położenia, a Radionek tak pragnął nowości i rachować nie umiał, że dla niego bojaźń ojca zdawała się nrojonym postrachem. Tymczasem u ludu naszego, nie się w istocie odrazu nie przyjmuje, powoli i ostrożnie potrzeba z najmniejszą nowostką, bo silnie się on trzyma instynktem konserwacyjnym przy zwyczajach starych, nawet w najmniejszych rzeczach.

Pokazało się to zaraz po wypaleniu pierwszych pieców z prostem naczyniem i polewą. Nadchodził wielki praznik i targ w miasteczku, zapas został przygotowany. Chwedkowa kobyła najęta; wóz naładowano starannie, i wyjechawszy z północy z Popielni, nadejdniem stanęli w miasteczku Radionek z Jermołą. Mieli oni zwyczaj rozkładać się z towarem zawsze w jednym miejscu pod okapem głównego żydowskiego zajazdu,

gdzie już do nich jak w dym szli kupujący po garnki, i cały dzień do nocy szła sprzedaż ogromnie, tak, że na nią ledwie we dwóch można było wystarczyć. Rozpakowali się i teraz w zwykłym kącie garncarze nasi, dzieląc swój sklep na dwie połowy; robotę prostą i polewaną. Radionek oczekiwał na kupujących z nadzieją, Jermola z obawą. Jak dzień poczęli się schodzić, ale kto tylko przyszedł, zawracał się do garnków. Na próżno podstawiano mu polewę, zniżając jej cenę, gospodynie kiwały głowami nic nie mówiąc, inni otwarcie przyznawali się, że wolą się zasposobić u mrozowickich garncarzy. Nalóg przemagał, i ani piękność wyrobów, ani przystępne ich ceny nie pociągały, pokazywano przymioty, przekonywano o dobroci, niedowierzając przyjmowali to ludzie i szli, gdzie chodzić przywykli. Radionek płakał po cichu, a stary sam go teraz pocieszał wmawiając, że tak być musi z początku, że trzeba zrazu przecierpieć i umieć czekać.

Nad wieczór trochę się polewy sprzedawało nieznajomym, a garnków zabrakło. Zostało dużo niezbytego, żyd za pół ceny zakupił to do klatki, bo się już Jermola nazad wozić nie chciał z towarem.

Obrachowawszy, pokazała się strata... Posmutniało dziecko; przez całą drogę stary pocieszał je jak umiał, przysposabiając tem małym niepowodzeniem do większych życia zawodów, które ani odwagi, ani nadziei łamać w człowieku nie powinny.

Odmaalowaliśmy już troskliwie to życie biednych ludzi, i najważniejsze w niem wypadki, jakimi były, zmiany w pracy, ukazanie się nowych postaci, maluczkie

polepszenie bytu. Dni ich płynęły tak jednostajnie, ale szczęśliwie, przynajmniej Radionek nie pojmował nic lepszego nad to, co miał. Ojciec go kochał i dogadzał mu. Wiedło się im, było się czem zabawić, a przyszłość się uśmiechała.

Niekiedy tylko zamysłone chłopię siadało w progu i osmutniałe patrzyło kiedyś na wody Horynia, na lasy i pola. placąc chwilą tęsknoty dług nieodgadnionym pragnieniom, palącym człowieka całe życie. Naówczas przychodziły mu na pamięć szczegóły opowiadane przez ojca tylokrotnie o znalezieniu go pod dębami, o tajemniczem jego pochodzeniu, i dziwnem przeznaczeniu, które go nie wiedząc z kąd rzuciło w objęcia poczciwego starca. Nie pojmował dlaczego się go wyrzeczono, czemu o nim zapomniano. coś mu mówiło, że się ktoś o niego upomni, niekiedy przysłuchiwał się ciszy, jakby w niej tętniło już przybycie oczekiwanych, strasznych, nieznajomych gości.

Różnie mu malowała wyobraźnia nieznanych rodiców, ale wspomniawszy poczciwego starego Jermotę, rozstanie się z nim, osamotnienie któreby go zabiło, Radionek placząc, postanawiał nigdy go nie porzucić. Jak w każdym budziła się i w nim chęćka nowych losów, ale czuł, że powierzchownie zyskując na nich, musiałby coś ze szczęścia prawdziwego utracić. Gdzieżby mu lepiej być mogło? gdzie swobodniej? Pracował ile chciał, zmieniał zajęcie, a nigdy stary nie ofuknął się nawet na niego. prawda, że zrazu tak go wychował, by dobrem słowem prowadzić, i groza była dlań środkiem niepotrzebnym. Starzec trochę się dziecił dla Radionka, dziecię usiłowało dźwignąć się do jego dojrzałości, dzielili się latami jak wszystkim.

Wśród tego błęgiego spokoju, w którym powoli zapomniano o mogącej zagrażać zmianie, dni sobie płynęły niezmacone niczem, gdy jednego wieczora Chwedko powracający z Małyczek mimo starej karczmy, bo na drodze, którą zwykle jeźdźono, mostek się był popsuł i musiano go tędy objeżdżać, wstąpił fajkę zapalić do Jermoly. Dereszowata nieprzywykła do tej jazdy niechętnie wprowadzić stanęła, czując już chatę blisko, ale się jakoś dala zatrzymać.

Stary garniarz i Radionek siedzieli na progu, ten pałac lulkę, ów rozpowiadając o swoich na przyszłość zamiarach i głośno sobie rojąc, gdy Chwedko zszedł z wozu i pozdrowił ich zwykłem:.

— Sława Bohu!

— Na wieki! A zkadżeto jedziecie?

— Z Małyczek.

— Samiście byli?

— Woziłem kartofle sprzedane Mikicie.

— Co tam słyhać?

— O! o! bardzo słyhać — odparł Chwedko przysiadając na kłódce — jest nowego dużo.... Rotmister umarł.

— Umarł stary! — podchwycił Chwedko — o ba! wieczne odpocznienie nieborakowi, bo też się namęczył...

— Ale i drugim z nim nie było słodko.

— Umarł! ha! — zaczął rozprawiać Jermola — patrzajcie! czas! czas! na starych wołają!... Żeby się i o nas nie upomnieli rychło.

— Chory był — dodał Chwedko — i tak nie wiem jak się to tyle lat trzymało... We dworze teraz sąduy dzień.

— A syn?

— Wszyscy. i syn i ludzie, co ich namęczył stary Rotmister, jak bobry po nim płaczą... Gromada cała w dziedzińcu, lament taki aż strach...

— A! każdemu skończyć potrzeba! — westchnął Jermola.

— Tać zapewne — ciągnął dalej Chwedko — ale Bogiem a prawdą, Rotmister ciężki był dla swoich. Taki był chory, niedołęga, kaleka, a kluczów i gospodarstwa do śmierci nie puścił, ani synowi, ani tej krewniaczce nie wierząc. Syn postarzał na służbie, własnej doli nie skosztowawszy, żenić mu się nie dał, odstąpić nie pozwalał. Sieroty tej także nie uwolnił, i wiedząc że oni się z sobą kochali, na kupie ich trzymał, a żenić się pod karą zabronił!

— No! to się teraz pobiorą! — rzekł Jermola.

— A to wy nic nie wiecie? Oni się już kiedyś dawno bardzo pobrali, tylko staremu to było tajno i wszystkim we dworze, wyjąwszy jednej kłecznicy... Sam ksiądz proboszcz im ślub dawał, byli i świadkowie, ale cóż z tego, kiedy żyć z sobą nie mogli, bo ich dzień i noc Rotmister tak trzymał z kolei przy sobie, że albo jedno, albo drugie wciąż przy nim być musiało. Jeszcze takie tam było zaprowadzenie we dworze, że i ekonomowie i słudzy musieli na panicza donosić jakby co zobaczyli, bo inaczej wszystkich bizunował i rozpędzał, a synowi za to małżeństwo, że śmiał o niem pomyśleć, aż przekleństwem był pogroził.

— Ciężki był stary, to prawda — odezwał się Jermola — ale miał i on swoje dobre.... A zresztą też ciężko i on cierpiał, że czasem po całych nocach krzyczał jednym głosem: „Miłościwy Boże! weź mnie z tego świata!“ Dla cudzych znoun taki był słodki jak

baranek, ja sam mu winionem, że Prokopowi nakazał mnie garniearki wyuczyć; a co bywało nagada się ze mną, co naśmiejcie.... A! bo to był stary przyjaciel mojego pana.

Starzy długo tak jeszcze rozprawiali o rotmistrzu, najdrobniejsze szczegóły jego życia opowiadając sobie z kolei, a w ogólności jak zawsze żałując zmarłego, bo każdy odchodzący z tego świata choć trochę żalu po sobie zostawić musi. Jeszcze tak rozprawiali, gdy tętent dał się słyszeć od strony Małyczek, a po turkocie poznali wszyscy, że to nie prosty wóz jechał.

— Pewnie Hudny zkąd powraca; schowajmy się do chaty! — rzekł Jermola — lepiej się mu na oczy nie nawijać.

— Oj nie! — odpowiedział Chwedko — to coś obcego jedzie; turkot jakby krytej bryczki. Ktoś widać zabłądził.

Z ciekawością poczęli zaglądać w stronę poza dębami, któredy wiodła drożyna, i wkrótce ukazała się w istocie parokonna bryczka, żywym klusem posuwająca się ku wsi.

— Ktoby to być mógł? — szeptał Jermola.

— Konie rotmistrza... To z Małyczek panicz i jego żona; ja ich znam. Ale co oni tu robią?

Radionek wyjrzał także ciekawie.

Powóz zbliżał się prędko, i zamiast minąć starą karczmę, pod którą wszyscy stali przypatrując mu się, zatrzymał się nagle.

Trzydziesto-kilkoletni mężczyzna i młoda jeszcze kobieta razem prawie wyskoczyli z powozu i pobiegli ku Jermole, ale o krok od niego stanawszy, mowy im zabrakło, tchu nawet; krzyk jakiś tylko, płacz i łkanie

daly się słyszeć. Kobieta rzuciła się na Radionka, mężczyzna także za nią posunął się ku chłopcu, który cofał się przestraszony.

Jermola już się był domyślił wszystkiego, pobladł, posłonił i przysiąc musiał, tak czuł się osłabionym i przełękłym, wybiła dlań straszna godzina, której samą myśl odpychał.

— Mój syn! dziecko moje! — wołała pani.

— Marjo na Boga... mówmy wprzód z nimi.

Radionek błyszczącymi oczyma spojrzał na matkę i przytulił się do Jermoly, jakby w nim szukał wsparcia i opieki.

— A! on mnie nie zna! — z boleścią zawołała kobieta — nie zna i znać mnie nie może, odpycha. ucieka... Inaczej być nie mogło! Lepiej się było wyrzec wszystkiego, przekleństwo sprowadzić na głowę, a nie opuszczać dziecięcia, straciliśmy je, stracili!

I lamala biedna ręce.

— Marjo! uspokój się na Boga — prosił młody człowiek.

Jermola wśród tego zamętu miał czas oprzytomnieć trochę, twarz jego przybrała wyraz poważny i smutny.

— To dziecko — odezwał się do niego ojciec wzrzuconym i przerywanym głosem — dziecko, które znalazłeś pod dębami przed dwunastu laty... jest synem naszym. Unikając przekleństwa, którym nam groził ojciec, szpiegostwa ludzi, którzyby nas przed nim oskarżyli, gdyby się mogli domyśleć potajemnego małżeństwa, musieliśmy się wyrzec go i porzucić na czas... zapomnieć o niem... Ksiądz, który nam ślub dawał i

chrzcil to dziecko, poświadczy; człowiek, który je tu przywiózł....

— Mógł to być syn wasz — odparł powoli starzec, któremu sił przybywało w chwili stanowczej — ale dziś to jest tylko dziecko moje. Widzicie, że nie zna matki, że przed ojcem tuli się do mnie, ja m go wychował, chleb sobie od ust odejmując, pracą mojej starości.... Nikt mi go odebrać nie może.... Radionek mnie nie opuści.

Kobieta słuchając zachodziła się od płaczu; Jan podtrzymywał ją płonąć na twarzy najrozmaitszemi uczuciami.

— Na Boga! — zawołał — dobrą wolą czy nie, musisz nam oddać to dziecko, na którego uścisk czekaliśmy lat tyle.

— Gdybym je oddał, dziecko to nie poszłoby za wami, ono was nie zna — odparł Jermola — ono nie opuści starca, który je przysposobil.

Radionek stał zbladły i pomieszany. Matka wyciągała ku niemu ręce, oczy jej mówiły do niego, usta go wołały, tajemna siła przywiązania macierzyńskiego ciągnęła, lzy poczęły mu zwilżać źrenice.

— Wszystko, co chcesz za naszego syna! — zawołał Jan.

— A czegoż ja od was chcieć mogę — oburzył się stary Jermola — cóż możecie mi dać, coby zapłaciło za moje ukochane dziecko? Nie od was nie potrzebuję, tylko mi nurzeć przy niem dozwólcie spokojnie.

To mówiąc, stary się rozplakał, nogi się pod nim zatrzęsły, szukał ściany, aby się o nią oprzeć. Radionek go podtrzymywał i posadził na progu, a Jermola uściłskwał dziecko i pocałował w głowę. Kobieta łamała ręce

rozpaczając, uczucie jej wzmagало się, poskoczyła wreszcie jak lwica do chłopca i objęła go nagle w macierzyńskie ramiona.

— Tyś mój! zawołała zanosząc się od płaczu — tyś mój.

A i Radionek już się z jej objęć nie wyrывał; pierwszy to w życiu był dla niego nścisak matki, tak npragniony, tak słodki i nspakajający. Drżący ojciec przystąpił za nią i przytulił się także do dziecka, i poczał je całować ze łzami.

Jermola patrzył na to okiem rozplakanem, to błyszczącym od zazdrości, jedna chwila, jedno słowo wyrwać mu miało skarb jego.

Dość było szczęścia — rzekł — Bóg mi je odbiera.... Trzeba je oddać, los mi je tylko pożyczył.... A! niedługo też życia może....

— Panie — odezwał się głosem pełnym wzruszenia i jęku — widzicie, ja was teraz proszę. Jam stary, mnie żyć już niedługo, zostawcie mi dziecko moje.... do śmierci tylko! Ja umrę prędko! sam bardzo stary, weźmiecie je potem od trumny.... Jakże ja żyć bez niego potrafię. Nie róbcie mnie nieszczęśliwego sierotą na ostatek dni moich. nie trujcie mi ich za to, że dziecko wasze przytulił i wychował!....

— My cię weźmiemy razem z dziećciem — zawołał Jan — jedź z nim, my dla ciebie mamy wyższe nad wyraz wszelki obowiązki wdzięczności....

Stary poczał płakać, a na głos jego Radionek powrócił do Jermoly, przykląkł przed nim i głowę złożył na kolanach.

— Ojcie! ojcie! — zawołał — nie płaczcie proszę; ja nigdzie i nigdy od was nie pójdę. Nie ruszym się

ze starej chaty naszej, zostaniemy tutaj, mnie z tobą było tak dobrze.... Ja nie nie chce więcej.

Na widok tego odstępstwa, matka znówu płakać i słabnąć zaczęła; ludzie, którzy się zbiegli przypatrywać tej scenie, kozaczycha, Chwedko, Huluk, płakali także łzami niewytlómaczonemi, które lud ma nawet dla cierpień i niedoli, jakich nie pojmuje, dosyć mu widzieć płaczących by się rozrzewniał.

Narozście ojciec się otrząsł z chwilowego osłupienia, westchnął i począł coś na neho szeptać żonie.

— Chcecie czy nie chcecie — odezwał się surowiej — dziecko to oddać nam będziecie musieli; mamy świadków i dowody że jest nasze. Możecie żądać za nie co się wam podoba...

Jermola dźwignął się nagle na nogi.

— Dziecko was nie zna — rzekł — odbierzcie mi je siłą, ja go dobrowolnie nie oddam, to nie jest dziecko wasze. Na świadków postawie świadków, to nie pański syn, to wieśniak, rzemieślnik... sierota... Zawołajcie go, choć nie wiecie nawet jakim pozwać go imieniem, a głos waszego nie usłucha...

— Ale ten stary szaleje — zawołał pan Jan, w którym kipiało — no! to udamy się do innych środków; użyjemy jakie są w naszej mocy... Chcesz pozbawić dziecko lepszego losu i swobodniejszej doli. Jaka u nas je czeka?

— Jakiej doli? — odparł śmiało dworak — jakiego losu? Spytajcie go czy mu tu u mnie źle było, czy mu czego brakło, czy pragnie więcej? Znamci ja życie wasze i szczęście, które mieszka po dworach, bom się ich napatrzył... Nie kłóćcie mi spokoju, nie trujcie mi starości, nie odbierajcie mi dziecka!

Matka zbliżyła się drżąc i ujęła go za rękę.

— Bracie, ojciec — zawołała — ja pojmuję boleść twoją, ja wiem co tracisz z dziećciem, ale jam po niem lat dwanaście gorzkie łzy polykała, ale maszże ty serce nieszczęśliwej matce odbierać skarb jej jedy-ny !... Byłżebyś tak okrutny, żebyś nas do niewdzięczno-ści zmuszał? Nie! ty pójdziesz z nami, będziesz pa-trzał na swe dziecko i podzielsz szczęście nasze.

Mowa matki lepiej trafiła do serca Jermoły, który się powoli opamiętał, otarł łzy i odpowiedział po-cichu :

— A ! spełniła się ta chwila, której dożyć nie chcia-łem ; widziałem ją codzień we snach przez lat kilka-naście, bałem się każdego obcego, sądząc, że przycho-dzi dziecko moje odbierać odemnie... Drżałem, prosiłem Boga, żeby mi wprzód dał umrzeć, przedłużył wieku, niech przyjmie tę godzinę jako ofiarę za grzechy...

W czasie tej rozmowy, Radionek stał pomieszany nie wiedząc co począć, i poglądał to na starego, to na nowych swoich rodziców. Na twarzy ojca jego widać było niecierpliwość, rozczerzenie i jakby uraze ; w oczach matki tylko niepokój i litość. Jermola opadł na silach i ze spuszczoną głową siedział przybity.

Rozmowa przerwana ostygła, i powoli weszła na ton powszedni, spokojny. Znać było, że Drużyna chciał zaraz zabrać syna i z nim odjechać, i nie wiedział jak sobie począć. noc stawiała się coraz ciemniejszą. Jer-mola się już nie sprzeciwiał niczemu, milczał, a nie-kiedy wzrokiem tylko badał swe dziecko.

— Jedźmy — rzekł nareszcie pan Jan pociachu do żony — jutro po niego powrócimy.

— A dziecko...

Radionek dosłyszał tych słów i przełknięty przytulil się do starego piastuna. Jermola z wdzięcznością przycisnął go do piersi.

— Tyś dobre dziecko — rzekł — ty mnie nie opuścisz, nie porzucisz, nie zapomnisz o starym ojeu. Wiesz, że jabym umarł bez ciebie, oczy mi zamknąwszy rób co zechcesz, a błogosławieństwo Boże niech z tobą będzie na wieki.

W milczeniu patrząc na ten obraz Drużyna pociągnął, a raczej oderwał gwałtem żonę od niego, i przymocą niemal uwiózł ją nazad do domu. Chwedko pojechał na wieś niosąc z sobą ciekawą nowinę.

W starej karczmie nie się na oko nie zmieniło po odjeździe Drużynów, ale już szczęście i spokój wczorajszy nie powróciły pod złamaną strzechę. Jermola nieruchomy, przybity siedział w progu; Radionek płakał, to zamyslał się gorączkowo. Szeptali do siebie i ranek ich zastał na progu uspiionych, przytulonych, jakby się obawiali, aby ich nie rozerwano.

Biały dzień otwierając im oczy swą siłą powołującą do życia i usmierającą boleści, przypominał wypadki wczorajsze, ale zimniej im je przedstawił, inne obudził w nich uczucia. Przyszła rozważa obawy, nadzieje i cały szereg uczuć różnych, które idą za każdym wypadkiem i myślą, jak najemni służą za pogrzebem, wszystko się to stręczyło, narzucało, popychało i ciśnieło znowu odepchnięte.

Ani stary, ani Radionek nie miał już do niczego ochoty, bieg zwykły ich życia był przerwany, nie wiedzieli co począć z sobą. Dziecku przewijały się po

głowie to obrazy jakiejs nieznanomej a świecącej przyszłości, to żale po dniach wczorajszych, niepowrotnych a tak szczęśliwych!

Przypomnial sobie rysy matki widziane przez mrok wieczora, drugiego ojca swego, i serce to go ku nim pociągalo, to odpychalo nczniem obawy. Będzie mu tam lepiej czy gorzej? A w każdym razie inne zupełnie życie rozpocząć potrzeba, opuścić kątek cichy, wniknąć między nieznanomych ludzi, zaprzeć się wczorajszego i rozbratać z tem, co się kochało.

Jermola dumał także, a dzień przyniósł mu myśli nowe, poszedł wedle zwyczaju do kozaczychy, bo nie miał się przed kim wygadać.

— Coście wy oszaleli? — zawolala baba widząc go — a to dnia wczorajszego takeście się upierali przy dziecku, jakbyście mu mieli Bóg wie jaki los do dania! To przecież panowie, to dola! A cóż wam zlego pójsć do dworu z Radioukiem i żyć sobie spokojnie, patrząc na jego szczęście?

— Tak! albo to ja tam dla niego tem będę, czem tu byłem? Ojcem nie będę! sługą zostanę! Powoli odbiorą mi jegd serce, zbalamncą chłopca, popsują. Znamci ja to ich życie! Trochę lepsza strawa, trochę cieńsze odzienie, trochę delikatniejsza mowa, ale czy im z tem lepiej? Pannu Begu wiedzieć, nam nie sądzić. Spytaj się ich, czy nie płaczą pocichu? czy czarne godziny pod ich dach nie zachodzą? czy takie tam złote szczęście, jak nam się zdaje zdaleka?

— Takibo wy balamniecicie z tego wielkiego żalu — zawolala kozaczycha niecierpliwiej coraz ruszając ramionami — jużciż co ich życie, to nie nasze... Jakby to nasze lepsze bylo, wszyscyby się do niego cisnęli; a

taki z panów, po dobrej woli niebardzo kto się do nas przebierze, a z nas każdyby chciał ich chleba skosztować! Co prawda, to prawda!

Jermola się zamyślił.

— Moja kummo — rzekł — jak przyjdzie umierać, podobnoć to wszystko jedno, czy po razowym, czy po sitnym chlebie, wszystko to jedno, jak człowiek przeżył dołę swoje, byle z czystym sumieniem i rękami poszedł do Boga. A czy mojemu chłopcu, bo taki on mój, lepiej będzie tam, czyby lepiej było w starej karczmie garniearzem, o! to wielkie pytanie!

— Aleć go taki oddać musicie, na to nie ma sposobu!

— Juściż mu iść nie zabronię, ale niech sobie między nami wybiera, bo ja, to gdzieś żył, chcę i umierać, kości położę na naszym cmentarzu.... Kosztowałem dworskiego chleba, nie pójdę już na ostatki lat wyciągając ręki i kłaniać się młokosom, co by ze mnie szydzili.... Zostanę w Popielni, a Radionek jak sobie chce. niech idzie panować w Małyckach.

— A jakże się bez niego obejdziecie, stary biedaku?

— A wy-to jak się obchodziecie bez waszej Horpyny, bez wnuczki? Chyba je czasem widujecie pokrywion.

— A! to prawda! — westchnęła kozaczycza — ciężka dola nasza dzieci hodować, żeby potem — fru! wyleciały z gniazda, a samyni siedzieć z połamanymi skrzydłami i tylko patrzeć za niemi!

— Czy to długo? — dodał smutnie Jermola — dni-to policzone, jeszcze jeden i drugi, zastuka śmierć do okienka, zamkną się oczy i — po wszystkim.... Tylko rachunek z Panem Bogiem.

— A! smutno kumie gadacie!

— Bo i w duszy nie weselo!

Gdy tu taka narada w domu kozaczychy, Radionek już się do niczego wziąć nie mogąc, siadł na progu i duma sobie, to go za serce nieznamy świat ciągnie, to stary Jermola przytrzymuje.

Rodzice! matka rodzona! wielkie to słowa i potęga ich wielka nad sercem sierocem, bo nie nie zastąpi matki, nikt nie zastąpi ojca.

Uśmiecha mu się państwo, dwór; ale nie mając pojęcia życia innego nad te, które prowadził, wcale nie wie co go tam czekać może, ciekawość tylko gorąca, uroczo maluje przyszłość nieznana. To znowu gdy wspomni, jak staruszkowi samemu ciężko będzie zostać, ile on uczynił dla niego, jak go kochał, nie wie, czy nawet miłość macierzyńska tej od Boga daonej wyrówna. Kiedy tak myśli, wczorajsza bryczka zaturkotała znowu. Radionek chciał się schować i nie miał siły, matka go ujrzała zdaleka, skinęła ręką i został. Rodzice pieszczą go i płaczą.

— Wszak prawda, że pojedziesz z nami? — zawołała Marja wpatrując się w dorodnego chłopaka, na którym przykro jej, że dotąd cięży siermięga, proste odzienie wieśniacze.

— Zobaczysz — szepce — jak ci tam z nami będzie dobrze, przecierpiałeś, ale to się zapomni.

— Ale ja nie cierpiał — odparł Radionek ośmieszony — ja nigdy zapomnieć nie chcę starego baćka! Jego mi tak żal, tak żal!

— Ojciec twój, to ja — rzekł z żalem i wymówką pan Jan — nazywaj go jak chcesz, ale nie kradnij mi mojego imienia...

— O! on mi był długo ojcem, i będzie nim do śmierci... On mnie tak kochał!

— A my! ty nie wiesz ile nas lez kosztujesz?

— Jam ich nie widział... Wierzę, ale stary płakał także i nieraz, a ja na Izy jego patrzałem.

— Starego weźmiemy z sobą.

— On nie pójdzie! — szepnął Radionek.

Jakby przeczuciem wiedziony nadszedł Jermola, który ujrzawszy bryczkę pospieszył co mu temu stało i przybiegł zadyszany, przełękły o dziecko. Drużynowie przywitali go uprzejmie, ale chłodno, on ich obojętnie.

— Dziś już — rzekł stanowczo pan Jan — puścisz z nami chłopca. Tęskno nam bez niego, potrzeba żeby był na pogrzebie dziada.

— Niech robi co chce — odparł stary — niech jedzie, ja mu nie bronię, ja go już nie wstrzymuję.

— Pojedziesz? pojedziesz — zawołała matka rzucając się ku niemu.

Chłopiec zawahał się i rozplakał.

— Nie, nie mogę, od was ojciec pójść nie mogę!

— Powrócisz gdy zechcesz — dodał pan Jan usiłując ton przybrać łagodny — my ci bronieć nie będziemy.

Nastąpiła chwila milczenia, a dziecko zwracało się niespokojnie to do starca zamyślonego i smutnego, to do matki, która oczyma błagać go się zdawała, żeby nie odinawiał.

— Róbcież ze mną co chcecie — rzekł wreszcie Radionek — ja sam nie wiem co począć; tracę głowę... ciężko mi i smutno... A! i tybym chciał zostać, i was nie rzucić... Zostańcie lepiej z nami

Pół dnia prawie trwały przerywane namowy, targi, obietnice, pokusy i bryczka wreszcie odjeżdżając z przed starej gospody, uwiozła z sobą płaczącego i ręce do Jermoly wyciągającego Radionka, który nazajutrz obiecał powrócić.

Kto na sercu ludzkim buduje, głęboko się w nie wkopać musi, by dom jego nie osiadł i nie rozpadł się pozbawiony podstawy. Głęb serca to mielizna i trzęsawisko, które tężeje chwilami, ale je tysiąc strumieni utajonych nurtuje i rozmywa. Są jednak serca wybrane, ukute z innego jakiegoś materiału, na których raz wyciśnione piętno, pozostaje nazawsze. Stary Jermola raz w życiu kochając tylko, jedną tylko mając istotę, na którą zlał wszystką siłę miłości, do której ostatniem przywiązał się ogniwem, czuł, że mu jej nie zastąpić nie potrafi, że nigdy brak jej nagrodzić mu się nie może!

Boleść z jaką patrzył na ujeżdżający powóz, który pochwycił mu Radionka, opisać się nie daje, nie była to wściekła i gwałtowna rozpacz, ani burzliwy i namiętny gniew, ale coś powoli zabijającego jak trucizna, usypiającego jak mróz w górach. Oczy zapłakane osychały natychmiast, ale słupem zwrócone stały, nieruchomie skierowane w jedno miejsce. Nie słyszał nic, nie myślał o niczem, w głowie mu się wilo coś nieopisanego — czarny kłębek nici porozrywanych i brudnych. Stracił władzę, wolę, ochotę czynności, stęzał i sposązał na progu z otwartemi ustami, z wyciągniętą ręką, i pozostał tak niepoliczono godziny, pochłaniając bez uczucia przemijającego czasu.

Huluk, dobry chłopiec, widząc, że go ani słowem, ani targaniem nie obudzi, że mu nic nie odpowiada i nie rozumie, pobiegł do Harasymychy po ratunek, a kuma pospieszyła z gniewem na starego za jego bezrozum, jak go nazywała.

— Czyste dziecko! — wołała — a taki stary, a taki głupi. Tożby się losem Radionka cieszyć przecie powinien...

I poczęła, jak tylko go spostrzegła, łajać zdaleka, ale z przestrachem przekonała się, że choć powinien ją był usłyszeć, głowy nie odwrócił, nie dał znaku życia... Oczy miał zwrócone ku dębom. wargę obwisała. głowę opadła, a bezsilne ręce wyciągnięte i skostniałe.

Zbliżywszy się musiała go targnąć kozaczycha i bużowała po swojemu, nie szczędząc wyrazów, bo innego nie obmyśliła sposobu.

— Oszalałeś stary dumny Jermolo, a toż ci go nie na zarznięcie wzięli!... to go zobaczysz... Przeczegnaj się... to grzech...

Nierychło potrafiła go ocucić, rozbeczał się stary. począł szlochać, niewyraźnemi narzekać wyrazy, wreszcie jakoś przyszedł do siebie.

— To darmo — rzekł — wszystką się skończyło, nie ma już mojego Radionka. Jest panicz w Małyckach, ale dziecka u mnie nie ma i nie będzie.

I począł tłuc naczynia garncarskie, wyrzucając je za drzwi.

— Do czego to — zawołał — na co mi to; wróć do dawnego życia, chcę zapomnieć że on był tutaj, że miałem syna. Wiem ja, co oni z nim robią, oni mi go obalamną, zepsują. Nie potrafi jak dawniej słodka dziecina mówić ze mną i śmiać się serdecznie, będzie

• mi tęskno za ich murowanym dworem, zimno w chacie, chleb mi nasz i woda smakować nie będą... Jermola wyda się uprzykrzonym gderą. Nie! głupim, głupim! trzeba było uciekać, wynieść się z nim daleko, gdzieby mnie nie znaleźli i wydrzeć mi go nie mogli.

Kozaczycha słuchała rnszając ramionami, rzucała po słówku, ale wiedząc, że wielkiej boleści trzeba się dać wypłakać i wynarzekać, nie przeszkadzała Jermole. Co krok stary potraçał o nowe jakieś wspomnienie dziecka w tej izdebce, która pełną ich była jeszcze, tam rzucona siermiężka stara, ówdzie garnuszek malowany jego roboty, pierwsza polewa kwiecista, którą się tak cieszył, ówdzie czapeczka rogata poleska, którą kładł na zimę, wyszywana ponsowemi sznurkami, ulubiona dziecinie, ławeczka na której w kątku siadać lubił, miska z której jadł, koźlę co becząc za nim tęskniło...

— O! tu, choć sobie o ścianę głowę rozbić — zawołał Jermola — ja tu żyć bez niego nie potrafię! Zdaje mi się, że umarł mój chłopak...

Kozaczycha napróżno wyglądając żeby mu to przeszło, widząc, że to się na długo zabiera, posłała Huluka po Chwedka, który zaraz starego znajomego przyprowadził do karczmisska. Chwedko wiedząc o co chodzi i rachując na wódkę, jako dziełny środek pomocniczy, przyniósł z sobą butel gorzałki, poczał od żarcików i powinszowań, potem przeszedł do porównań przywiązania swego do dereszowatej klaczy, wreszcie nie wiedząc już co robić, dobył flaszę i na stole postawił.

Jermole na widok jej oczy zabłysły, pochwycił ją i całutenką duszkiem wychylił; ale są tak silne wstrzą-

śnięcia w człowieku, że w nim zwykle skutki wszystkiego, co go otacza, nie objawiają się wedle praw pospolitych, stan ten duszy, z chłodem, głodem, mógłby zdaje się zwycięzko walczyć i z trucizną. Nieraz w boju, na placu bitwy, człowiek wychyla ogromną ilość napoju, która w zwykłym usposobieniu powaliłaby go o ziemię, i nie czuje po niej wrażenia. Tak się stało z Jermołą, który chciał się upić a nie mógł, zdawało mu się, że wodę przełknął i nie poczuł jej w sobie.

— Ależ głowę ma, ta-to kwarta szumówki — rzekł po cichu Chwedko z rodzajem uszanowania.

— Nie głowę on ma taką, ale żal wielki — szepnęła kozacycha — daj mu teraz wiadro, to go nie spoisz, boleść go wytrzeźwi...

Chcieli go nareszcie pod wieczór wyciągnąć z chaty do wdowy, ale nie potrafili, zasiadł znów na progu, zadumał się, zapatrzył pod dęby i tak pozostał, a że Chwedko miał pilną sprawę, bo doroszowatą poić przyszła godzina, a kozaczysze o tej godzinie udój mleka przynoszono właśnie i wieczerzę potrzeba było przystawiać do ognia, musieli go oboje z Chwedkiem porzucić.

Biedny parobczak płakał zostając sam na sam ze starym.

Już się zmierzchno dobrze, a Jermola nie wstał ze swego miejsca, zadrzewał trochę, bo go boleść zlamiała. Obudził się przestraszony i siedział nieruchomy, Huluk rozespany pilnował go stękając.

Już pierwsze kury piałły, kiedy się coś mignęło przed chatą, i Huluk, który miał kocie oczy zaraz poznał Radionka, przybiegającego od strony Małycezek.

Starzec nie widząc go, przeczuł, pochwycił się, obejrzał i krzyknął:

— Radionek!

— To ja. ojciec!

— Ty! pocziwe dziecko moje... A! niech ci Bóg płaci, byłbym umarł, dałeś mi życie... Ale jakżeś ty przyszedł? piechotą?

— Piechotą, ojciec... albo to ja drogi nie znam? czy to ja się boję chodzić po nocy?

— Sam...

— Z kijem...

— I dali ci tak pójść?

— A ja się nie pytałem, położyli mnie spać, ale mi tak było tęskno, że oka zmrużyć nie mogłem, czegoś mnie brał niepokój, musiałem przyjść do was. Zresztą, rano gdy mnie nie znajdą, domyślą się gdzie szukać.

Jermoła ściskając go ożył, oprzytomniał odrazu.

— Huluk! — zawołał głosem silnym — on przeziął może, on nie jadł, pewnie go zgłodzili, ognia do pieca! Masz co jeść? i mnie coś czczo, chodźmy do izby.

— Dziw! — szepnął chłopiec — kiedy cały dzień nie nie jedli.

— A! prawda!

— Ja wam sam i ognia rozpale i jeść ugotuję — pochwycił Radionek — pozwólcie po staremu sobie usłużyć.

— A! dziecko moje, nie, nie, usiądź przy mnie, jutro mi cię odbiorą znowu, nie odstępuj mnie proszę.... Ale tobie tu od rosy chłodno będzie, chodźmy lepiej do chaty.

Gdy Huluk ognia rozpalił, a izba się rozjaśniła, postrzegł stary zwróciwszy oczy na Radionka, że choć mu tak rychło sukni przerobić nie mogli, już go potrosze

przebrali rodzice. Matka wynalazła mu białą koszulkę, zawiązała jasną chusteczkę na szyi, zmyła i utrefiła złote jego włosy, podpasala paskiem jedwabnym, dała mu czapkę ojcowską, i oblała go jakimś panieczkowskim zapachem. Na wychowańcu Jermoly wydały mu się te przystrojenia jako znaki odstępstwa, niewoli, jak cechy nowo przybranego stanu, westchnął patrząc na nie, choć Radionkowi ładnie z niemi było. Chłopiec słicznie się wydawał tak nawpół przebrany i odświeżony.

Nie mówili do siebie, bo starzec znouu posmutniał na chwilę, popatrzał na dziecko i gryzł się przyszłością swoją.

Jutro przyjadą po niego i zabiorą go znouu, pocziwe dziecko już do mnie uciec nie będzie mogło, bo mu straż postawią. Kto wie, może i to za grzech mu wezmą, że przybiegl do ojca.

— Lepiejże ci tam było? — począł stary po chwili — pociesze mnie choć tem, że ci u nich dobrze.

— Dobrze, ale smutno — rzekł chłopiec. — Trup leży na marach, księża śpiewają w wielkiej sali, ale matka siedziała ze mną i cały dzień gadała, i rozpytywała się o wszystko. Musiałem jej opowiadać całe życie nasze, składała ręce i co chwila wam i Bogu dziękowała..., Karnili mnie, całowali, chcieli zaraz przebierać, ledwie mi się wyprosił; ale po krawców posłali, żeby mi inne sprawić odzienie.... Ojciec mówił — to imię dane panu Janowi Drużynie przez Radionka smutnie odbiło się w uszach Jermoly — ojciec mówił — dokończył chłopiec — że mi przyjmie nauczyciela; darował mi ładnego konika.

— Daj Boże, żeby ci tam było jak najlepiej — zawołał stary — i nie wątpię, że kochać cię będą. Ale,

o! nieraz zateśknisz za chatą naszą, za spokojnem dniami. które tu przeżyłeś.

Noc prawieby cała bez suu ubiegła, gdyby się Jer-mola o Radionka nie obawiał, i położył go znużonego, a sam zasiadł pilnować.

Nadedniem niespokojny nadjechał ojciec, a choć nie łąjał dziecka, wymawiał mu jednak nieostrożność jego i śmiertelną obawę, jakiej matka doznała z jego po-wodu. Chłopiec zmilezał smutny.

— Ażeby tego na przyszłość nie było — rzekł pan Jau — weźmiemy Jermolę do Małyczek: jest izba po-rządna we dworze, będzie mieszkać z nami, i jak on ciebie, tak my go pielegnować będziemy.

— Nie! nie! — potrząsł głową stary — ja do was nie pójdę, kocham dziecko moje, ale ztąd wywlec się nie potrafię. Ciężko mi już na starość cndzym żyć chle-bem, przywykłem panem być w domu. Tambym się rychło uaprzykrzył, ktośby mi słowem bryznął, dzieckoby to zabolalo, muie za niego. Nie poszanowaliby słudzy wasi przyhysza; zdawaloby się wam, że mi łaskę ro-bicie... Nie! nie!..ja tu pozostanę.

Napróżno prosił i namawiał pan Jan, nie było spo-sobu starca przekonać, uściskał Radionka, oplakał, wstrzy-mywał go, w końcu pobłogosławił i usiadł w progu czekając śmierci.

Dziwne są często losy ludzkie i przeznaczenia Boże, jednym uie tego życia urywa się, gdy złotem szczerem przetyka ją dola; drugim cierpienie i boleść szarpiąc czarną przedzę odciać nie mogą.... Jermola przeżył roz-stanie i umrzeć nie potrafił. Przechorował, postarzał

po raz drugi, pochylił się, stał się milczącym i pounnym, począł nową epokę żywota; ale siły zaoszczędzone wiodły go dalej jeszcze, kazano mu patrzeć na dziecię zdaleka, i gryść się, i pocieszać wspomnieniami.

Równo z oddaleniem się Radionka porzucił sam garncarstwo, oddając je Hulukowi, który mu się był nieco przypatrzył, sobie jak dawniej, zostawił ogródek i kątek zajmowany przedtem, dzieląc czas na ciche rozmyślanie w tej izbie, w której swe dziecię wychował, i odwiedziny a długie rozmowy z kozaczyczą.

Ta jedna rozumieć go i cierpliwie słuchać mogła. Położenie ich zbliżało, on się litował nad nią pozbawioną Horpyny, która całkiem na panią wyszła i prawie nigdy już u matki nie bywała; ona tęskniła z nim razem za Radionkiem. Długie godziny u ognia tak pędzili na opowiadaniach o starych szczęśliwych czasach; a choć po sto razy każdą rzecz sobie wypowiadali, umieli cierpliwie wysłuchać jej na uowo, gdy prąd pamiętek przyniósł ją znownu na usta.

— Pamiętasz moję Horpynę, jaka ona była śliczna, kiedy się bywało do cerkwi ubierze; teraz już jej ani poznać, tak wymizerowała po pięciorgu dzieciach, na tym swoim pańskim chlebie... Oj! niezdrowy to chleb!...

— A Radionek? — odpowiadał stary — czy nie ładniejszy był w sukmanie z podgołoną głową?

Zrazu tak było, że codzień prawie Radionek to sam, to ze sługą, to z ojcem lub matką dojeżdżał do dawnego piastuna; potem przywozili go tylko w niedzielę; potem co kilka tygodni; wreszcie gdy zatęsknił starszek, włókł się o kiju do wychowawca, żeby go choć na

chwilę, choć zdaleka zobaczyć.

I zrazn biegł też do starca Radionek jak go tylko zobaczył, wrywał się wszystkim, nie było go sposobu utrzymać. Potem czasem nań chwilkę musiał czekać Jermoła. aż przyszło do godziny; a było i tak, że stojąc dzień cały u drzwi napróżno, już go nawet zobaczyć nie mógł i odchodził splakany. Odprawiano go na folwark, karmiono; ale starym nie tak potrzeba było pokarmu, tylko syna zobaczyć, wzrok nim napaść, to jedno nasycić go mogło.

Jermoła nie uskarżał się na to, wiedział on dobrze, że dziecie jego nie było temu winne, że rodzice i nauczyciele powoli starali się w ten sposób odciągać Radionka od przybranego ojca, a dziecie szeptało płacząc zawsze, że radeby było pójść uzaad do Popielni.

Predko się wychowanek do niepoznania odmienił, z chłopaka wiejskiego, gdy mu suknie wdzieli pańskie, gdy go poczęli karmić swoją strawą i zamykać między czterema ścianami, kwiatek ten uwiądl, zbladł; a choć wzrost szybko go pędził w górę, znać było wiotką roślinkę, którą łada wietrzyk miał zwarzyć.

Skarzyła się biedna matka. obawiał ojciec, rozweselali go, bawili. chuchali: ale im bardziej zamykali i strzegli, tem dziwniej chłopak począł blednąć i słabnąć. Czasami wśród nauki, pieśszoty, zamyślał się, łza błyskała mu w oku, i gdy go pytali co mu jest, uśmiechał się tając z bólem.

Dawne życie, pierwsze lata młodości spędzone w swobodzie wiejskiej, w pracy i weselu nieopatrznem, dziś ciężły nad dzieciną kamieniem; zmiana trybu, gwałtowne przejście jak przesadzanie rośliny zmęczyło tę biedną istotę. W nocy, we snach przypominała mu się

chata, wesole ranki nad garncarską robotą, wycieczka na rzekę i do lasów, i to wolne bujanie po świecie, w którym czuł się sobą, czemś oddzielnem i samoistnem. Tu słodkie wprowadzie, ale krepowały go więzy, uczyniono go napowrót dziecięciem, otoczono staraniem zbytecznem, obawiano się o niego, obwarowano tysiącem ostrożności, nie dając rozwinąć się woli.

Pozbawiony natury, powietrza, słońca, do których przywykł, tęsknił za niemi jak za Jermolą.

Dobrze mu było przy matce i ojcu, ale wzdychał za wczorajszem sieroctwem; w ostatku ta walka i przerabianie się zmogły go i chorzeć zaczął.

Rodzice nie zgadując stanu dziecięcia, zamiast goić ranę rozdrażniali ją; wpływom starego przypisywali upadek ducha w sym, i usiłowali go oddalić od Radionka, popełniając zarazem niesprawiedliwość i nie-zręczność.

Dziecię im troskliwiej starano się oddalać, tem bardziej garnęło się do Jermoly; oprócz przywiązania, li-tość, uczucie wyrządzonej krzywdy i niewdzięczności dręczyło je potajemnie. Przed ojcem surowszym, który coś zachwycił charakteru działowskiego, nie powiedzieć, do niczego się przyznać nie było można; matkę bolało to przywiązanie tak stale, tak wielkie, za które czuła jakąś zazdrość, srodze, jak grzech wyrzucając je dziecięciu.

Nowy wypadek zmienił wkrótce położenie Radionka, powiększyła się rodzina braciszkiem jego, Władziem, a ojciec i matka przelali nań prawie całe swe przywiązanie, jakie mieli do pierworodnego, dając mu powoli poznać zobojętnienie, a nawet wymówki za Jermolę go dręcząc. Chłopiec znosił je milcząco, lzy polykał,

ale dreźczył się boleścią potajemną.

Wszystko to razem wzięte złamać musiało tak wprzód swobodnie rozwijające się, tak dziś wielą sprzecznemi uczuciami skrepowane i onieśmiałone swem położeniem dziecię. Z wesołego stał się ponurym Radionek, zamysłonym, z otwartego skrytym i bojaźliwym, a nocami płakał po dniach minionych przy kochanym staruszką. Serce jego krajało się na widok Jermoly, który pieszo, o kiju przywlekał się z Popielni do Małycezek, stawał w ganku i jak na jałmużnę czekał, dopraszając się widzenia, tylko widzenia dziecka. Jeśli je mu puszczono, stali stróżowie, którzy pilnowali, aby Radionek niezbyt się rozczulał, nie mówił zawiele, nie skarżył się i nie bawił długo, a często, bardzo często, z okna tylko najrzadko go dziecię jak smutno godziny długie stał w ganku, jak popychali go słudzy, jak go odprawiano nielitościwie, jak w końcu o mroku biedny staruch ze spuszczoną głową, powoli, oglądając się za siebie, powracał próżno do domu. Naówczas Radionek płakał, cierpiał, a chorobę i cierpienie przypisywano nie obojętności z nim niestosownemu, ale samej już tylko przytomności, natrętności Jermoly.

Zejść tak z ojca i z opiekuna na głodnego żebraka, u drzwi ganku czekającego litości, ciężko to i boleśnie; nie poskarżył się jednak stary, nie wyrzucał im tego gorzko, milczał, tał w sobie boleści, aby go całkiem nie odpędzono. Tylko gdy tak raz i drugi odprawiano go niedawszy zobaczyć chłopca, powracał częściej, stał uparciej, aż go gdzieś taki pochwycił na przesmyku. A gdy coraz bardziej omdlałe oczy, głos słyszał cichszy i mowę zmienioną, niekiedy aż się w nim na burzę zbierało; ale starość bezsilna, niemoc

podcinająca nogi, ubóstwo, sponiewieranie, nie dozwalały myśleć o jakimkolwiek ratunku.

I szło tak coraz gorzej a gorzej.

Matka zajęta Władziem utyskiwała na starszego, ojciec się srożył i burzył, ale to nie pomagało, podwojono pieczęt, sprowadzono lekarzy. Któryś z nich wpadł na myśl zbawienną radząc powietrze, słońce i ruch swobodny; inny smutku się dobadawszy wskazywał środki moralne, — spadała zawsze winna wszystka na Jermolę.

Pan Jan zniechęcony i zgryziony, długo walcząc z sobą, w końcu postanowił starego piastuna pozbyć się raz nazawsze.

Jednego poranku, wedle zwyczaju swego, Jermola który przez trzy już tygodnie ledwo przez okno widywał dziecię swoje, i codzień przywlekał się do Małyceczek, przeszedłszy bramę, opędziwszy się psom, któremi go szczuli psiarżczyki, stanął w drzwiach i stał czekając, słowa nie mówiąc, jak Łazarz u drzwi bogacza. Słudzy już dobrze nauczzeni potracając go i pozbywając się, chcieli go odpędzić, ale się stary nie dał. Trwało to tak do południa, aż pan Jan znudzony tą naprzykrzoną postacią, która mu stała w oczach jak wyrzut sumienia, wyszedł sam przeciwko Jermole.

— Mój kochany — rzekł siadając na ławie w ganku, sucho i ostro — widzę cię tu już od dni kilku, czegoż tak uparcie stoisz? Na co nam koniecznie chcesz bałamucić dziecko? Powiedz czego chcesz? damy ci co możemy, a nie zakłócaj spokojności naszej. Mówisz, że kochasz dziecię, nie dręcz go. Widok twój go burzy, nie daje mu się do nas przywiązać, powinieś mieć rozum. Jeśli w ten sposób chcesz co u nas utargować

zapowiadałam ci, że się to nie uda, mów, czego ci potrzeba?

— Ale, panie, ja nie nie chcę, tylko zobaczyć moje dziecko i pobłogosławić — rzekł Jermola powoli jeszcze i łagodnie.

— Właśnie czas, żebyś już to sobie wybił z głowy, hodowałeś je, chcieliśmy ci za to nagrodzić; dziś to skończone, dziecko powróciło do nas, daj mi spokojnie żyć z nami. Kochasz je, a zamęczasz.

— Ja? panie!

— Ty! patrz co się z niem dzieje, zwiedło, zeschło!

— Ja panie! ja! to ja! — powtórzył boleśnie Jermola.

— Już ciż nie my....

— Wy! wy go zamęczacie — wybuchnął w ostatku stary — oddałem go wam wesolym, zdrowym i swobodnym, zamknęliście i zamorzyli go tęsknotą. Dziecię mnie kocha, bo inaczej nie miałyby serca, wy uczucie je niewdzięczności!

— Czy ty stary oszalałeś? — oburzył się pan Jan — co to jest? śniesz mi to mówić? Wynos mi się ztąd natychmiast. i żeby tu noga twoja nie postala.

Jermolę osłupiał, zadrżał, wstrzął się, chciał mówić coś, ale słowa nie znalazł.

— Wypędzacie mnie — rzekł wreszcie — pójdę, pójdę, i noga tu moja nie wróci; ale pamiętaj człowiecze, że tak, jakście wy mnie odebrali to dziecko, tak Bóg sprawiedliwy wam je odbierze.

Rzuciwszy to straszne przekleństwo, które nadbiegająca matka, by wstrzymać męża, usłyszała i krzyknęła boleśnie, Jermola prawie nieprzytomny, ostatkiem sił zbiegl z ganku i przeszedł dziedziniec, nie oglądając się za siebie.

Pan Jan zapóźnie opamiętał się, poczuł popełnioną krzywdę, słowo proroctwo serce mu przebiło. Odechodzący starzec był dlań wyrzutem; sam nie wiedział co począć, rzucił się w głąb domu, gdy na ręce prawie omdlała padła mu żona. Chcieli zaraz posłać po Radionka, żeby dogonił staruszkę i z nim ich pojednał; ale gdy do przyległej weszli izdebki, znaleźli dziecko omdłałe, zbladłe jak marmur, zimne, i nim się go dotrzeźwili, Jermola już był daleko.

Wieczorem przywłókł się biedny do starej kozaczki, żeby się poskarżyć i poradzić, bo tydzień już nie był u niej, chodząc nieustannie do Małycezek; ale nie wiedział, że wdowa od trzech dni zachorowała, i wszedłszy dopiero na próg nderzyło go, że okienka w chacie były wyjęte, trumna stała wśród świetlicy, a przed izbą bractwo z chorągwiami, krzyżem, i ksiądz z księgą mający towarzyszyć pogrzebowi.

Jakby przebudzony ze snu popatrzał Jermola długo, długo, przykląkł i począł się modlić.

— Nie ma i jej! nie ma! czas umierać — rzekł czując po ciele przebiegający jakiś dreszcz złowrogi — trzeba ją odprowadzić na mogiłnik i rzucić garść piasku na jej domowinkę....

Mileżący postął przy drzwiach na kiju oparty, powlókł się za orszakiem pogrzebowym, w którym zięcia ani córki nie było, sami obcy i domownicy, czeladź i dalecy krewni.

Cmentarz był między dworem a chatą Jermolę, w tę stronę poszli z pogrzebem, a wśród nroku szereg światła, z którymi bractwo towarzyszyło trumnie, rozwijał się długim sznurem oświecając rozwite chorągwie. Mogiła już była wykopana przez Chwedora, żół-

ta glina kupą leżała nad nią, poświęcił ją ksiądz i spuścił do dołu staruchę, a kto żyw rzucił jej garść piasku z pożegnaniem na oczy.

Jermola dopełniwszy obowiązku, powoli nieprzytomny powłókł się machinalnie do starej chaty; nie było mu tam było.

Huluka, który się już tutaj niemal za pana uważał, i choć dobre chłopię, trochę miał staremu za złe, że mu zawadzał, zastał w progu na pełnych nadziei rozmyślaniach. Chłopen zdawało się, że gdyby nie Jermola, mógłby ogródek i piec wziąć na siebie, ożenić się z Pryską, i wyjść na poważnego rzemieślnika. Dawny opiekun już mu dziś zawadzał.

— Co tu słyhać? Nie przysylali od kozaczychy jak zachorowała? zapytał przybyły.

— Jakże nie! stara ze trzy razy pędzała po was Chwedora, chcąc się widzieć i coś wam powiedzieć, ale was nie było....

— Ha! ha! powiedziała już ostatnie słowo! — obojętnie jakoś wyrzekł Jermola wchodząc do izby — nie ma co mówić dalej, skończyło się, wszystko się skończyło.

Powtarzał te wyrazy z kąta w kąt kręcąc się po izdebce, potem usiadł na ławie i zadrzemał staruszek, a Huluk wyszedł ruszając ramionami.

— Nie wiedzieć co temu staremu — mruczał do siebie — poszedłby z torbami, i po wszystkim. Jabył się z Pryską ożenił i wszystko byłoby dobrze, a dopóki on tu siedzi, jak o tem pomyśleć? Ot bieda!

W tej izdebce przed laty tak czystej i porządnej, teraz nieład i opuszczenie panowało, znać było, że nikt się o nią nie troszczył. Sprzetu część zabrał Huluk do drugiej izby, część stary sam porozdawał, reszta pyłem

i śmieciem przyrzucona leżała. W piecu ognia oddawna nie było, ani zapasu drewek, ani tych wkolo porządków gospodarskich, resztki niedotłuczone leżały tu i ówdzie po podłodze. Stary już i na to patrzeć nie mógł. Rano gdy się obudził, zdawało się, że miał ochotę wziąć się do czegoś; ale tak mu się wszystko wydało smutnem, przykrem, zatrutem, samo miejsce tak nienawistnem, że pierwszy raz pomyślał opuścić je na wieki.

Nie mógł wyjść za próg, żeby się oko jego nie spotkało z dębami, pod którymi dziecię, pociechę lat swych starych, znalazł w białych pieluchach; z okolicą, wśród której zabawiał się Radionek weselo igrając. Wspomnienia te zbyt były żywe jeszcze, nadto gorzkie, żeby je przenieść mógł starzec, nstawicznie obcując z niemi.

— Pójdę powoli w świat, z modlitwą, niech im Bóg przebaczy! — powiedział sobie — od kościoła do kościoła modlić się za dziecię moje, a coym tu teraz robił? Nie ma miejsca dla mnie, nie ma ludzi moich, torby na plecy, kij w rękę i w świat. Nie przydałem się na nic więcej.

I wyjął trochę grosza zachowanego z kryjówki, żeby, gdy śmierć gdzie zaskoczy u obcych, choć pogrzeb i nabożeństwo za duszę zrobić było za co, trochę odzieży narzucił na plecy, chust w sakwy, worki na sznurze przewiesił przez plecy, i tak już gotów będąc do drogi, zawołał Hułuka.

Ten wyszedłszy z drugiej izby, njrzawszy go w nbrańniu żebraczem aż się przeląkł odgadnionej myśli swojej, serce mu zabilo, pożałował starego, odechciało mu się i żony i gospodarstwa.

— No! ja idę w świat chłopce — rzekł stary po-

woli — com miał, to ci tu zostawiam, żyj z Bogiem, daj ci Boże szczęście na tem miejscu, a dłuższe jak moje. Wszystko co tu jest, twoje, jeśli kiedy tu zajdę, nie odmówisz miejsca i wypoczynku. Niedługo mi się tulać i ludziom narzucać.

Huluk rozplakawszy się upadł mu do nóg, bo sierocie i ta trochę sprzętu była wielkim datkiem, i żał się zrobiło Jermoly.

— A! czyż już idziecie? — zawołał.

— A co bym tu robił? — westchnął stary — kozacychę ponieśli na mogiłki, Chwedko chory może nie wstanie, nikogo już nie mam we wsi znajomego i przyjaciela.... Dziecka mojego nie ma! nie ma!

To mówiąc otarł łzy ciskające się do oka, i ruszył, a zdawało mu się, jakby się wkoło niego cały świat okręcał. Huluk widział go przechodzącego przez wieś, naszczekujące już nań psy, które go dawniej znały, potem wlokącego się ku lasowi i nikuącego na drodze do miasteczka.

We trzy dni potem, gdy dziecię coraz bardziej chorowało, a lekarz świadomszy przeszłości, bez ogródki oświadczył rodzicom, że je dać potrzeba staremu Jermole, by wróciło do pierwszego życia, strawy i pracy do której przywykło, oboje rodzice przybiegli z nim razem do Popielni. Jakież było ich podziwienie, jaki płacz Radionka, gdy starego już tam nie znaleźli, gdy dowiedzieli się że poszedł w świat zebrać nie chleba, ale zapomnienia przeszłości.

Ta wielka i pocziwa boleść piastuna trafiła wreszcie do serca rodziców, poznających się zapóźno na

swoim błędzie, a nadewszystko przerażonych żalem i płaczem dziecka, rozpaczającego po przybranym ojcu. Rozesłano zrazu na wszystkie strony szukać Jermoly, ale gdy go nie znaleziono, rodzice powracając do pierwszego, trochę radzi już byli, że ich stary niepokoić nie będzie, sądząc, że dziecię zapomnieć o nim musi.

Tymczasem Radionek, który u rodziny miał imię Julka, wśród pieśszot usychał; nie go nie bawiło, nie zajmowało, nie skarzył się, ale był smutny, starał się uśmiechać, ale widocznie tęsknił, choroba nieokreślona, niezbadana, wycieńczała go powoli. Na chwilę czasem rozbawił się gdy go puszczono w ogród, w las, samęgo jednego, lub pozwolono puścić się konno; choć rodzice obawiali się tych rozrywek i samotności dla dziecka, i rzadko mu je dozwolali.

Jermola błędził w początku ze swoją tęsknotą od wsi do wsi, od kościoła do kościoła, modlił się, chodził, zmieniał miejsca, nsilował przywyknąć do tego życia błędnego, zmiennego codzień, wystawionego na tysiące niespodzianych wypadków i niewygód, które ma swoje przyjemności dla człowieka-sieroty, gdy mu kąt obrzydl rodziny. Ale z nim szła wszędzie nieodstępna boleść, wspomnienie spokoju, pogruchotanych nadziei i ukochanego dziecka.

Jeszczeż gdyby choć ono było szczęśliwe, ale w krótkich chwilach, gdy mu się z niem widywać pozwalano, nie tylko z twarzy odgadł stary smutek wychowawca, widział go w słowach, łapał w przypomnieniach młodości. Radionek ze łzami mówił o Popielni i szczęśliwych godzinach spędzonych w starej karczmie, nad

prostym garncarskim warsztatem; nieraz wyrwało mu się słowo znaczące, „O! gdyby się to wrócić mogło!”

Niepokój coraz przykrzejszy owładał starcem, gdy myśląc o Radionku począł przewidywać, że rodzice sposobią go do nowego życia, umorzą dziecię zbytkiem troskliwości lub obejściem zimnem i surowem. Kochali go ojciec i matka, ale ich miłość wielce się różniła od przywiązania Jermoly; przywykli sami do surowości rotmistrza, byli dla dziecka czuli w sercu, choć powierzchni zimni, nie wiedzieli zresztą jak się z niem obchodzić, nie umieli doń przemówić, bo go od dzieciństwa nie wykołysali. Radionek mniej ich roznmiał, obawiał się więcej. Słowem, przybrany ojciec był dlań prawdziwym; prawdziwy, przybrany tylko.

Im dalej od Popielni i Małyczek odchodził starnszek, tem znowu więcej go powracać koreciło; i tak dnia jednego skreślił powoli z drogi, zawracając się ku wychowawcowi, postanowiwszy jeszcze choć zdaleka go zobaczyć, lub przynajmniej o nim się dowiedzieć. Nogi dziwnie mu służyły w tej drodze, nigdy się nie czuł tak lekkim, a choć miał trzy mile przed sobą, zrobił je w dniu jednym, i ku nocy stanął w Małyczkach. Trzeba mu było całą wieś przechodzić, żeby się dostać do karczmy, w której choć się obawiał być poznanym, musiał noclegu szukać. Po drodze naturalnie wpadła mu w oko chata Prokopa garncarza, ale jakże się zdziwił zobaczywszy ją pustą, ogród napół rozgrodzony, gruszę pod którą był piec prawie uschłą, a piecysko same zarosłe chwastami na kształt starego pogorzelska. W chacie nikt już zdaje się nie mieszkał, bo okien w niej nie było, części odartego dachu brakowało, zrab jej zapadał w ziemię, drzwi tylko kołkiem

jeszcze podparte nie wpuszczały do środka.

Latwo się było domyśleć jak do tego przyszło, córka Prokopa wyszła do drugiej chaty, zięć, choć oba grunta trzymał, tej nie potrzebował, najemnik się nie trafił, i po pół-rocznem zajmowaniu jej przez rekrutkę, stara sadyba opustoszała.

Dziwną to myśl zrodziło w głowie Jermoly.

A gdybym ja — rzekł — za co za to najął sobie tę chatynę i w niej osiadł, możebym czasem mógł dziecko moje zobaczyć? Ktoby tam wiedział o mnie! Możeby i nie poznali, możeby nie postrzegli, choć nocką podkładałbym się pod okienko mojego Radionka.

Lzy zakręciły mu się w oczach, stanął i począł żałować starego Prokopa, gdy z ogródka, gdzie wybierano właśnie konopie, kobiecy głos dał się słyszeć:

— A co tak dziadku stoicie na drodze, jeszcze was kto przejedzie, furmanki z góry idą.

Spojrzał Jermola i poznał mówiącą, byłąto córka Prokopa, Nascia, która sama z dziewczyną parala się w ogródku; znać go nie poznała. Zdało mu się z mowy, że powinna być dobrą kobietą, i podumawszy zbliżył się ku niej do płotu.

Hożato była w siłę lat i zdrowia niewiasta, słuszną, zbudowaną mocno, barczystą, pięknej twarzy, nieco może zaotyła, ale taka właśnie służyć mogła za typ pięknej naszej wieśniaczki. Twarz jej z żywym rumieńcem zdrowia, z oczyma czarnemi, z wiśniowemi usty tchnęła wesołością, swobodą i siłą; a białe zęby okazujące się w każdym uśmiechu, odbijały swym blaskiem od nieco ogorzałego lica. Byłato w istocie dobra, litościwa, trochę załotna, ale i bardzo gospodarna kobieta, nie od tego, żeby się nie pośmiać i nie pożartować, ale

uatka troskliwa i żona wierna. Mąż jej, syn najbogatszego we wsi Kolesznika, mały, blade, chuderlawy, słabowity, tak jej słuchał jak matki i ojca, a obawiał się jak ognia, kochał ją, że i bić się i zabić dał był gotów za Naścię.

— Nie poznaliście mnie, Naściu Kolesznikowa — rzekł pociechu przybliżając się stary — a toćto ja Jermola, stary wasz znajomy, com to się garncarki uczył u Prokopa ojca waszego.

— Jakto? wy? z torbami? na żebracze? A coż się to z wami stało? Mielicie chleb w ręku, nie już starość?

— Oj! długoby gadać! Wiecie zapewne, wychowałem waszemu panu syna.

— Toćto o tem cały świat gada....

— Odebrali mi go.

— Zachcieliście, tożto było ich dziecko, nie wasze!

— Ależ moja Naściu: potrosze i moje, teraz mi na nie już patrzeć nie dają, jakbym ja, broń Boże, urok miał rzucić na mojego chłopca. Skwaśniało mi życie, tu nie puszczają, w Popielni samemu tęskno, bo nawet kuma kozaczycza umarła, więc puściłem się w świat.

— Biedny stary, to wam tak było żal tego dziecka?

— Było moje jedyne, rodzone, a tu mi je tak wzięli.... Poczęło schnąć, słabnąć, Bóg wie co z niego będzie. Mnie nawet dostąpić do niego nie dają, powiedzcie, mająż oni Boga w sercu? Sam pan mnie przepędził, żeby tam noga moja nie postąpiła.

— A! czyż to może być!

— Kłnę ci się na Chrystusa Pana, że tak było!

— Aj! krew Rotmistra, będzie z niego drugi bat'ko — zawołała ciszej nieco Naścia, oglądając się — patrzcie! dobrodzieja swojego tak wygнали.

— Otóż, com ja wam mówił, musiałem pójść w świat, a jakim wyszedł, tak mi się znów za dzieckiem tęskno zrobiło, i powróciłem, żeby je choć zobaczyć.

— A widzieliścież?

— Nie, tylko co idę.... a sam nie wiem dokąd.

— To wstąpcie do nas.

— Bóg zapłać Naściu, niech ci na dzieciach to wróci, nie mogę, zobaczyliby mnie, rozgadali. Ja nie chcę, żeby już o mnie we dworze wiedzieli, abym dziecko choć z daleka zobaczył, pójdę dalej. Ale powiedzno mi, co to, Prokopowa chata pustuje?

— A cóż popsula się, nie było komu po tej rekrutce mieszkać, nie naprawiliśmy, jak upadnie, ogródek się powiększy.

— A nim upadnie?

— Ot! będzie sobie stała jak jest.

— Żebyście mi w niej jaki tydzień pozwolili przemieszkać, jabym zapłacił.

Naścia się rozśmiała.

— Za co? za przemieszkanie w pustce? A to możemy Sydorowi łaskę zrobicie jeszcze, bo on by chciał chatę utrzymać, jakby był kto, coby ją podpierał i pilnował, powstałaby dłużej. Jeżeli myślicie tu posiedzieć, przysłałabym wam okienko, któreśmy wyjęli, żeby kto go nie ukradł.... Ot! i zgoda!

— Doprawdy? — spytał uradowany Jermola.

— A cóż, i owszem.

— A niechże wam Bóg płaci i szczęści! — zawołał staruszek — będę wam pilnował kąta, oczyszcze sam i wylepię, i jeszcze taki siud tud posłużę za to. Lżej mi tu będzie, bo bliżej mojego chłopaka, dowiem się co czasem o nim.

— Ano, zgoda, Sydor będzie kontent, wy radzi, czegoż chcieć? Mnie to wszystko jedno, jeszcze mi ogródka dojrzycie?

— Nietylko dojrzę, ale go wam porządniej choć kozikiem ogrodzę, byle chrust.

— Ot i dobrze! — zaśmiała się Naścia — chodźcie do nas na wieczere, pogadacie z moim, zabierzecie okno, weźmiecie trochę trzasek przepalić, bo tam mnsi być wilgotno, przenocujecie już w swojej chacie.

To mówiąc Naścia poczęła zabierać konopie, huknęła na dziewczynę i zaspiewawszy piosenkę czystym a donośnym głosem, poważnie skierowała się ku chacie nie bliższą ścieżką i przełazem, przez który można było dostać się na ogród, ale drugą, bo jej konopie ciążyły. Chata Sydora Koleśnika stała obok, ale w drugiej uliczce, tak, że dwa ogródki grzbietami się stykały, a była wcale nowa i porządna.

Na pierwszy zaraz rzut oka widać było, że gospodarz miał się dobrze, izba wielka, piękne złociste obrazy w kącie nad dzieżą, stół czysty ręcznikiem białym zasłany, chleb na nim ogromny, wypieczony aż miło, pokryty płachtą świeżą; cebry, wiadra i czerpaki jakby tylko co z targu, ciepło, skrzętnie, zasobno. Tylko sam gospodarz ani do żony, ani do chaty nie był podobny, taki chudzieńki, blady, zwiędły, zachrypły, biedny, skulony, płachtą miał zawiniętą bolącą szczękę, oko jedno zaczerwienione, brodę dawno nie goloną, a choć lat trzydziestu nie doszedł, na czterdzieści kilka wyglądał.

— Oto macie starego Jeremę z Popielni — odezwiała się wchodząc Naścia do męża, który pod piecem siedząc, fajką się na ból zębów knował — ofiaruje się na komorne do Prokopowej chaty, i jeszcze chce dozie-

rać ogrodu, byleście go przyjęli.

— Jermola! a! pamiętam, jak się macie ojcze! — powitał go spluwając po boku Sydor — co wy tu robicie?

Nie dała mu odpowiedzieć Naścia, która do innych swych przyniotów łączyła wymowę nadzwyczaj łatwą i obfitą, i poczęła zaraz obszernie historję Jermoly: a że Sydor był serca miękkiego i łatwo ulegał wrażeniom żony, zaraz się przejął położeniem staruszka i posadziwszy go przy sobie na ławie, począł gawędzić.

— A co to was boli? — podchwycił Jermola przypominając sobie dawne swe po wsi leki — możebym ja co poradził? powiedziecie?

— Nie wiem, szczeka czy ząb. Poczęło się od jednego pruchniawego zęba. a teraz poszło po twarzy i głowie, że cała rwie i swedzi.

— A nie próbowaliście choć przykrego, ale skutecznego lekarstwa, wykurzyć lulkę mchu dębowego?

— Ot, nie.

— Tylko ten mech potrzeba umieć wybierać — rzekł Jermola — a jest u was dębina?

Pełne podwórko.

Jermola zaraz się ruszył szukać, znalazł łatwo przysuszone porosty, osuszył, oczyścił z wiórek kory i lulkę nałożył biednemu Syderowi. Zapalono ją, smród przykry rozszedł się po izbie, aż Naścia kichać zaczęła, ale czy skutkiem tego lekarstwa, czy innego usposobienia, ulżyło zaraz mężowi i nie mogli się staremu oddziękować. Gęba tylko mu puchnąć zaczęła, ale choroba się przesiliła.

— Już niech sobie puchnie — rzekł Sydor — aby nie bolało, bo myślał się na ścianę drapać.

Tym mehem zyskał sobie przyjaciela Jermola, dano mu okienko, przygarść trzasek do pieca, łuczynkę na podpał. Naścia nakarmiła go jeszcze i wetknęła garmszek strawy na jutro, a szczęśliwy Jermola poszedł przez przelaz na nową sadybę.

Nie ma smutniejszego nad pustkę po człowieku, każda wieje śmiercią i trupem. Chata Prokopa już opuszczona od kilkuniesięcy, wszędzie pleśnią i grzybami porastać zaczęła, w szczelinach jej ziarna traw i zboża zablakane, puszczały żółte, blade, pozbawione światła, wyciekłe porostki, wilgoć sączyła się ze ścian, tok okrywały mchy siwe, a niezliczone robactwo królowało już w ruinie. Ale dla Jermoli wszystko się to wydało dobrem, i rade dać sobie umiał, ożywiony zbliżeniem do swego dziecięcia, pokrzepiony nadzieją widzenia go.

Założył okno, rozpałił ognia, wymiółł, wytarł, drzwi otworzył i dwie lawy jako tako zestawivszy do kupy, podesławszy worki, położył się na nich spocząć po dniu długiej i ciężkiej, lasowej a piaszczystej drogi.

Nazajutrz cały dzień spędził w chacie krzątając się około oporządzenia izby, trochę Naści podpomógł w ogródku, a pod wieczór dobrze znając dwór i ogród, na wszelki wypadek pociągnął drogą ku niemu. Wybrał się już o późnym zmierzchu, ażeby go nie poznało, i nie zawrócił do ganku, gdzie tyle razy niegościnnie był przyjęty, ale poza sadami ścieżką włókł się powoli w odzieniu żebraczem. Drożyna ta wiodła, okrążając zabudowania, na drugą stronę ogródka, z której widać było ulicę wyprostowaną, dwór i na przestrzał miejsce, gdzie się najczęściej Radionek przechadzał. Puszczano go tu samego, bo sad był częstokolony, nie-

wielki, a dziecko wyjść dalej z niego nie mogło. Ale dnia tego pusto było w ogrodzie, i Jermola patrząc przez szczeliny częstokołu, nikogo nie zobaczył prócz ogrodniczka. Świeciło się w okienku Radionka, na to światło popatrzał stary, westchnął i nazad powrócił.

Jakoś mu przecie lżej się zrobiło na sercu, gdy się uczuł bliżej dziecka i gotowym przyjąć mu w pomoc, zakrzętnął się koło gospodarstwa, przekąsił i spać się położył prawie weselo. Naścia nie zapomniwała o jego wieczery, znalazł na piecu garnuszek starannie przykryty, pełen kaszy, którejby i na dwa dni stać mogło.

Nazajutrz tak samo dzień przepędził i bez przerwy codzień chodził Jermola do dworu, aż wreszcie udało mu się Radionka spotkać przechodzącego uliczką pod częstokołem. Nie wytrzymał, syknął na niego, a chłopak jak wryty się zatrzymał.

— Radionku — zawołał Jermola — na miłosierdzie Boże, przyjdź do mnie i powiedz choć słowo.

Na ten głos tak znajomy, choć stłumiony i cichy, chłopak wzdrygnął się, poskoczył i jednym rzutem był już na płocie.

— A! ojcze! to ty! co tu robicie?!

— Cicho! cicho! nie wydaj mnie... Przyszedłem dla ciebie.

— Dawno?

— Dni kilka.

— Gdzie siedzisz?

— W pustce po starym Prokopie... O! nie wydawaj mnie, będziemy widywać się co wieczora... ale bądź ostrożny synku.

Radionek pokraśniał, zawrzał, ale w tem ktoś nadzedł, głos dał się słyszeć w ogródku, stary znikł za-

raz, a Julek udał, że po gniazdo wdrapał się na ogrodzenie.

Zganiono mn niebezpieczne wdzieranie się na wyżynę i odprowadzono do domu, obawiając się padającej już rosy, nikt jednak nie postrzegł zmiany, jaka zaszła w dziecięciu, Radonek nie spał noc całą.

Nazajutrz nie było zabawy, tylko w ogródku. Wieczorem znown przydybał Jermołę, znaleźli miejsce gdzie się częstokół rozszedł, i wygodniej pomówić z sobą mogli. Ale krótką chwilę trwała ta rozmowa, stary odszedł z niej pomieszany i niespokojny. Serce jego było szczęśliwe, ale walczyło z smutkiem. Radonek prosił i zaklinał, aby go zabrał z sobą i z nim razem daleko od Małyżek uciekał, tak mn tu życie nieznośnem się stało.

Codziu więcej na przybyłego brata przelewała się wszystka miłość rodzicielska. Julek przestał być dla nich ulubieńcem, stał się prawie zawadą i natrętem; wyrzucano mn jego smutek, milczenie, chorobę, nazywano szydersko chłopskiem dzieckiem.

Nie brakło mn wprowadzić nie prócz serca, ale przywykły do starego ojca swego, najmniej umiał znieść ten niedostatek.

— Jakże ja ciebie zabrać mogę? — mówił mn stary — wszak to są rodzice twoi, powiedzą, żem cię ukradł. Tyś przywykł u nich do wygod. jak ja ci wystarczę? gdzie się skryjemy oba? Dogonią nas i znajdą, a wówczas twoja i moja pogorszy się dola.

Ale dziecię miało odpowiedź na wszystko, a Jermoła słabnął. Rodzice nie kochali jak ojciec przybrany, on tu żyć nie mógł, wygod nie potrzebował, bo za przysmak odkradał sługom chleb razowy, żeby sobie

młode lata przypomnieć, za co go karano i naganiano niemal codzień. — Skryć się — odpierał Radionek — było łatwo idąc gdzieś daleko, w strony nieznane... Był siermiężka i jakie takie okrycie, któżby go poznał?

Na pierwszą tę myśl rzuconą otworzyła się, uśmiechnęła dusza Jermoly, ale wkrótce zasmucił się niepodobieństwem wykonania jej, niepokojem sumienia. A mążby go w drodze tej śmierć gdzie zaskoczyła. i dziecię samo zostało bez opieki? Godziłoż się je wyrzucać lepszemu losowi? Stary wyrzekał już sam sobie że przyszedł, podrażnił Radionka, i namyślał się uciekać ze wsi, aby dłużej na tę próbę nie być wystawionym.

Chciał to wykonać prędko, czuł bowiem, że Radionek coraz silniejszy wpływ wywiera na niego, ale wieczorem, gdy przyszedł pod ogródek, musiał go wydać czy głos drżący i lez pełny, czy nieostrożne jakieś słowo; chłopiec bowiem mileżaco się z nim rozstał, ale jakby z stałym jakimś postanowieniem.

Łedwie wróciwszy do chaty, począł się zaraz nocą wybierać biedny włóczęga, i przy świetle łuczywa sakwy swoje pakował, gdy drzwi powoli się otworzyły, i wyrostek w siermiędze wpadł do izby. Nie poznał go zrazu stary po tej odzieży, ale czegoś mu serce zabilo, był to Radionek przebrany w suknię odkradzioną parobczakowi z folwarku. Piastun na widok jego przełknięty zakłamał ręce i drżąc począł cały.

— Nie bójcie się, to ja! idę z wami! — krzyknął rzucając mu się na szyję — prędzej, prędzej, dopóki się nie postrzegą, żem uciekł. W torby nabierzcie chleba, pójdziemy głęboko w lasy, a jutro już nas nie

dogonia! Gdzieś daleko znajdziemy chatę, dobrych ludzi, brzeg rzeki, dołek gliny, i znów zaśpiewamy lepiąc garnki, ojcze drogi!

Staremu mowy i techn brakło.

— A! dziecię! dziecię! coś zrobił!

— Com ja zrobił? Wczoraj jeszcze ojciec, dawniej matka wyrzucali mi, że m ich miłości i starań nie był godny. mówili mi sto razy, idź i szukaj sobie swego przybranego ojca, powróć do dawnego życia, które ci tak milem było, że i przy nas tęsknisz za niem jeszcze, nam Władzio wystarczy. Oni mi sami to radzili...

Wielkiej potrzeba było z jednej strony siły przywiązania, z drugiej słabości, żeby Jermola dał się namówić na uczynek, który za ohydny poprostu kradzież uważał. ale dziecku oprzeć się nie było sposobu, Radionek prosił, zaklinał, całował, padał na kolana. Stary oszalał i najawszy go za rękę, wybiegł z chaty.

Noc była, choć oczy wykół, ciemna, szczęściem pogodna i dość ciepła, wiatru najmniejszego. Wieś oddawna już spała. gdzie niegdzie tylko obudzony na przyzbie pies naszczekiwał, kur młody zapiał niedoświadczonym ochrypłym głosem, a w dali zwierzęta nocne, sowy i pułacze, odzywały się głucho naprzemiennie, jak strażnicy rozstawieni na czatach. W milczeniu przeszli Malyczki, znaleźli się za kolowrotem i przełegnawszy się u figury na rozdrożu, oślep puścili się drogą wiodącą w moczary i zarośla, a niemi w głąb lasów, któremi dostać się było można aż ku Litwie. Dla ostrożności potrzeba było iść choć bez żadnej ścieżki, w jednym pewnym kierunku. Stary Jermola, który wiele dawniej polował, miał błądzić po pu-

szczach, sterując sobie to światłem nieba, to drzew mchami. We dnie spodziewał się dać łatwo rady, ale nocą nie sądził, by podobieństwem było zbić się z jakiejś drogi, a utrzymać w jednym kierunku. Obrął więc ścieżynkę małą, leśną, wiodącą do pieca smołowego o milę położonego, w ostępie Smolna zwanym, i postanowił nią iść do brzasku, a o pierwszym dnia świcie, puścić się dalej bez drogi ku północy.

Starzec i chłopię ruszyli w milczeniu modląc się pocichu. Radionek zdawał się odżywiać i dotrzymywał kroku Jermoła; aż gdy ich las dokoła ogarnął i pokrył, swobodniej odetchnęli oba.

— A! ojcze — rzekł zbieg — dwa, trzy, pięć dni cierpliwości, wysiłku, a znajdziemy się gdzieś na czużynie i będziemy spokojni, nikt nas tam nie dopędzi, nikt nie pozna.... Chleba nam na tyle wystarczy, widziałem w torbie. Nie potrzebujemy do żadnej wsi wstępować, woda jest w źródłach po lesie, a choćby i z liści drzew pić przyszło, nie pomrzemy z pragnienia. Dniem będziemy po gęstych odpoczywać ostępach, a nocą i rankami iść dalej a dalej.

Stary westchnął widząc jak się to młodemu wszystko łatwem wydawało, nie chciał dziecka przestraszać, ale czuł, że obn im wkrótce sił może zabraknąć, że w lesie tysiąc zawał i niebezpieczeństw spotkać ich może.

Lada kto też uciekających bez drogi nierzawszy, mógł zatrzymać, a schwytanych wydać w ręce sądu.

Wszystko to, i daleko więcej myśli przechodziło do głowy staremu, ale uśmiechnął się w milczeniu i słuchał szczebiotania dziecka, którego tak długo był pozbawiony, nie mogąc się niem nasycić, nie chciał go zbijać, nie miał siły.

Może strach sam ich tak pędził, że na długo przednem stanęli u pieca w Smolnej, gdzie się ich drożyna kończyła; dalej nieznaczone już tylko, drobne smugi kołami porobione krzyżowały się, wskazując, którędy po szurki łuczywa jeżdżono. Noc była jeszcze szara, dalej już iść trudno; stary postanowił wypocząć, pewien, że ich tu szukać nie będą. Rozpalili ogień, dostawszy węgla i trzasek, a Radionek wesolo przypadł do nóg starego.

— Nie! — rzekł — nie, ani mnie gonić, ani żalować długo nie będą, na co ja im potrzebny? Oni mnie, ja ich zrozumieć nigdy nie mogłem. Matka ma Władzia, ojciec ma Władzia, bezemnie lżej i lepiej w domu będzie.

Westchnął jednak.

— Kiedyś — rzekł — później, później, powrócę tam, do matki; ale teraz tak mi tam żyć było ciężko! Byłbym umarł z tęsknicy, byłem zamknięty, nikt się do mnie takim jak wy nie odezwał glosem... Com tylko zrobił, zawsze mi powtarzali, że to chłopska nauka, że chłopci tylko tak robią. Ja chłop jestem, oni panowie!.. Żał mi Władzia, który tylko się do mnie uśmiechał i wyciągał ręce....

— Dziecko kochane — rzekł Jermola — nie mów już o tem, oni tam płaczą może i mnie przeklinają. Serce mi zakrwawiasz, jam ich zdradził.

— No! to mówmy o Popielni! Pamiętasz ojciec nasze garnuszcзки, nasze z Chwedkiem wyprawy na jarmarki, i jakieśmyto radzi byli, kiedy się nam pierwsza polewa udała!

— A! nie wróćą te czasy! — przerwał stary.

— Dlaczego wrócić nie mają? — zawołał Radionek.
— Ja nic nie zapomniałem, o! nie! Choć mi zabra-

niali, lepiłem sobie garnki z gliny, którą mi przynosił łwanek, i polewę panietam. Założym znowu piec, zobaczycie jak to pójdzie!

Tak gwarząc, usnęli zmęczeni obadwa, a gdy się ocknęli obudzeni przez wilgę, która im kula nad głowę przyspiewując, dzień już szarzał dobrze. mgła się była rozpostarła gęsta. Stary porwał się żywo i poczęli iść dalej ku północy, kierując się mechami na drzewach.

Wnętrze puszczy naszych, jakkolwiek wytrzebionych i wyciętych, zniszczonych i powypalanych, jeszcze przypomina stare dzieje świata, są w nich miejsca dzięki, samotne, ledwie stopą ludzką dotknięte, zagęszczone, splecione, przez które człowiekowi przedrzeć się trudno. Tam zwierz dziki zakłada gniazda swoje, i odpoczywa z szumem tylko drzew nad głową. Walące się tu od wichrów kłody, spadają jedne na drugie i pruchnieją stosami, porastając mechami i krzewami: oplata je chmiel dziki, opasują bujne chwasty. Tu i owdzie sączy się przez warstwy niedognitych liści strumyk czarny, wiodąc za sobą odrębną roślinność, trzymającą się jego brzegów: gdzieniegdzie rozlewa się szerzej w trzęsawice i błotko, rokitną i trzeiną zarosłe; to znów opada, ścioka i przerzyna się ciasno wymytemi rozpadlinami. Naprzemian to gęszcze ciemne, polanki i łąki, to bory wypalone i przezroczyste, to zapusty młode a ściśnięte, to znowu błota. niziny, zarosła. Najsmutniejsze ze wszystkiego są przestrzenie, przez które przeszła puszcza nieostrożnie pożoga, z wysokimi okopconymi pałami, żółtymi sosnami galeźniami, zniszczonymi trawami, ciężko, choć później bujnie porastającymi na pogorzeliskach. Czasem wśród majestatycznej

ciszy zaszumi ptak, zaszeleści swawolna wiewiórka, przeciągnie kruk krakając głodny, lub czarny bocian, mieszkawiec niedostępnych lasu głębin; skoczy koza pierzchliwa, i znown milczy pustynia poważna, drzemiąca staruszka. Im dalej idziesz, tem mniej śladów ludzkiej stopy, zrazu to droga, to ścieżka, to wydeptane przejście, to pień ścięty, to na ziemi struga trzasek żółtych, gdzie ciosano belkę; to buda myśliwców, którzy siedzieli na tokach lub czatowali na słomki, chata strażnika, dół węglarza, wypalona sosna pastusza, przy której ogień nieca; potem tylko bydłące ślady, potem żadnych, bo zwierz ich po sobie nie zostawia prawie, wprawne ledwie je wysłodzi oko.

Drugiego dnia, gdy się zapuścili wgląb' puszczy, ciągnącej się pasmem długiem, już rzadko spotykali te puszcizny po człowieku, cisza była głucha, a rzadkie ciupanie siekiery w oddaleniu, zmuszało ich do okrążania miejsca, w którym się slyszeć dawało. Stary kierował się światłem i mchami, zawsze idąc ku północy; nie spotkali i nie widzieli nikogo, a na noc rozłożyli się na suchym pagórku tak obrosłym sośniną starą, podszytą leszczynami, że śmiało mogli tu ognia rozpalić i nie obawiać się, by ich miał zdradzić. Jermoła miarkował, że dosyć już byli od Małyczek daleko, a gonić ich tak jak oni szli, nikt nie mógł. Na śliskiej powierzchni leśnej ziemi, pod borami sosnowemi, ludzka noga nie zostawia żadnego śladu: przypadek chyba mógł ich wskazać pogoni.

Oba podróżni uczuli się zmęczeni i z rozkoszą zjadłszy suchego chleba, napiwszy się z bańki wody, której im strumień leśny dostarczył, spać się pokładli przy nanieconem wysoko ognisku. Jermoła upiekł trochę

kartofli, których nabral z sobą, i te stanowiły przy-smak wieczery. Radionek wesół był, ale milczący, piersi jego często brakło siły do oddechu, tak się był przyzwyczaił do innego powietrza i powolniejszego chodu. Na dobranoc zaśpiewał im kos zabłąkany, którego obudziło światło, zaszumiał las wiatrem przelotnym, ślizgającym się po jego wierzchołkach, i znowu cisza uroczysta rozciągnęła się nad niemi i puszczą.

Trzeciego dnia lasy poczęły się przerzedzać, drzewa maleć, zarośla miejscami zajmowały ich miejsce, ziemia stawała się coraz wilgotniejszą. Czuli, że schodzili w jakąś nizinę, moczary szerokie musieli okrążyć, tu i owdzie pokazały się niezmierzone okiem błota, okryte szuwarem, i czyste jeziora.

Iść dalej w obranym kierunku było niepodobna, ale że chleba starczyło jeszcze i sił nie zdawało się braknąć, postanowił Jermola rzucić się nieco w lewo, aby ominąć niziny. Śmielszy Radionek chciał już szukać drogi, wnijść na nią i do pierwszej dostawszy się wioski, dalej już otwarcie i jawnie w głąb kraju wędrować; ale Jermola jeszcze się tego obawiał. Suchszemi więc pagórkami, rzadkawym lasem posuwali się kilka dni jeszcze, gdy na odpoczynek ostatniego usiadłszy stary, postrzegł w dziecku tak straszną zmianę, że nią przerażony sam już postanowił drogi szukać.

Dziecię ledwie się już wlokło: duch je tylko trzymał na nogach, nie siły. Odwykło od pracy, nagle wysilone, zdawało się, że co chwila paść może i nie powstanie. Błady był, zdyszany, skarżył się na zawrót głowy, a gdy padł snem zmorzony, Jermola ledwie go się mógł dobudzić. Potrzeba więc było szukać ratunku, ludzi, drogi i wioski, a tymczasem trafiwszy na opusz-

czoną budę w lesie, choć dnia jeszcze dosyć zostawało do wieczora, Jermola w niej sam udając znużonego, zatrzymał się.

Okolica w której się to działo, już nie tak była pustą jak te, które podróżni przebyli przez dni kilka przedzierając się przez gęstwiny. Tu i owdzie półko stare, trzebież, świeżo pościnane pnie, świadczyły, że wieś musiała być blisko, samo powietrze przesycone wyziewami dymów i oddechem pól, dawało poznać sąsiedztwo zamieszkanego kąta.

To uspokoiło nieco starego, ale widząc osłabłe dziecko, nie wiedział jak sobie radzić, jak odejść, gdzie i jak szukać ratunku dla Radionka. Groźne to położenie ich obn, dopiero tu w całej sile czuć się dało. Polecając się opiece Bożej, ostatkiem własnych sił nadwątłych, Jermola jął się dla wychowawca przysposabiać pościolkę z liści suchych w kątku budy, a prze-myślał, jakby się na wieś na zwiady dostać, gdy zaśnie. Dziecko osłabłe, napiwszy się tylko wody, upadło na posłanie i zasnęło snem kamiennym; starcowi także nogi drżały, w głowie się kręciło, czuł potrzebę odpoczynku, ale użyć go nie śmiał. O kiju powlókł się rozpatrzyć w lesie i szukać wsi, którą już czuł niedaleko.

W istocie widać było za gęstemi zaroślami w prawo czarne sioło, dosyć długim szunrem nad jeziorem rozsiadłe, najeżone staremi gruszami, żnrawiami stndzień. z dwiema kopułkami starych cerkwi po dwóch końcach, i małym dworkiem na dawnym gródku wśród wałów wysokich, zapowiadającym, że nie sam dziedzic, ale ekonom mieszkać tu musiał. Stary wpatrzywszy

się w nie, poznał, że to nie było polesko-wołyńskie siolo, ale kraj jakiś inny, różny od niego, choć podobny, błotnisty, płaszczysty i posępniejszy. Przekonywały go o tem i budowa chat inna, i wydmy piaszczyste, i szerokie wody jeziora, i świerki przy cerkwiach rosujące. To mu się kazalo domyśleć kobryńskiej Dusi lub okolic Pińska. Zadałoko jednak iść było na wieś po ratunek, dziecko tak same zostawiając w tej bndce pod noc zbliżającą się i za chwilę przyjść mającą. Powrócił stary po chwili, siadł w progu, głowę sparł na uszaku i tak niespokojny zasnął, oglądając się na Radionka, którego twarz błąda, wydawała się w cieniu marmurową. Śledził chwilami jego oddechu, przysłuchiwał się snowi, to znów zlanany powracał, przysiadł i sam oprzeć się nie mogąc gwałtownej potrzebie odpoczynku, zamykał oczy znużone.

Trochę rozpalonego ognia, podsycanego to liśćmi, to gałązkami suchemi, świeciło się pilnującich do dnia, a gdy na brzask się wzięło, już uspokojony nieco starszek, zdrzemał się na dobre.

Gdy się przebudził, ujrzał zdziwiony pogodnie nad głową słońce, ranek wkoło ciepły i pogodny, a przy sobie stojącą kobietę lat średnich, piękną choć błądą, przypatrującą mu się z uczuciem jakiegoś niewysłowionego podziwienia, zadumy i prawie smutku.

Kobieta ta słusznego wzrostu, hoża czarnooka, ubrana była w szlafroczek perkalowy, chustkę miała na głowie i strój szlachciancek, kosz do grzybów na rękę, nóż prosty i jakieś w plachcie białej zawinięte zapasy. Podniosłszy oczy na nią, Jermola równie jak ona zdziwił się i opamiętać nie mógł, otworzył usta, chciał ja-

kieś imię wywołać i wahał się, obawiał, nie śmiał, zwątpiwszy gdzie się znajduje.

Aż na krok cofnąwszy się, zjawisko owe zawołało:

— Wszakto stary Jermola?

— A! to Horpyna! to wy jejmościuniu... — poprawił się starszek.

— Co ty tu robisz?

Zmieszał się biedny zbieg i co miał odpowiedzieć, nie wiedział przełękły.

— Sam jeden jesteś?

— Nie jejmościuniu, z Radionkiem.

— Uciekliście z Popielni? Mów, co się stało?

Przed znajomą i życzliwą nie było co tać, wyspowiadał się Jermola. Słuchała go z podziwieniem, oburzeniem, zamyślona, może nie bardzo rała ze swojej strony, że się ktoś znalazł, co o jej pochodzeniu mógł tu rozpowiadać, gdzie ona je miała, chcąc za szlachciankę uchodzić, ale z litości i przywiązania do dziecka, nie odmówiła pomocy i rady.

— Darmo tu dziś myśleć o grzybach — zawołała składając nożyk — pójdziemy do wsi, mój mąż tu rządzi, jest chata pusta po kowalu podedworem, tymczasem was tu przytulimy.

Jermola rzucił się i za nogi ją uściskał, a potem zaczął budzić dziecko... Ale noc całą Radionek przepełdził w gorączce, gadał przez sen, czego stary nie słyszał, rzucał się; a teraz, gdy go przyszło ocenić, nie dawał się obudzić, ruszał się, podnosił. nie poznając nawet Jermolę i padał na posłanie, skarząc się to na żar, to na zimno.

Przypatrzwszy się bliżej niepodobna było nie poznać straszliwej jakiejś rozwijającej się choroby, Jer-moła ręce zalał przełękły.

— Zmarzł, zmęczył się, może się zły wody spo-tniały napił — zawołała Horpyna. — Nic to, nic, ale przechoruje biedactwo.

— Ale jak go przenieść do wioski? Może lepiej dać mu już tu wypocząć?

— Zapewne, nie budźcie go, to snem przejdzie — odpowiedziała ekonomowa — ja idę do domu i przyszlę tu jakie jedzenie, bo i głód może być także chorobą... Napal ognia na kominię, drzwi przytknij czem, okryj dziecko i nie ruszaj, ja mu ziółek przyszlę...

Jermola zwłókl z siebie do ostatniej siermiężki, by otulić swe dziecko, i płaczący siadł u łóżka; Horpyna powróciła do domu spiesźnie, bo Radionek, którego dzieckiem na rękę nosiła, wzbudzał w niej serdeczną litość.

Nierychło przyszła ze dworu przysłana strawa, chleb świeży, woda, ziółka, wódka dla Jermoły, i chłopiec, który miał zostać dla usługi przy starym, ale Radionka i teraz zbudzić nie było można do lekarstwa. Twarz jego ogniem paliła, oczy otwierając się świeciły jakimś blaskiem nieprzytomnym, gorączka wzmogła się widocznie.

W głuchym lesie, wśród szumu starych sosen odegrała się ostatnia scena tego cichego dramatu wiejskiego, nieprawdopodobnego może, gdyby nie był prawdziwy....

Drugiego dnia po zatrzymaniu się w budzie strażniczej, Radionek otworzył oczy, trochę oprzytomniał, uśmiechnął się do starego i promykiem nadziei go pocieszył, ale to był błysk ostatni dogorywającej lampy.

Zaczął mówić po cichu, co będą robić gdy wyzdrowieje i odpocznie, obiecywał sobie zaraz wziąć się do roboty. Przypomniwał Popielnię, Huluka, Kozaczychę, dawne czasy, Małyeczki i smutne dni tam spędzone, usiłując rozweselić starego, który płakał, choć łzy tał.

Słabnął tak mówiąc, usypiał, to znów wpadał w gorączkę, w której majaczył, płakał, z obawą jakąś porывał się z posłania, i tak skończył na rękach Jermoly, uściskawszy go za szyję.

Zastygłe białe ciałko jego długo trzymał przytulone do piersi starzec, nie chcąc go oddać mogile, słowa nie rzekł, płakał tylko łzami cichymi, wielkimi. — Wreszcie wyrwał mu się wykrzyk bolesny:

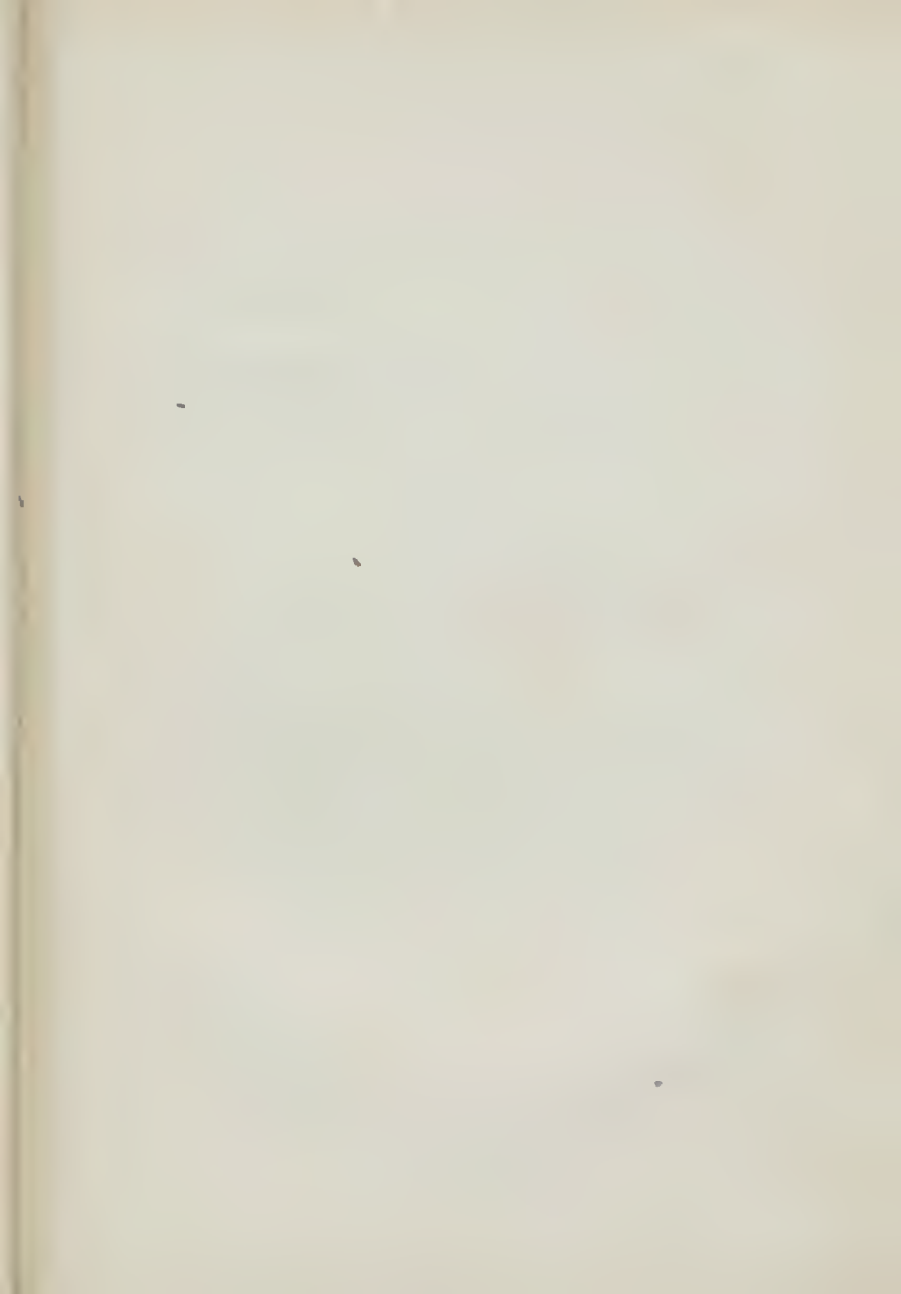
— Dziecię moje! moje dziecko — pochwycił się za głowę i uciekł nieprzytomny.

Na cmentarzu w Horodyszczu wznosi się teraz mogiła Radionka, o której lud, przemieniwszy nieco tę historję, dziwy opowiada. Nie ma na niej krzyżyka nawet, ale darń ją bujno porasta i zielonością świeżą pokrywa. Pod blizkim kościółkiem długo siadywał staruszek zgrzybiały, maleńki, zwany dziadkiem kościannym, bo też zdawało się, że w nim tylko kości same zostały.

Lud zbiegał się w niedzielę, żartując sobie potrosze z niego, bo go śmieszyło to, że na rękach trzymał zawsze w plachty zakręconą lalkę, spowitą jak niemowlę, tuląc ją do piersi i do snu jej śpiewając, *luli*, różnemi głosami, a czasem płacząc nad nią... Tym dziadkiem kościanym był poczciwy Jermola.

K O N I E C.







SPIS DZIEŁ

wydanych

w Bibliotece powieści i romansów

WE LWOWIE

od października r. 1870, aż do dnia dzisiejszego.

1. **Pamiętniki księżnej Caracciolo**, z włoskiego.
2. **Hrabia de Camors**, przez Feuilleta, z francuskiego.
3. **Klemencja**, powieść hiszpańska, przez Fernana Caballero.
4. i 5. **Klub Pickwicka**, przez Dickensa, z angielskiego
6. i 7. **Być albo nie być**, powieść szwedzka, przez Z. M. Schwartz.
8. i 9. **Gdzie winowajca?** powieść tłum. z francus. E. Gaboriau.
10. i 11. **Pieniądz i Imię**, powieść szwedzka, przez Z. M. Schwartz.
12. **Poświęcenie kobiety**, powieść Eugeniusza Berthoud, z francus.
- 13., 14. i 15. **Niccolo de Lapi**, powieść historyczna z włoskiego, przez M. d'Azeglio.
16. **Powieści mniejsze** M. W. Hohola, z rosyjskiego.
17. i 18. **Opactwo Carrow**, przez J. F. Smith, z angielskiego.
19. **Dygnitarze**, romans meksykański, przez P. de los Rios.
20. **Piękna Pani**, powieść oryginalna J. I. Kraszewskiego.
21. **O zmroku**, przez Wilkie Collins'a, z angielskiego.
22. **Synowie Barona** czyli Aniol z ulicy Westerlang, powieść szwedzka, przez Kiellmana Goeranssona.
23. **Na Cmentarzu — na Wulkanie**, powieść współczesna przez J. I. Kraszewskiego.
24. **Żona męża próżnego**, ze szwedzkiego, przez Z. M. Schwartz.
25. i 26. **Akta kryminalne I. 113.** przez Gaboriau, z francuskiego.
27. **Itina**, romans włoski, przez Wiktor Bersezio.
- 28., 29. i 30. **Pan Graba**, powieść przez E. Orzeszko.
31. i 32. **Wina i Cnota**, przez Z. M. Schwartz, ze szwedzkiego.
33. **Przeznaczenie**, powieść napisana według oryginału francuskiego w 2 częściach, przez Ludwika Enault.
34. i 35. **Wojewódzic**, powieść oryginalna, przez Gryzonja.
36. i 37. **Czarny Matwój**, powieść z życia ludu górskiego, przez Walerego Łozińskiego.
38. i 39. **Kto chce kochać, cierpieć musi**, przez Karola Reade, z angielskiego.
40. **Powieści K. P.**
41. i 42. **Zmierzchy i Świt**, powieść współczesna, przez Teofila Szumskiego.
- 43., 44., 45. i 46. **Bolesć i radość**, powieść współczesna z angielskiego, przez J. F. Smith
47. **Na dwóch krańcach**, powieść oryginalna, przez P. Wilkońską.

Z zupełnego wydania
POWIEŚCI J. J. KRASZEWSKIEGO
wyszło dotychczas tomów:

- Dwa Światy. 1, 2, 3, 4.
Chata za wsią. 5, 6, 7.
Poeta i Świat. 8, 9.
Pod włoskiem niebem. 10.
Stary sługa. 11, 12.
Dziwadła. 13, 14.
Ostrożnie z ogniem. 15.
Latarnia Czarnoksiężka 16, 17, 18, 19
Historja o bladej dziewczynie 20.
Ładowa Pieczara 21.
Pamiętniki nieznajomego. 22, 23.
Powieść bez tytułu. 24, 25, 26, 27
Czercza Mogiła. 28.
Miljon Posagu. 29, 30.
Ostálni z Siekierzyńskich. 31.
Latarnia Czarnoksiężka. Serja II.; 32 33, 34 i 35
Djabel. 36, 37, 38 i 39.

Pod prasą:
Żygmuntowskie czasy. Tom I. — 41.

Biblioteka Raczyńskich

JK 1423



JK1423